Agent Dołu

Marcin Wolski

SHOUT
SHARE
IT

Annotation

Na pytanie, ile jest 6 x 6, można czasem usłyszeć: 66.

Wysłannicy Piekła są wśród nas, koniec świata już blisko!

Agent Dołu ujawnia teczkę TW 0001.

Meff Fason był normalnym, lubiącym się zabawić facetem. Pracownikiem dobrze notowanego na giełdzie konsorcjum, specjalistą od opakowań do opakowań. Do dnia, kiedy się dowiedział, ze jest ostatnim przedstawicielem diabelskiego rodu i że jego matka, Abigail, była w prostej linii potomkinią jednej ze spalonych w Salem czarownic. Chcąc wypełnić historyczną misję, odszukuje innych ‘uśpionych’ agentów Dołu: Drakulę, barona Frankensteina, ostatniego żyjącego wilkołaka, powiązaną z ruchami kontrkulturowymi topielicę i pokracznego gnoma o imieniu Mister Priap. I razem z nimi przygotowuje ludzkości Rozwiązanie Ostateczne.

- Marcin Wolski
  - I.
  - II.
  - III.
  - IV.
  - V.
  - VI.
  - VII.
  - VIII.
  - IX.
  - X.
  - XI.
  - XII.
  - XIII.
  - XIV.
  - XV.
  - XVI.
  - XVII.
  - XVIII.
  - XIX.

MARCIN

WOLSKI

AGENT DOŁU

DIABELSKA DOGRYWKA

superNOWA

Marcin Wolski

Agent Dołu

I.

Okolica wyglądała nienadzwyczajnie. A właściwie nawet zwyczajnie, jeśli zwyczajnością można nazwać zalesione wzgórza z łysinami poletek, czyrakami ubogich zagród czy liszajami dróg, utytłane w jakiejś ni to mgle, ni oparze, nie mogącym się zdecydować, czy z nieba się bierze, czy z ziemi, czy też sam ze siebie.

Pociąg pogwizdywał, zapewne by dodać sobie odwagi, bo w taką porę żal w trasę psa wygonić, a co dopiero tabor kolejowy. Ostatni pasażerowie powysiadali na zaplutych, ewentualnie pozabijanych deskami stacyjkach, których nazwy nie wymówiłoby gardło światowca ani żadna inna część ciała brzuchomówcy. Meff siedział i palił papierosa. Ostatniego z paczki nabytej w automacie na lotnisku Orły. Poprzedniego wyżebrała od niego kobiecina, a właściwie kawałek czegoś sczerniałego i zmiętego jak stara foka.

– Pan do końca? – zapytała w tutejszym narzeczu, które, choć poliglota, z trudem odróżnił od wycia wichru, łoskotu kół i sapania lokomotywy.

Skinął głową. Kobieta przeżegnała się. A właściwie półprzeżegnała, gdyż jej ręka, wykonawszy namiastkę pobożnego gestu, zastygła na widok bladej twarzy konduktora, która na mgnienie oka wypełniła szparę w drzwiach. Żołądkowiec – ocenił go krótko Meff. Kobieta wysiadła na kolejnej stacji, zabierając ze sobą zapach tutejszej ziemi, trawy, nie dogotowanej zupy i wody brzozowej.

Teraz podróżny był sam. Nawet konduktor zniknął. Niewykluczone, że również wysiadł. Jedynie sporadyczny gwizd z przodu dowodził, że maszynista mimo wszystko nie poszedł w jego ślady. Meff po raz tysięczny obejrzał sobie ilustracje na przeciwległej ścianie przedziału – padalec miejscowy, Opera Stołeczna od tyłu oraz morza brzeg. Potem zgasił papierosa i niespokojnie pomacał broń, której przyjazny ciężar pod pachą dodawał mu poczucia bezpieczeństwa.

Gdyby tydzień temu ktoś powiedział mu, że opuści swe ulubione biuro, domek, samochód, klub, aby tłuc się ciuchcią, starszą niż niejeden z kawałów opowiadanych w telewizji, poprzez góry, których nie zamieściłby żaden szanujący się atlas, wybuchnąłby śmiechem. Dziś jednak nie było mu wcale do śmiechu.

Jak powinien zachować się mężczyzna trzydziestopięcioletni, kawaler z umiarkowanymi nałogami, pracujący w Sekcji Reklamy Dużego Międzynarodowego Konsorcjum Obrotu Materiałami Różnymi, na widok czeku wystawionego na jego nazwisko, a opiewającego na milion dolarów? Próżno by szukać recepty w kącikach porad czy staroświeckich kodeksach honorowych.

– Czy jest pan przekonany, że to do mnie? – Meff, cokolwiek zdezorientowany, zwrócił się do doręczyciela, sądząc po twarzy, Portorykańczyka, którego uśmiech przylepił się cokolwiek na odwrót, to znaczy zagiętymi kącikami ust do dołu.

– Pan się zgadza, adres się zgadza, termin się zgadza, napiwek też się musi zgodzić – powiedział Latynos z akcentem charakterystycznym dla wiadomych regionów Morza Karaibskiego, i wyszedł. Obok czeku znajdowała się kartka. Na niej widniała data i adres owej dziwacznej miejscowości w kraju, który, jak podała informacja telefoniczna, leży gdzieś w Europie albo w Azji, przy czym nie wiadomo na pewno, czy jest to Sarmacja, Bohemia czy Transylwania.

Biuro podróży załatwiło przelot i pozostałe połączenia, przy czym zastrzegło, że końcowy etap Meff winien przebyć na własne ryzyko. Tak daleko bowiem nie sięgały macki Cooka czy Panamerican. Rzeczoznawca stwierdził autentyczność czeku, wystawionego zresztą anonimowo, za pośrednictwem jakiegoś szwajcarskiego banku.

– Ja się boję! – powiedziała Marion. – Po co ci to? (Marion była dziewczyną Meffa. Dziewczyną z zasadami, która nigdy by nie odwiedziła w domu samotnego mężczyzny. Dlatego współżyli zazwyczaj na biurku młodego pracownika Sekcji Reklamy, w ciągu krótkiego kwadransa, kiedy całe biuro pędem wybiegało na przerwę rekreacyjną).

– Po co? Dobre sobie! – żachnął się odbiorca czeku. – Stanąłbym nareszcie na nogach!

– A ile ci tych nóg jeszcze potrzeba? Pięć, sześć? Chcesz być stonogą? Szybciej, kończ! Słyszę już dzwonek windy!

Meff nie powiedział Marion całej prawdy. Właściwie w ogóle nie powiedział jej prawdy, biorąc pod uwagę, że jak zauważają autorytety, prawda jest albo cała, albo jej nie ma. Poza wszystkim sprawa zaczęła go ciekawić. Podniecać, niczym dziewczyna przypadkowo zauważona w tłumie, najlepszy obiekt do rutynowego przetestowania swojej niewątpliwej męskości, i naprawdę nie było ważne, że dziewczyna okazywała się po paru godzinach albo głupią gęsią, albo młodą, żądną przygody mężatką, albo też żądała honorarium, które Meff wręczał jej zawsze z delikatnym odruchem obrzydzenia.

Dreszczyk emocji zakiełkował w nim już na pierwszy widok czerniawego doręczyciela. Ba, jeszcze doręczyciel znajdował się za drzwiami, a już w dźwięku dzwonka brzmiało coś niepokojącego.

Meff lubił ryzyko, choć szczęścia nie miał. Ze swojej szóstej walki wyszedł z przetrąconym nosem i chusteczką pełną zębów, co uświadomiło mu, że boks jest sportem cokolwiek brutalnym i pozbawionym wdzięku. Z ciągot myśliwskich wyleczył go pewien bawół w Kenii, za którym najpierw sam szedł pół dnia, a potem

również sam uciekał przez pół nocy.

Wojnę (owszem, zgłosił się patriotycznie na ochotnika) przesiedział w toalecie, bowiem od pierwszego dnia pobytu w Azji po ostatni prześladowała go złośliwa biegunka, która nasilała się równie regularnie jak ofensywy Żółtych.

Krótka praca w charakterze naganiacza w domu gry wyleczyła go z inklinacji do hazardu. Skończyła się katastrofalnym mordobiciem, utratą półrocznych oszczędności i koniecznością ucieczki na drugi koniec kontynentu. Nie pozostawało nic innego, jak zostać inteligentem. Meff miał dryg do rysunku, fotografii nauczyli go w wojsku – toteż wybiwszy się śmiałym pomysłem opakowania do opakowań, rychło zaczepił się w reklamie.

A poza tym do owej odległej miejscowości gnała go bezwzględna konieczność. W otrzymanej kopercie mimo dokładnego przetrząsania znajdowała się jedynie oddarta połowa milionowego czeku.

Z zamyślenia wyrwał go zdecydowany pisk kół. Jednoznaczność pisku wskazywała na koniec jazdy. Meff wstał i sięgnął po torbę podróżną. Przez chwilę dłoń jego błądziła po zakurzonych półkach, ale nie znalazła niczego poza jakimś dziesięciodniowym ogryzkiem. Zaklął. Walizka zniknęła. Zlustrował cały przedział, zajrzał pod ławki – wszędzie wiało pustką i smrodem. Przez całą drogę było chłodno, a teraz zaczynali grzać.

Uwędzą mnie, jeśli zostanę – pomyślał. Sprawdził portfel. Znajdował się na miejscu. Czek również. Chociaż to. Niemniej brak koszuli, baterii dezodorantów odczuł boleśnie. Okolica nie wyglądała na taką, w której można by otrzymać cokolwiek, nawet za waluty wymienialne.

Stacja, a właściwie rozwalająca się szopa, robiła wrażenie wyludnionej. Maszynista pospiesznie manewrował lokomotywą, sam przestawiając zwrotnicę, jakby chciał możliwie prędko powrócić na szlak. W poczekalni, czy raczej jej resztkach, buszowały dzikie koty. Może zresztą były to szczury? Tak szybko wyprysły spod nóg podróżnego, że nie zdążył przypomnieć sobie wiadomości z zoologii. Na okienku kasy wisiał napis: “Wracam w czwartek". Biuro zawiadowcy było nieczynne, toaleta również. Nigdzie nie było widać śladu żywej duszy, a na poręczach ławek rósł mech.

Maszynista skończył swe manewry i zadowolony mył ręce w kałuży.

– Coś mało pasażerów? – zagadał przyjaźnie Meff.

Odpowiedzią było milczenie.

– O której odjazd?

Gest wsiadającego maszynisty, starego człowieka o twarzy wilgotnej jak schnący ser, dowodził, że już. Teraz podróżny zauważył,

że tory, zarośnięte trawą, pokryte są również grubą warstwą rdzy.

– Musicie rzadko tu przyjeżdżać?

Znów gest jednoznacznie wskazujący, że nie przyjeżdża się tu nigdy.

– To dlaczego dziś zrobiliście wyjątek?

– Kazali, to pojechałem – przemówił dotychczasowy niemowa – a panu radziłbym…

Dalsze słowa zagłuszył gwizd pary. Pociąg ruszył i jeden jedyny wagonik merdający za archaiczną lokomotywą prędko zniknął w głębi doliny.

Trudno było określić godzinę. Szarość mogła być równie dobrze dżdżystym rankiem, ponurym południem czy paskudnym wieczorem.

Jak okiem sięgnąć, ściany lasu, nigdzie człowieka, którego można by spytać o drogę lub chociaż godzinę. Zegarek podróżnego – najnowszy seiko z kalkulatorem, radiem i telewizorkiem, gwarancja 250 lat – parę godzin temu stanął i ani drgnął, głuchy na prośby i walenie o kant ławki.

Na kartce z adresem widniała nazwa stacyjki, zgodna z wypłowiałym szyldem, i krótka uwaga: “Dalej prosto!"

Ruszył więc przed siebie, tym bardziej że od stacji odchodziła tylko jedna droga, a właściwie ścieżka, kiedyś asfaltowa, a obecnie porośnięta kępkami rzadkiej trawy. Drogi najwyraźniej używano nieczęsto. Mostek nad potokiem zarwał się pod brzemieniem lat. Sam trakt wił się mozolnie, wspinając się ku górze. Na jakimś garbie przecinała go inna ścieżka. Meff stanął zdezorientowany. Niby w zaproszeniu było napisane – prosto, ale kto wie, co autor miał na myśli?

Zamyślenie przerwał szelest i na bocznej przesiece ukazał się mężczyzna na rowerze damce, z fuzją przewieszoną przez plecy i zającem dyndającym u pasa.

Na widok podróżnego zwolnił i ukłonił się, a w oczach pojawiły się iskierki niepojętego zdziwienia. Potem pochylił głowę i popedałował dalej. Za panem, którego okoliczności nakazywały uznać za kłusownika, pojawił się pies, wesoły wielorasowiec. Meff lubił zwierzęta, wyciągnął więc rękę. i stało się coś zaskakującego – brytan skulił się, jakby smagnięty niewidzialnym pejczem, i głucho wyjąc popędził w krzaki.

Nagle zapadł zmierzch.

Nagle, bo na krótko przed zmrokiem niebo przetarło się chyba tylko po to, by ciemność spłynęła intensywniej. Meff tylko westchnął. Prawie nie widział ścieżki. Latarka została w zagubionej walizce. Gdzieś odezwał się puchacz. Szlak dawał się rozpoznawać wyłącznie po jaśniejszym pasemku nieba nad głową. Naraz ciemność stała się jeszcze głębsza. Coś uderzyło Meffa w twarz, coś dyndającego,

nieprzyjemnie wilgotnego i pachnącego skórą. To coś wisiało na sznurze zwisającym z gałęzi.

– Moja torba!

Poczuł się raźniej. Tak raźnie, że nie zadał sobie pytania, w jaki sposób jego bagaż, który zniknąć musiał na którejś z wcześniejszych stacji, zdołał wyprzedzić go w tych zalesionych górach, W środku wszystko znajdowało się na swoim miejscu. Teraz, w świetle odzyskanej latarki, odczytał koślawy napis na kartce papieru, którą ktoś przypiął do uchwytu: “Jeszcze jest czas, zawróć!"

Podróżny wzruszył ramionami. Postąpił krok naprzód i naraz zalały go potoki światła i przygwoździły krótkie, acz treściwe słowa:

– Stać! Nie ruszać się! Ręce do góry!

Szpakowaty z trudem taił zdenerwowanie. Większość współpracowników nigdy nie widziała szefa w równie złym humorze. Zresztą prawdę powiedziawszy, ostatnimi czasy widywali go rzadko. Ich kontakty ograniczały się do wspólnego spędzania świąt i akademii.

– Stało się źle, że dowiedzieliśmy się o fakcie z opóźnieniem. Co gorsza, jak dotąd, nie udało nam się go zatrzymać. A przecież nie powinien opuścić w ogóle kontynentu.

Albinos siedzący na rogu stołu poruszył się niespokojnie.

– Mamy spętane ręce – rzekł – obowiązuje przecież ten nieszczęsny zakaz stosowania przemocy bezpośredniej! Inaczej strąciłbym jego samolot albo…

– Wiesz, że to są zasady, które nie zależą ode mnie – Szpakowaty rozłożył bezradnie ręce i nogi – kto mógł się spodziewać. A co ty o tym sądzisz?

Wezwany do odpowiedzi pulchny cherubinek w drucianych okularach poderwał się z miejsca jak za ukłuciem pinezki.

– Nie ma co ukrywać! Od lat zajmowaliśmy się bardziej sprawozdawczością niż interwencją. Oczywiście, mieliśmy określone sektory pod obserwacją, ale nic się nie działo. Niektórym kolegom zaczęło się wydawać, że tak już będzie zawsze, i praktycznie nie braliśmy pod uwagę możliwości, że nagle ruszą do działania…

– Przestańmy biadolić! – przerwał szef. – Mówmy o faktach. Wezwanie dotarło do adresata trzy dni temu. Wiemy, kto go wezwał, dokąd, nie mamy pojęcia natomiast, w jakim celu. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że szykują coś paskudnego. Ze wstępnej analizy akt wynika, że nie jest to człowiek przypadkowy, a cała akcja może być najpoważniejszą próbą, na jaką nas wystawiono od wielu lat.

– Kryptonim “Trzy szóstki"? – spytał Albinos.

– Może nawet “Sześć szóstek". Kabaliści mówią o niekorzystnych koniunkcjach ciał niebieskich, pola przewidywań pesymistycznych pokrywają się… Oczywiście, to tylko najgroźniejsza hipoteza, ale nie

możemy jej wykluczyć.

Zapadła cisza. Kilkunastu młodych pracowników, zgromadzonych wokół stołu, utkwiło oczy w szefie. Niektórzy zresztą pospiesznie przywoływani z odległych placówek, widzieli go po raz pierwszy. Ten spojrzał na zegarek.

– Aktualnie powinien znajdować się już w pobliżu celu. Jakie mamy możliwości wariantu C – 67?

– Praktycznie żadnych – odpowiedział Albinos. – Linię interwencyjną uruchomiliśmy pół godziny za późno.

– Zatem pozostaje ewentualność P – 94. Opóźnić przynajmniej częściowo działania przeciwników, dopóki nie zorientujemy się w ich zamiarach.

– A gdyby tak D – 8? – zapytała nagle milcząca dotąd blondynka.

Szpakowaty tylko pokiwał głową.

– Minęły czasy, kiedy byliśmy wszechmocni. Nasze możliwości skurczyły się. Ponadto obowiązuje dyrektywa nr 5 zabraniająca ujawniania się bezpośredniego. Możemy działać wyłącznie poprzez pośredników, a na kim można dziś polegać?

– Czy moglibyśmy przynajmniej dowiedzieć się, jak wygląda ten człowiek? – odezwała się szczupła rudawa.

– Proszę bardzo – powiedział szef. W owalnym pokoju przygasło światło, na obraz przedstawiający Sąd Ostateczny (Szpakowaty bardzo go lubił) opuściło się płótno ekranu. – Projekcja, proszę!

Zdjęcia robiono zapewne z ukrytej kamery. Parę ujęć z ulicy, z dworca lotniczego, z biura. W sekwencji biurowej obok mężczyzny występowała kobieta. Mężczyzna po trzydziestce, ciemny blondyn w okularach, rozluźnił krawat. Kobieta, oparta o biurko, unosiła spódniczkę…

– Starczy! Wstrzymać projekcję – zadecydował Szpakowaty.

Trzymanie rąk wysoko ponad głową nie jest ani miłe, ani wygodne, zwłaszcza jeśli w oczy bije światło reflektora, a obcy głos brzmi rozkazująco i stanowczo. Głupia sytuacja! Meff upuścił świeżo odzyskany neseser i zmrużył oczy. W krąg światła wszedł mężczyzna, który mimo tubylczej fufajki i gumiaków wydał się podróżnemu dziwnie znajomy. Ależ tak! Portorykańczyk, doręczyciel koperty. Tu, w tej górskiej, środkowoeuropejskiej głuszy? Południowiec sprawnie obmacał Amerykanina, wyłuskał mu spod pachy broń i pchnąwszy go energicznie w plecy, zakomenderował:

– Idziemy!

Reflektory pogasły. Mimo to nie zapadł kompletny mrok, parę metrów dalej zamajaczyła furtka, a za nią niski, brzydki dom z siporeksu, którego pretensjonalne schody (lastriko) oświetlała jedna żarówka na drucie. Na schodach stało jeszcze dwóch smagłolicych,

chyba bliźniaków rzekomego Portorykańczyka, przy czym, mimo identyczności rysów, jeden był odrobinę bardziej żółty, a drugi dwa tony czarniejszy.

Weszli. Już od progu uderzył przybysza zaduch dawno nie wietrzonego wnętrza. Bukiet woni wzbogacał dodatkowo odór medykamentów oraz lekko odczuwalny, acz wszechobecny zapach siarki. Cały budynek wypełniała jedna obszerna izba z rozwalonym wyrem, na którym Meff dostrzegł śpiącego psa. Kuchnia musiała mieścić się w przybudówce. Na głos kroków wychynęła z niej baba w halce, rozczochrana, w wieku nieokreślonym, ale płci intensywnej.

– Niech siada – rzekła łamaną angielszczyzną, podając przybyłemu szklankę pełną przejrzystej cieczy.

– Dziękuję!

Wypił duszkiem, a oczy wyszły mu z orbit, ponieważ, zamiast spodziewanej wody, wyschłe emocją gardło weszło w kontakt z wysokoprocentowym alkoholem.

– Zagryziemy? – spytała gospodyni, wypijając swoją działkę bez zmrużenia krwistego oka. – Może grzybka?

Łapiąc powietrze skinął głową. Baba (wzdragam się przed użyciem określenia – kobieta) podeszła do ściany, urwała tęgi kawał rozpanoszonego na niej grzyba i cisnęła podróżnemu.

– Ja… w związku… z tym czekiem przybyłem… – bełkotał.

– Powtórzymy? – krwistooka nalała już następny stakańczyk.

Co kraj, to obyczaj – pomyślał Meff, uświadamiając sobie, że od chwili przekroczenia granicy zauważał coraz mniej osób trzeźwych. Wypili. Od ściany doleciał cichy skowyt któregoś z czarnych.

– Poszły! – warknęła gospodyni.

Ciepło rozlało się po całym ciele przybysza. Umysł pojaśniał jak przy włączeniu długich świateł, natomiast wzrok zmętniał. Siadł na zydlu, który zamiast trzech nóg miał dwie i trzymał się wbrew elementarnym prawom fizyki. Może po prostu wrośnięty był w klepisko.

Trzecia kolejka zrobiła już mniejsze wrażenie na Meffie, wywołała jednak wzmożone błagania kolorowych. Znów rozległ się ni to jęk, ni skomlenie.

– Poszły won! – wrzasnęła baba i cisnęła szklanką. Stało się coś zadziwiającego. Szklanka poszybowała linią sinusoidy, stuknęła w łeb każdego z fagasów, po czym, zatoczywszy łuk, jaki nie śnił się najstarszym australijskim mistrzom bumerangów, wróciła do ręki gospodyni. Meff nie zdążył jeszcze wyjść ze zdumienia, aż tu trzej bliźniacy skoczyli ku sobie, zbili, się w kupę i niepojętym sposobem, utworzywszy jednego nalanego chłopa, o twarzy pokrytej trzydniową szczeciną, tyłem wycofali się za drzwi.

– Upiłem się – przemknęło podróżnemu. – Wstyd!

– Długa droga, ciężka droga – powiedziała baba, przecierając usta wierzchem kostropatej dłoni. – Czekajta chwilę, ogarnę się! – To mówiąc dała nurka w ciemnawą jamę przybudówki.

Filar Dużego Międzynarodowego Konsorcjum Obrotu Materiałami Różnymi pozostał sam, jeśli nie liczyć kosmatego psa, czy może kozła, dyszącego sennie wśród pierzyn, na piarżystym wyrku. Z dworu, dokąd udał się zadziwiający “Samotrzeć", nie dolatywał żaden odgłos. Meff rozejrzał się po izbie. Ubóstwo walczyło w niej o prymat z zapuszczeniem. Żarówka, najwyżej dwudziestka, kryła się w girlandach wieloletnich lepów na muchy, w kącie dostrzegł obfitość gumiaków i innych nie zidentyfikowanych części garderoby, na stole, pośród słoików i butelek, piętrzyło się kilkanaście książek i periodyków. Jedynym okazalszym przedmiotem była stojąca w kącie skomplikowana aparatura, przypominająca nowoczesną rzeźbę, sporządzoną ze słojów, szklanych i gumowych rurek. Całość bulgotała jakąś nierytmiczną pieśń bez słów, którą Meff uznał za typowego bluesa tej części Europy. Nic nie wskazywało, żeby mieszkańcy domu na pustkowiu mogli być posiadaczami drugiej połówki czeku.

– Już jestem!

Meff zerwałby się na równe nogi, gdyby nie to, że jego wytworny sztruks zdążył przykleić się do zydla, a ten, jak pamiętamy, był mocno zintegrowany z polepą. Pełne zaskoczenie. Głos był niski, choć o przyjemnym brzmieniu – alt dojrzałej, ale ciągle pociągającej kobiety. Zrobiło się jaśniej. Gospodyni ubyło ze czterdzieści lat. Była teraz wiotka, ciemnowłosa, włosy o metalicznym połysku zdołała upiąć w jakąś kunsztowną fryzurę, oczy emanowały siłą i witalnością, a usta, ozdoba brzoskwiniowej twarzy, lśniły naturalnym niemakijażowym karminem, co najniezwyklejsze – była to ta sama, co przed chwilą, osoba.

Przez głowę podróżnego przebiegło ulubione powiedzonko Teddy'ego, zawodowego szulera z Las Yegas: “Nie ma brzydkich kobiet, jest co najwyżej za mało wódki". Najwyraźniej słowo stało się ciałem!

– Beta – przedstawiła się niewiasta, podając tutejszym zwyczajem do ucałowania delikatną rączkę, pachnącą “Soir de Paris".

– Meff.

– Proszę wybaczyć to może niezbyt miłe powitanie, ale względy ostrożności… Stary, mógłbyś się wreszcie obudzić!

Piernaty zafalowały, to, co początkowo można było wziąć za zwierza, okazało się mężczyzną w kożuchu i czapce wywróconej włosem na wierzch. Aliści dwa ruchy starczyły i, jak jedwabnik z kokona, z przebrania wyłonił się osobnik w czarnym welurowym garniturze, o siwej bródce, ozdabiającej wychudłą twarz, jakby żywcem pożyczoną od zagłodzonych bohaterów el Greca.

– Witaj, chłopcze! Wybacz, że tak nieochędożnie przedstawiło ci się nasze obejście, ale żyjemy w trudnych czasach. Rozmaite komisje po domach krążą, z dochodów wyliczać się każą, srebrne łyżki liczą, dostatek opodatkowują… No, ale skorośmy sami swoi…

Tu w ręce klasnął! Otworzyła się jakaś klapka w stropie i już pająk złocisty tysiącwatowy zadyndał u powały, z delikatnym szmerem osunęły się ukryte dotąd w schowkach pod sufitem kilimy wzorzyste, przykrywając gołe ściany z pustaków. Zaszemrała klimatyzacja, zamiast smrodu tłocząc zapach lawendy i “Old Spice'a". Wyro złożyło się w kanapę pokrytą złocisto – purpurowym obiciem, każda decha podłogi obróciła się na grzbiet, zmieniając w intarsjowaną posadzkę, sam zaś koślawy zydel przeistoczył się w niejasnych okolicznościach w wygodny fotel – leniwiec. Jeszcze chwila, a na okienka opuściły się złotoramne zwierciadła, aparatura wódopędna obróciła się wraz z całą ścianą, ukazując barek zaopatrzony nie gorzej niż jego dalecy krewni w Las Yegas, rzekomi zaś Portorykańczycy przeobrazili się w orkiestrę cygańską, która poczęła rżnąć od ucha, zadźierzyście i folklorystycznie. Do diabła!

Welurowy siwobrodacz serdecznie uściskał podróżnego.

– Wykapany dziadek, wykapany… Poza tym, że blondyn, niski, nos prosty i oczy niebieskie. Wybacz mi drobne formalności, ale czy masz, kochasiu, zaproszenie?

Meff podał gospodarzowi czek, kopertę i kartkę adresem. Ten przez chwilę milcząco wpatrywał się w papiery.

– Twój ojciec nazywał się Leon, a matka Abigeil?

Przybysz skinął głową.

– Dziadka znał?

– Nie. Podobno pochodził z Europy, ale przyznam się, dokładnie… Co pan robi?!

Człowiek z weluru systematycznie podarł podane mu papiery, nie wyłączając połówki czeku.

– Wszystko to furda. Mów mi stryju!

Jeśli ktoś sądzi, że był to koniec niespodzianek czekających Meffa, popełnia głęboki błąd. Prawdziwe niespodzianki dopiero się zaczynały. Beta podała “skromny posiłek". Krewetki, polędwica a la Chateaubriand, kawior astrachański, koniaki, sery, owoce… Podróżny miał na końcu języka pytanie: skąd stryj zdobywa podobne frykasy na takim zadupiu, ale życie nauczyło go, aby zadawać jak najmniej pytań. Sam, jeszcze zanim przesiadł się w ciuchcię, usiłował nabyć w miejscowym ekspresie cokolwiek do zjedzenia – po dłuższych błaganiach dostał bigos, ale kiedy spróbował zapłacić walutą, uprzejmy bufetowy odradził mu konsumpcję ze względu na panującą dyzenterię i podzielił się własną kanapką.

Koniak wywołał chorobliwe rumieńce na el grecowskich

policzkach gospodarza. Stryj częstował gościa, wypytywał o najrozmaitsze sprawy, o ojca, matkę – zmartwił się bardzo wiadomością, że nie żyją. Interesowało go życie w dalekim, postindustrialnym społeczeństwie. Meff rozprężył się do tego stopnia, że i sam odważył się zadać pytanie:

– Stryj i mój ojciec byli rodzonymi braćmi?

– Skądże, Meffku, jestem bratem twego dziadka… Ależ to był urwis, pamiętam do dziś jego kawały, chociaż to tyle lat.

– To ile stryj ma lat? – wyrwało się bratankowi.

– Sto czterdzieści dwa! Ale tylko do twojej wiadomości. W papierach mam zapisane osiemdziesiąt jeden, żeby nikt się nie czepiał. Jeszcze by telewizję nasłali, jakieś odznaczenie przypięli, a ja rozgłosu nie lubię. A ty co znowu tańczysz?

Uwaga została skierowana do ciemnowłosej, która, poniechawszy przynoszenia i rozlewania, stała pośrodku izby (pardon: komnaty) kołysząc się zmysłowo w takt tęsknej i rozlewnej muzyki tutejszych jarów, porohów i państwowych gospodarstw hodowlanych. Podróżny objął ją krótkim spojrzeniem. Jego uwagę przyciągnął pasek gołego ciała między suknią a bolerkiem, nadzwyczaj połyskliwy, kuszący…

– Czy to córka? – szeptem spytał stryja, a gdy ten pokręcił głową, rzucił jeszcze ciszej – może żona?!

– Żona, hę, hę! Słyszysz, Beto? Meffek myśli, żeś moja żona. A ja tu w celibacie żyję, jak, nie przymierzając, ksiądz. Gospodyni to moja, i tyle!

Cyganie (zresztą, kto wie, czy tam za ścianą nie zdążyli przepoczwarzyć się w Pigmejów) przyspieszyli rytm. Włosy Bety rozsypały się na ramiona.

– A może by szampana? – zapytał staruszek. Meff nie miał siły protestować. Wpatrywał się w tańczącą, a między oczami obojga poczęło tworzyć się coś na kształt łuku elektrycznego.

– Zdążysz, zdążysz – stryj trącił go w ramię. – Ja nie jestem pies ogrodnika. Ale mamy sporo rzeczy do obgadania. A propos, w co ty właściwie wierzysz?

Znienacka spytany Meff zamrugał oczami. O co temu staremu mogło chodzić? Ankieta personalna czy przesłuchanie?

– No, mów, w co wierzysz? Jesteś katolikiem, luteraninem, adwentystą, świadkiem Jehowy, buddystą, wyznawcą Konfucjusza, muzułmaninem?… – napierał gospodarz.

– Właściwie, to ja w ogóle nie wierzę. Chyba… – wybąkał Spec od Reklamy. – Nigdy zresztą się nad tym nie zastanawiałem.

Nawet Beta wstrzymała tan, a Cyganie chyba za ścianą oddech, bo zapadła cisza.

– Jak to? Nie wierzysz w Boga!

Meff pokręcił głową.

– A w szatana?

Roześmiał się.

– W szatana dziś nawet dziecko nie uwierzy. Mamy wiek dwudziesty, stryju. Ludzie latają w kosmos. Czasami nawet z powrotem. Mamy bombę atomową, cybernetykę, wolną miłość i ONZ. Wyzwoliliśmy się z przesądów i zabobonów. Nauka, nauka to wszystko.

– Słyszysz tego ancymona, Beto? – zaśmiał się starzec. – Nie wierzy w szatana. W nic nie wierzy!

Kobieta zawtórowała swym pięknym altem. Podróżnemu zrobiło się głupio. Może nie wypadało przyznawać się do ateizmu?

Gospodarze wyrechotali się wreszcie, orkiestra wznowiła koncert. Strzelił korek szampana. Meff miał nadzieję, że przejdą wreszcie do spraw finansowych, ale stryj powracał wciąż do tego samego tematu.

– Wnioskuję zatem, że kwestie religii są ci całkowicie nie znane?

– Nie aż tak całkowicie. Jak stryj zapewne wie, u nas w każdym hotelu znajduje się Biblia. Bywało, cierpiałem na bezsenność, więc czytałem… Coś tam wiem.

– A co wiesz o manicheizmie? – padło konkretne pytanie.

– Mani… co?

– Nic nie wie – starzec zaczął mruczeć bardziej do siebie niż do kogokolwiek – co zresztą może wiedzieć współczesny młody człowiek, dziecko Marksa i coca – coli?… Czy czytał Orygenesa, św. Augustyna? Żeby choć Zoroastra, gdzie tam…

Świeżo upieczony bratanek ponownie wlepił oczy w Betę. Parę haftek bolerka puściło, ujawniając zaciszną grotę między stromymi i jędrnymi piersiami. Obroty wzbijały suknię coraz wyżej i wyżej, ukazując pełną gotyckość nóg, aliści sklepienie budowli pozostawało nadal w głębokim cieniu.

– Co oni teraz zrobili z tą edukacją? – narzekał gospodarz. – Jak ja byłem w twoim wieku, znałem łacinę, grekę, hebrajski, aramejski… Ty pewno nie wiesz nawet, kto to są Ormuzd i Aryman?

Meff usiłował uspokoić wirujące obrazy i uporządkować myśli.

– Chyba jacyś faceci z Iranu… Może ministrowie Chomeiniego? – zaryzykował.

Starzec tylko jęknął.

– Bóg Dobra i Bóg Zła, synku! Odpowiednikiem w semickiej tradycji mógłby być Bóg i Szatan, gdyby przyjąć, że ich siły są równe…

– A może nawet coś o tym słyszałem. Była taka koncepcja świata, w którym Dobro i Zło mają prawie jednakowe udziały i toczą ze sobą nieustanny bój, przy czym poligonem w skali makro jest wszechświat, a w skali mikro każdy pojedynczy człowiek.

– Ciekawie powiedziane, choć nieprecyzyjnie – skomentował stryj

– inteligentny może i jesteś, ale brak ci wiedzy. Wróćmy jednak do manicheizmu. Uznano tę koncepcję nie bez powodu za najgorszą herezję. Fakt. Podważała ona monopol jedynego Boga, sprowadzała hieratyczny porządek do wolnej gry sił, jednym słowem, zamiast feudalnej koncepcji Najwyższej Idei, proponowała światu nadprzyrodzonemu system zgoła kapitalistyczny. To nie był już spór o to, czy Syn jest równy Ojcu, czy jedynie podobny, nie utarczka o dwie natury Chrystusa czy kłopotliwy paradoks Niepokalanego Poczęcia – tu dochodziło do podważania zasady. Nic dziwnego, że szli na stos masowo wszyscy choć częściowo spaczeni manichejskim spojrzeniem na świat – katarzy, albigensi, waldensi… Lecz wszystko na próżno, bo, niestety, heretycy mieli rację. Przynajmniej częściową. Nie ma bowiem absolutnego Dobra i Zła. Świat stworzyło, znaczy, próbowało stworzyć, dwóch bogów, jeden trochę lepszy, drugi gorszy, ale obaj nie pozbawieni – według ludzkich kryteriów – wad. Z tym, że tylko jednemu się powiodło, skutkiem czego ten drugi został skazany na wielowiekową opozycję.

– Bajki – mruknął Meff, który słuchał filozoficznej gawędy zaledwie jednym uchem. Wszystkie pozostałe zmysły kierowały się ku Becie, a ściślej mówiąc, jej nogom, teraz bosym – srebrzyste pantofelki odrzuciła w kąt pokoju…

– Jeszcze chwilę – powiedział mocniej starzec. – Cicho, grajki! Wezwałem cię, bo jesteś mi potrzebny. Jestem stary…

– Ależ stryju! – westchnął bratanek, widząc jak gospodyni budzi się z transu i doprowadza do ładu swoją garderobę.

– Potrzebuję spadkobiercy. Następcy. Ty jesteś ostatni z naszego rodu. Przejmiesz wszystko…

– Dziękuję! – zawołał Meff. który lubił konkretne spraw. Nie wiem tylko, jak się odwdzięczę?

– Drobiazg, doprowadzisz moje dzieło do końca.

– Zrobię wszystko, czego tylko stryj sobie życzy…

Starszy pan, wyraźnie ucieszony deklaracją, zamienił na powrót kanapę na wyrko, po czym wygrzebał z siennika jakieś papiery i kilka pokaźnych paczek ogólnie wymienialnych banknotów.

– Tu masz sześć kopert, z których pierwszą otworzysz pojutrze. Będziesz stosował się ściśle do zawartych tam poleceń. Styl może jest trochę starodawny, ale całość posiada niepomierną wagę. Co zrobisz z nadwyżką pieniędzy, twoja sprawa… Aha, trzeba jeszcze rzecz poświadczyć prawnie.

– Jak to zrobić możliwie szybko? – w głosie młodego człowieka zadrgało szczere zainteresowanie.

– Już! Beto, daj pióro. Wystarczy twój podpis. Weszła gospodyni, zdążyła się znów przebrać. Miała na sobie biały i, prawdę powiedziawszy, półprzeźroczysty chałacik pielęgniarki. W ręku

trzymała wieczne pióro. Ale zamiast podać, rozkręciła je. Zbiorniczek był pusty. Szybko podeszła do Meffa i z całej siły wbiła mu wąską stalówkę w ramię, musnąwszy je przedtem watką umoczoną w koniaku.

– Auuu! Co pani robi?!

Gestem zawodowej pielęgniarki pociągnęła lewarek. Zbiorniczek wypełnił się ciemnoczerwoną cieczą. Rozległ się głuchy grzmot.

– Tu podpisz! – padło polecenie.

– Ależ… Ja już nic z tego nie rozumiem…

– Pisz!

Machinalnie nabazgrał imię i nazwisko. Drugi grzmot! Światło w żyrandolu przygasło, ziemia zaś wydała odgłos przypominający głuche stęknięcie przeciągającego się olbrzyma. Trzęsienie ziemi? Tąpnęło nieźle. Meff wykonał w powietrzu kozła i wylądował na kanapie. Tu Beta wcisnęła mu na palec pierścień z czarnej laki. Znów grzmot. Meff mógłby przysiąc, że na nieskazitelne tafle luster wystąpiły kropelki krwi.

– Co to ma znaczyć, stryjku?! – wybełkotał.

– Nie udawaj zagubionego kaczątka – huknął gospodarz. W tym momencie przejąłeś moją rolę, dyżurnego Szatana Świata!

– Szatana?

– Ach, prawda, ty nie wierzysz – zarechotał stryj. – No to patrz!

W mgnieniu oka jego postać spowiła fioletowa poświata, welur przywarł mocniej do skóry zmieniając się w szorstką, zmierzwioną sierść. Paznokcie jęły się wydłużać do rozmiarów spotykanych u balijskich tancerek i urzędniczek na poczcie. Spadły lakierki, ujawniając parzystokopytne raciczki.

– Ratunku! – wrzasnął Meff.

Jak na hasło, w dziwacznych pląsach wpadli do izby Cyganie nie – Cyganie, przypominający teraz raczej greckich satyrów, z różkami i lędźwiami pokrytymi gęstym futrem. Otoczyli Meffa, bijąc mu pokłony i na różne sposoby oddając cześć.

– O święta niefrasobliwości! O młodzieńcza głupoto! – śmiał się stryj. – Czemu rodzice nie podali ci prawdy?

– Jakiej prawdy?

– Że jesteś dwunastym z kolei potomkiem szatana, owocem przypadkowej przygody pięknej Małgorzaty i Mefista, które to dziecko doktor Faust wychował własnym kosztem!

– Ja?…

– Prawdziwe diabły z czasem wymarły lub wycofały się w głąb ziemi (coraz głębiej ludzie drążą, cholera jasna!). Na straży interesów pozostał tylko nasz ród. Półdiabłów, ambasadorów nadzwyczajnych i pełnomocnych Wielkiego Dołu na tej biednej ziemi. Byliśmy kiedyś znacznie liczniejsi, poczytasz o tym we właściwym czasie. Dziś

pamiętaj o najważniejszym. W twoim ręku jest honor rodu… Wielkiego rodu! Weź pod uwagę jeszcze fakt, że twoja matka, Abigeil, była w prostej linii potomkinią jednej z czarownic spalonych w Salem w XVII wieku… Wysoko nieś nasz herb – Rogi na Polu Niczyim. Wysoko! Chyba teraz już wiesz, skąd twe imię Meff? Mefisto! Mefisto XIII!

Nogi ugięły się pod młodym człowiekiem. Wiadomość i koktajl wielosmakowy zrobiły swoje. Ale pląsające fauny czy raczej satyry nie dały mu upaść. Zbiły się wokół niego ciasnym kosmatym kręgiem. Tymczasem rechot wuja przeszedł w kaszel, miotany spazmem upadł na kanapę, a fioletowa mgiełka wokół niego poczęła słabnąć i przygasać.

– Chodźmy już – Beta kopniakami rozganiała futrzastych muzykantów i pociągnęła Meffa w stronę alkowy. – i tak nie masz żadnego wyjścia – tłumaczyła jak nauczycielka.

Rzucił się na nią, do niej, w nią! Zachłannie. Brutalnie. Rozpaczliwie.

I kiedy wchodził w rozedrganą czeluść, poczuł pod sobą spoconą bryłę o fakturze sparciałej opony, z nadnaturalnymi piersiami gubiącymi się gdzieś pod pachami, natrafił na bezzębne usta i zetknął się ze słomianymi włosami pachnącymi trupem, grozą, śmiercią…

II.

Przebudzenie było równie paskudne jak zaśnięcie. Podróżny ocknął się mokry od rosy, z drewnianym językiem, wyschniętym gardłem, spuchniętą wątrobą i obolałym karkiem. Słoneczko stało wysoko na pogodnym niebie. Góry lśniły wilgotną zielenią, w wyższych partiach rozpościerały się łąki czy hale, na których, nie miał lornetki, ale mógłby przysiąc – pasły się stada owiec. Sytuacja wyglądała cokolwiek upokarzająco. On, przedstawiciel bądź co bądź kultury śródziemnomorskiej (w wydaniu amerykańskim), leżał z gołym tyłkiem, spodniami zwiniętymi w obwarzanek na jednej nodze, wtulony w omszały pień starego buka.

– Rany koguta, współżyłem z drzewem?!

Dookoła nie uświadczyłbyś żywej duszy. Kawałki gruzu, parę dzikich jabłoni, krzaki malin wskazywały, że bardzo dawno temu znajdowało się tu jakieś gospodarstwo.

– Co za koszmarny sen? Gdzie się podział ten dom?

Nad ścieżką, dziesięć metrów za nim, dyndał sznur, i którego osobiście zdejmował torbę. Sama torba, nie wypatroszona, leżała w krzakach. Broń spoczywała, spocona jak ruda mysz, pod pachą.

Nic nie rozumiał. Zajrzał do portfela: wszystko w porządku, tylko ani śladu kartki, koperty i połówki czeku.

– Ach. prawda, stryj podarł! – rzekł do siebie. A potem zaczął prawie wołać. – Co to wszystko było? Jaki stryj, kim ja właściwie jestem?! – Jeszcze raz wywrócił wszystkie kieszenie, nigdzie jednak nie znalazł ani otrzymanych paczek banknotów (szkoda), ani siedmiu kopert (może i lepiej).

Sytuacja przedstawiała się idiotycznie. Sen, nie sen? Co naprawdę znaczyła diabelska ceremonia, co miał na celu dziwaczny wykład o manicheizmie czy iście kameleonowe przemiany wyuzdanej gospodyni? Nie, stanowczo zbyt dużo jak na jedną noc!

Meff wrócił na gruzowisko. Szukał śladów wczorajszej libacji. Nie upił się przecież powietrzem. Po dobrym kwadransie znalazł nie dopitą butelkę samogonu. Na samo wspomnienie chwyciły go mdłości. Kiedy zwracał matce naturze jej hojne dary, zresztą bez śladu krewetek i kawioru, na polankę przydreptała koza. Popatrzyła na niego dużymi smutnymi oczami nierozumianego filozofa, osadzonymi ponad długim wychudłym pyskiem, przypominającym, co za durne skojarzenie, bohaterów el Greca…

– Meee!

Zerknął na jej kopytka. Na jednym było coś, co z biedą mogłoby uchodzić za stary lakierek.

– Stryjek! – wrzasnął Meff i rzucił się w stronę zarośli.

Tam już na niego czekali.

Było ich dwóch w mundurach straży granicznej.

– Kłamiecie bardzo nieudolnie, obywatelu – powiedział, w swoim mniemaniu po niemiecku, zezowaty mężczyzna z dystynkcjami sierżanta – nie my będziemy się wami zajmować, już wkrótce zjawią się osoby bardziej powołane, ale z czystej życzliwości mówimy wam: wasze opowieści nie trzymają się kupy. Absolutnie!

Rozmowa miała miejsce w maleńkim, gościnnie zakratowanym pokoiku równie niewielkiej strażnicy na skraju wsi. Dotarli tam w godzinę po wyciągnięciu Meffa z krzaków.

Teren okazał się znacznie bardziej zaludniony, niż Meff mógł przypuszczać poprzedniego dnia. Tubylcy kręcili się to tu, to tam, może niezbyt celowo i wydajnie, ale w każdym razie sprawiali wrażenie zapracowanych. Krótka rozmowa zapoznawcza nie należała do przyjemnych. Niezgodność w dokumentach, łamany akcent i zdenerwowanie podróżnego przesądziły o jego zatrzymaniu. Strażnicy uprzejmie, choć zdecydowanie, wyprowadzili go z zarośli na ścieżkę, która po paruset metrach przemieniła się w leśną, sądząc po koleinach, często uczęszczaną drogę, ta zaś wyprowadziła ich na skraj wsi. W osadzie pierwszą rzeczą, na jaką zwrócił uwagę zatrzymany, był długi i smutny szereg tubylców, stojących pod zamkniętymi drzwiami niewielkiego pawilonu.

– Co ci ludzie robią? – zapytał Meff.

– Stoją – lakonicznie odpowiedział młodszy z mundurowych.

– Ale po co?

– Może otworzą – stwierdził sierżant.

– A co jest tam w środku?

– Nic – powiedział młodszy i lekko westchnął.

– Jak to, przecież napisane jest: “Towary różne i mieszane".

– A co ma pisać? – mruknął podoficer. – Zresztą, może dziś coś rzucą.

– W takim razie, po co ci ludzie stoją już teraz? – w glosie podróżnego brzmiało coraz większe zdziwienie.

– Bo wolno – ożywił się młodszy – tam wolno stać, grupować się, a nawet gromadzić… – Umilkł zgaszony wymownym spojrzeniem starszego.

Dalsza droga do strażnicy przebiegła w regulaminowym milczeniu. Budyneczek na pierwszy rzut oka robił wrażenie schludne i solidne. Na drugi rzut nie bardzo starczało czasu, zwłaszcza że uwagę zatrzymanego przykuł duży napis: “Oglądanie obiektu wzbronione pod karą". Nie była to jedyna wywieszka. Obok drzwi wietrzył się spory transparent:,,Ta granica nie dzieli, lecz łączy ludzi". Ktoś dopisał poniżej “parami", zostało to zamazane, ale złośliwy wyraz wyzierał spod farby. Obok wisiał plakat: “Przemytnicy wysiadka", co jakiś

żartowniś przerobił na “odsiadka". Jak widać, okolica należała do stron wysoko rozwiniętych pod względem poczucia humoru.

Meff zachowywał się biernie. Jeszcze w górach rozważył różne wersje postępowania. Po pierwszych indagacjach zorientował się, że logiczne wytłumaczenie swego pobytu w strefie przygranicznej jest niewykonalne – mógł co najwyżej liczyć na wsparcie swojej ambasady. Z kolei ewentualna próba rozbrojenia żołnierzy i ucieczki zawierała zbyt wiele ryzyka. Inna sprawa, że sama obecność mundurowych po niesamowitych przeżyciach nocy dawała mu poczucie dwuznacznego wprawdzie, ale jednak bezpieczeństwa.

Już we wsi minął ich, pokiwawszy dłonią, mężczyzna na rowerze. Tym razem bez zająca. Pies biegnący za nim obrzucił Meffa wzrokiem pełnym jadowitej satysfakcji. Doniósł pewnie któryś z tych dwóch – pomyślał podróżny.

W strażnicy dano mu wiadro wielofunkcyjnej wody do mycia i picia. Chciano też zabrać sznurowadła, ale, ku zaskoczeniu podoficera, buty cudzoziemca nie miały sznurowadeł i zapinały się na dziwaczne przyssawki. Zadowolono się odebraniem torby i dokumentów. Z bronią Meff pożegnał się znacznie wcześniej. Sądząc po odgłosach docierających przez ścianę, długo naradzano się, telefonowano, znów naradzano. Najwyraźniej dziwny aresztant nie pasował do istniejących schematów i regulaminów.

– Powtarzam, wasza opowieść nie trzyma się kupy. Twierdzicie, że nazywacie się Meff Fawson, i to się jeszcze zgadza z dokumentem, podobnie jak narodowość i miejsce zamieszkania. Ale na tym koniec. W waszym paszporcie brak nawet stempla stwierdzającego przekroczenie granicy… – ciągnął sierżant.

– Ktoś musiał zapomnieć przystawić…

– Mało prawdopodobne. Twierdzicie też, że przybyliście do swego stryja. Konkretnie, dokąd?

– Stryj mieszka tam w lesie w takim domu z pustaków…

– W tym sęk, obywatelu, że w całej okolicy nie ma nikogo o nazwisku choćby zbliżonym do waszego, na terenie zaś, w którym przebywaliście, znajduje się od lat rezerwat ścisły i nie ma żadnych zabudowań. A jak wygląda ten wasz stryj?

– No, starszy szczupły jegomość w wieku stu czterdziestu dwu lat. Ale w papierach ma osiemdziesiąt jeden – ożywił się Meff. – Żyje, chyba bez ślubu, z kobietą o imieniu Beta. Brunetka, w zależności od ubioru wygląda na trzydzieści bądź na sześćdziesiąt lat…

Sierżant i ten młodszy wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

– Dalej upieracie się przy zeznaniu, że nie przywiózł was autobus?

– Nie, przyjechałem pociągiem. Śmieszną archaiczną ciuchcią. Tego dnia maszynista pojechał dalej niż zwykle. Miejscowość, w której stanęliśmy, nazywała się chyba tak. – Napisał nazwę na kartce

papieru.

– I chcecie, żebyśmy w to uwierzyli?

– Tak było.

– Obywatelu, czy raczej, panie Fawson. W naszym regionie nawet kłamać trzeba umieć. Kolejka, o której mówicie, kończy swój bieg dziesięć kilometrów wcześniej.

– Ale tym razem pojechała dalej!

– To niemożliwe.

– Dlaczego?

– Pozwólcie ze mną. – Sierżant przeprowadził Meffa do tylnego okna strażnicy. Rozciągał się z niego widok piękny, choć bez przesady. Teren ostro opadał w dół, przechodząc w zagajnik, który kończył się nad brzegiem rozległego, chyba sztucznego jeziora.

– Stacja, na której rzekomo pan wysiadł, znajduje się mniej więcej pod wschodnią zatoką zbiornika. Tamę postawiono dwadzieścia lat temu.

Zamęt w głowie Meffa narastał zamiast maleć. Czyżby tam, w pociągu, doznał udaru, amnezji, może ktoś rzucił na niego urok? Fakty świadczyły, że całą dobę musiał być nieprzytomny i pogrążony w halucynacjach.

– Jeszcze wczoraj zgłosiła się do nas pasażerka pociągu, obywatelka Hortensja G. Zeznała, że jakiś cudzoziemiec, tu podała pański rysopis, indagował ją o drogę do granicy…

– Może taka czerniawa, w chuście, z bagażem owiniętym w koc? Doskonale ją pamiętam. Wysiadła na przedostatniej stacji.

– Znów wyrażacie się nieprecyzyjnie. Wysiadła razem z panem na ostatniej stacji…

A więc sen. Jednak sen i Dzięki Bogu! Pal sześć idiotyczny czek, pieniądze, wszystkich diabłów. Trzeba jak najszybciej wyplątać się z tych nieporozumień, wrócić do domu i pójść do dobrego psychiatry.

Cudzoziemiec przymknął oczy. Ale kiedy je otworzył, jego wzrok, przemierzywszy ścianę strażnicy, zatrzymał się na jednej z wiszących tam fotografii.

– To! To! – wrzasnął niemal bezwiednie.

– Zgadza się. To jedna z ostatnich fotografii zatopionej stacji. A ten mały szkrab w koszuli to ja – rzekł z uśmiechem sierżant. – Ale zaraz! Skąd pan, jako cudzoziemiec, który nigdy nie bawił w naszych stronach, może wiedzieć, jak wyglądała stacja?

Znowu zrobiło mu się gorąco. Od czasu kiedy przez pomyłkę zakradł się w nocy do sypialni matki swej sympatii, w czym zorientował się dopiero rano, nigdy nie znalazł się w większych tarapatach. Tymczasem podoficer wywlókł ponownie sprawę broni znalezionej przy podróżnym. Kto mu ją dał, a w jakim celu, czy zamierzał jej użyć?

– Pistolet miałem cały czas ze sobą od chwili wyjazdu z domu.

Sierżant nieomal wybuchnął śmiechem:

– Nie symulujcie zidiocenia, mister Fawson. Pańskie zeznanie stawia kropę nad„ś" w naszym śledztwie. Mamy najlepszy dowód nielegalnego przekroczenia przez was granicy, wwóz broni jest do nas surowo zakazany, i niemożliwy!

– Ale daję słowo!… Przecież gdybym kłamał, podałbym jakieś inteligentniejsze wykręty. A poza tym, co ja bym tu robił?

– Moglibyście chcieć nielegalnie przekroczyć granicę – zauważył młodszy, w sumie bardziej dla Meffa życzliwy, cały czas zerkający z nie tajonym łakomstwem na sztruksowy garnitur cudzoziemca.

– Po co miałbym nielegalnie przekraczać granicę, skoro mam ważny paszport na wszystkie kraje świata?

– Kto was tam wie. Może szpiegowaliście?

– A co tu jest do szpiegowania?

– Więc jednak wiecie, że nic… – podskoczył sierżant.

– Wiem, że nic nie wiem! Tak jak Sokrates.

– Kto? – zainteresował się młodszy funkcjonariusz i szybko zapisał nazwisko.

– Sokrates! Taki Grek!

– A więc mieliście jeszcze wspólnika. Też cudzoziemca. Sami widzicie, im dalej w las, tym więcej dowodów obciążających.

– Ależ on dawno nie żyje! – z rozpaczą wykrzyknął Meff.

Żołnierze wymienili znów porozumiewawcze spojrzenia, i zamilkli. Skoro w sprawę zamieszany był trup, musiała być ona jeszcze poważniejsza.

Od strony drogi ozwał się stłumiony warkot.

– Nareszcie jadą – ucieszył się młodszy przesłuchujący.

Warkot ucichł przed strażnicą, ozwały się jakieś głosy. Ktoś zameldował: “Jest tu obok, panie majorze", i do pokoju wszedł zwalisty mężczyzna w mundurze.

– Gdzie szpieg? – rzucił krótko, bez powitań, do wyprężonych żołnierzy.

– Tu jest, panie majorze! – odpowiedzieli chórem.

– Zabieram go ze sobą – powiedział oficer zbliżając się do Meffa. Mundur ledwo mógł pomieścić przysadziste cielsko, a nalana śniada twarz wydała się Fawsonowi dziwnie znajoma.

– Tylko dlaczego przyjechał pan major, skoro uprzedzali o przyjeździe kapitana? – spytał nagle sierżant.

Tajfun “Iwan", który w i995 roku spustoszył zachodnie wybrzeża Kalifornii, miał znacznie mniej dynamizmu niż rozsypujący się oficer. Meff zdążył poznać mechanizm syntezy diabelskich pomocników, teraz był świadkiem analizy czy, jak kto woli, rozmnażania przez podział. Przezornie usunął się na bok. Nie minęło pół sekundy, a trzej

czarni funkcjonariusze piekieł przystąpili do działania. Żółciejszy obalił za pomocą karate sierżanta, czarniejszy znokautował żołnierza, a najbielszy porwał za rękaw Fawsona, wydając przy tym najbardziej zrozumiałą komendę świata: “W nogi!" Wypadli ze strażnicy, zanim ktokolwiek zdążył zareagować. Wartownik padł rażony bykiem. Motor z przyczepą czekał o parę kroków. Niestety. Od strony centrum wsi widać było unoszący się tuman kurzu. Widocznie nadjeżdżał autentyczny kapitan.

– W las! – wrzasnął czarny.

W trójkę wpadli między młode świerczki. Żółty, zostawszy nieco z tyłu, wydobył nie wiedzieć skąd automatyczny pistolet i omiótł serią drogę. Dwie pasące się na niej gęsi podniosły skrzydła do góry, ale nie uchroniło to ich przed egzekucją. Meff biegł, nie zadając żadnych pytań. Widział, jak czarniawy wymachuje jego jakimś cudem odzyskanym neseserem. Biały, gdy przystanęli na chwilę paręset metrów dalej, wetknął Fawsonowi plik papierów.

– Uważaj, tam są wszystkie listy.

A potem znów popędzili w dół. Do trzasku gałęzi za nimi i okrzyków goniących żołnierzy, których musiało być więcej, niż można by się spodziewać, doszło nieprzyjemne ujadanie. Ktoś spuścił psy.

Meff lubił zwierzęta, ale bez przesady. Oszołomiony, ogłupiały natłokiem wydarzeń, biegł dysząc przeraźliwe za tym najczarniejszym, torującym drogę przez zarośla.

– Co ze stryjem? – zapytał podczas kolejnego postoju. – Nie żyje?

– Wykonał zadanie i został na własną prośbę odwołany na Dół – rzekł białawy. – Teraz wszystko jest na pańskiej głowie.

– A Beta?

Czerniawy roześmiał się, ukazując równe ciemne zęby.

– Wpadła mu w oko, filut…

– Pospieszcie się – wrzasnął żółtek – okrążają nas!

– Nie jestem dobry na długie dystanse – zwierzył się Meff.

– To już niedaleko.

Raptownie ściana krzaków rozdarła się i Fawson zahamował, łapiąc powietrze jak odcedzona z wody ryba. Byli na brzegu retencyjnego zbiornika. Lustrzaną powierzchnię marszczył lekki wietrzyk. Jak okiem sięgnąć – ani łódki, pontonu czy choćby kawałka drewna.

– Nie najlepiej pływam! – zawołał podróżny.

– Drobiazg – skomentował żółty, który wyglądał na najbardziej przedsiębiorczego z całej trójki. – Chodźcie, chłopaki!

Kolejny trick przypomniał Meffowi jego ulubioną zabawkę, klocki “Lego". Okazało się, że piekielni aktywiści mogą łączyć się również wzdłuż. W mgnieniu oka czarny wskoczył na białego, na czarnym uplasował się żółty, ciała ich zrosły się błyskawicznie, tworząc coś w

rodzaju węża morskiego z ludzką głową.

– Siadaj na nasz kark! – padło polecenie.

Posłuchał. “Samotrzeć podłużny" błyskawicznie wsunął się do wody i bystro jął pruć chłodną toń. Kiedy znajdowali się pośrodku akwenu, ścigający wypadli na brzeg i bezradnie kręcili się po łące. Ktoś strzelił, lecz chybił paskudnie. Pierwszy człon węża uniósł na pożegnanie rękę, układając palce w kształt, który jednym przywodzi na myśl playboyowskiego króliczka, dla innych zaś jest symbolem zwycięstwa.

Albinos spotkał Pucołowatego w stołówce. Cherubinek, zaczytany w lekturze najnowszej publikacji Tofflera, nawet nie zauważył, że jego łyżka od pięciu minut omija talerz, wykonuje jałową ewolucję w powietrzu i przenosi pustkę do ust. Inna sprawa, że różnica z punktu widzenia gastronomicznego była niewielka – dziś na obiad zaaplikowano pracownikom zupę “nic".

– I co o tym myślisz? – rzucił białowłosy, którego wąskie wargi nadawały twarzy pewien wyraz bezwzględności.

– Sądzę, że o losie ludzkości w ostatecznym rozrachunku zadecyduje psychologia, a nie ekologia – odrzekł zapytany, nie zaprzestając bezpłodnego wiosłowania.

– Myślę o tej paskudnej aferze z mister Fawsonem – Albinos bezceremonialnie wyjął książkę z rąk zajadłego czytelnika. – Czytałeś raporty?

– Czytałem. Manewr 94 pod tytułem “Ostrzeżenie" poniósł klęskę. Doszło do spotkania.

– Nie znasz jeszcze iskrówki na temat korekt. Próba nadania całej sprawy miejscowym organom spaliła na panewce. Wymknął się.

– Po raz kolejny nie doceniliśmy faceta! Zresztą, pracując takimi metodami…

– O to to to! – ucieszył się Albinos i przysunął bliżej kolegi. – Powiem szczerze, metody naszego staruszka są, lekko mówiąc, anachroniczne. Świat poszedł naprzód, kwitnie gwałt i przemoc, korupcja i terror, a my posługujemy się metodami świętego Franciszka! Tu trzeba raczej ręki Savonaroli lub Torquemady…

– Cii… – Pucołowaty rozejrzał się niespokojnie. – Wiesz, że stary nie lubi wspominać tych ubolewania godnych błędów i wypaczeń.

– Ale mam rację?! Co?

– Prywatnie muszę ci przyznać. Ale…

– Mówmy szczerze, braciszku, jeśli dalej będziemy grali, tak jak gramy, ani się obejrzymy, a nie będzie w co grać…

– Nie powinienem słuchać tych herezji.

– Ale w duchu przyznajesz mi rację?

– Rozmawiaj o tym z szefem, nie ze mną. Może chcesz trochę

zupy?

– Dziś poszczę. A szefa łatwo się nie przekona. Mam zresztą inny pomysł.

– To znaczy?

– Wykazać własną inicjatywę!

Blondyn o twarzy cherubinka wstał tak gwałtownie, że wszystkie pracownice, przy sąsiednich stolikach, pochłonięte spożywaniem dietetycznego kisielu, odwróciły głowy.

– Czy wiesz dokładnie, co mi proponujesz?

Albinos nic nie odpowiedział, tylko pociągnął go za ramię, w korytarzu zaś począł zdanie po zdaniu wyłuszczać własną koncepcję.

– Pamiętaj, jeśli się uda, rozgrzeszą nas ze wszystkiego, i to dwa razy.

Meff spał źle. Dręczyły go koszmary. Oto stąpał po wielkich, położonych na płasko żaglach, tak silnie naprężonych, że prawie nie uginających się pod stopami, i nagle, patrząc pod nogi, dostrzegł na tkaninie olbrzymią ilość rudawych plam, identycznych jakie wywołuje płonąca za – pałka zbliżona od spodu do kartki papieru. Plamy rosły, już po chwili języczki ognia przeskoczyły na drugą stronę. Całe żaglowe pole pokryło się setkami symetrycznie ustawionych zniczy. Zerwał się wicher. Kłęby dymu układały się to w gigantyczną postać Bety, to przypominały trzech czarnych, to wreszcie otaczały Meffa zwartym kręgiem. Płótno pękało, jak wydzierane z arkusza znaczki pocztowe. Ogień ciął materiał na coraz mniejsze kawałki, które jak tafle kry zaczynały kołysać się w powietrzu, potem tonąć. Fawson usiłował biec, przeskakiwać z płachty na płachtę, goniony cygańską muzyką i robactwem, które, ścigane ogniem, zaczęło wypełzać spod płachty i wspinać się na jego nogi. Daleko w dole przelewały się dziwne fale, unosząc się coraz wyżej i wyżej. Co mógł oznaczać ten sen? Rozpad systemu wartości? krach pewnej naciągniętej koncepcji? zapowiedź zagłady?

Nagle Meff spostrzegł, że oszalałe fale nie są wodą, lecz rozpaloną lawą. W lawie tej kraulem przedzierało się kilkudziesięciu nieszczęśników. Każdy z nich miał w zębach sznur. – Wio, wista wio – odzywał się z tyłu znajomy rechot. To stryj sunął w kostiumie kąpielowym na nartach piekielnych, niczym Amfitryta ciągniony przez zaprzęg potępionych. A kawałki płótna opadały coraz niżej.

– Prosimy zapiąć pasy, nie palić.

Podróżny poderwał głowę. W perspektywie majaczyła sylwetka wieży Eiffla. Samolot podchodził do lądowania w Paryżu.

To, co działo się przez ostatnie kilkanaście godzin, było jeszcze bardziej niezwykłe niż happening poprzedniej nocy. Niezwykłe poprzez swoją całkowitą normalność. Na drugim brzegu jeziora czekał

na uciekinierów zaparkowany samochód. Czarni przekształcili się natychmiast w jednego grubego szofera w liberii, który nie zwlekając zapuścił silnik. Z polnej ścieżki wypadli na zwykłą drogę, ze zwykłej drogi na szosę pierwszej kolejności odśnieżania, ale akurat była jesień i nikt nie odśnieżał. Nikt ich też nie ścigał. Parokrotnie na rogatkach miast mijali posterunki o niejasnej przydatności. Jak wyjaśnił kierowca, obliczały one dla celów statystycznych rozwój motoryzacji na drogach, i znów ich nikt nie zatrzymał. Być może samochód posiadał jakieś szczególne znaki rejestracyjne albo po prostu mieli szczęście.

Fawson przeważnie milczał. Co zresztą miał powiedzieć, że się bardzo cieszy z funkcji dyżurnego szatana albo że prosi o zwolnienie z tego stanowiska? Przede wszystkim nie wiedział, w jakiej zależności pozostawał wobec niego diabelski “Samotrzeć". Niby jego podwładni, ale ustawicznie zachowywali się, jakby wszystko wiedzieli lepiej, i pewnie wiedzieli.

– Ale wdepnąłem! – powtarzał sobie po raz milionowy, chociaż w gruncie rzeczy nie bardzo jeszcze wierzył w realność sytuacji. Wietrzył żart, trick, kawał. Żyjąc trzydzieści pięć lat jako ateista, materialista i realista, nie dopuszczał do świadomości przeszeregowania na funkcjonariusza średniowiecza. Ciągle żywił nadzieję, że lada moment obudzi się albo gdzieś z zaświatów wypłynie napis: “Koniec filmu".

Ale nie wypłynął. Czarni opowiadali sobie jakieś rubaszne kawały, których nie rozumiał, dotyczyły bowiem stosunków w owym dziwnym kraju, którego miał nadzieję nigdy więcej nie odwiedzać. Z tego, co obserwował po drodze, najwięcej było w nim kominów, pomników, kładek przerzuconych nad drogą i haseł. Niektóre zaskoczyły go swą poetyckością. Ot, wykuty w ścianie napis: “Chodniki dla pieszych" albo: “Lepsze pojutrze od lepszego jutra" czy wreszcie: “Żeby droga była drogą". Po dłuższym namyśle Meff uznał te napisy bądź za naturalne przejawy folkloru, bądź za zabiegi kabalistyczne, mające dogonić złe siły, co przywodziło mu na myśl tybetańskie młynki, mielące teksty modlitwy. W miastach, mimo wczesnego popołudnia, zdumiewała olbrzymia liczba ludzi tłoczących się na chodnikach i ustawionych w długich rzędach bezczynnie wzdłuż ścian.

Jakież tu musi być nieprawdopodobne bezrobocie! – pomyślał.

Niepokój budziła w nim kontrola graniczna ze względu na brak stempla w paszporcie i walizkę pełną pieniędzy. Czarni przepakowali mu cały bagaż w toalecie, nalegając wszakże na odpalenie im jednej trzeciej gotówki, czego zdecydowanie odmówił.

Aliści przejście przez ucho igielne kontroli i wyceny udało się dziwnym trafem. Pieczątka w paszporcie znajdowała się we właściwym miejscu, walizka zaś była wypełniona pełnym zestawem

miejscowych liści. Meff, nie mniej zaskoczony niż celnik, błyskawicznie stwierdził, że pragnie wykorzystać wywożoną kolekcję w doktoracie pod tytułem “Elementy listowia w ornamentach sztuki europejskiej, na tle zielonym".

Urzędnik pożegnał Fawsona wylewnie. Zapraszał serdecznie do ponownej wizyty i nienachalnie pytał, czy mógłby otrzymać na pamiątkę zegarek Meffa? Notabene wraz z przekroczeniem zbiornika wodnego seiko wznowił swoją (gwarantowaną całym potencjałem japońskiej myśli naukowo – technicznej) działalność. Nikt nie zainteresował się kopertami. Czarni zniknęli bez pożegnania. Kiedy samolot zaczął kołować po płycie, całe skondensowane zmęczenie spłynęło na Fawsona. Przełknął cukierek i runął w ramiona Morfeusza, które zacisnęły, się wokół niego mocnym braterskim uściskiem.

III.

Paryż… Miasto Notre – Dame i Moulin Rouge, Ludwika Świętego i Brigitte Bardot przywitało Meffa ciepłym i drogim kapitalistycznym powietrzem. To powietrze dawało mu bezsporne poczucie kultury i bezpieczeństwa. Zawsze kiedy odwiedzał trzeci i dalsze światy, miał jego odrobinę w podręcznym sprayu.

Dzień był jak najzwyklejszy. Korki na ulicach, bukiniści nad Sekwaną, turyści wśród zabytków. Ogólnie biorąc – spokój. Poza eksplozją w synagodze, próbą samo – spalenia jednego cymbała przed Giocondą w Luwrze i demonstracją trzydziestu tysięcy nagich kobiet protestujących na Polach Elizejskich przeciwko szykanowaniu kobiet w krajach wojującego islamu (zwłaszcza od czasu pojawienia się kolejnego Nowego Mahdiego) nie było na czym zaczepić oka. Do odlotu jumbo – jeta pozostało półtorej godziny. Fawson podjął decyzję: w żadne diabelstwa bawić się nie będzie. Czarni pozostali w swoim zadupiu, za szmal, który ma, bez wysiłku załatwi sobie w kraju odpowiednią obstawę, a wtedy nawet piekło mu nie podskoczy.

W hallu air – portu wyciągnął z zanadrza pakiet listów, ważył je przez chwilę w ręku, po czym cisnął do najbliższego kosza. Przez chwile zamierzał tak samo Dostąpić z zawartością torby (liście ponownie zmieniły się, w szmal), ale po namyśle doszedł do wniosku, że należy mu się jakaś rekompensata za przeżyte stresy. Moralność Meffa była rozciągliwa jak dobra szwedzka prezerwatywa i po niewielkiej ablacji nadawała się do wielokrotnego użycia.

Oczekując na odlot, obserwował tłum. Dworce lotnicze, wieże Babel dzisiejszego świata, mają w sobie coś fascynującego. Jak w kalejdoskopie mieszają się najrozmaitsze odcienie skóry, garnitury Europejczyków, burnusy Arabów, hinduskie sari… Meff posiadał, co warto zaznaczyć, ciekawą aberrację optyczną. Jego wzrok był arcy-selektywny. Nie zauważał ani rozwrzeszczanych dzieci, ani spoconych bagażowych, ani amerykańskich turystek w wieku Abrahama Lincolna (gdyby żył). Siatkówka, matówka, soczewka i źrenica głównego specjalisty od reklamy skierowane były na wyszukiwanie i rejestrowanie młodych, ładnych i samotnych kobiet.

Fawson lubił kobiety. Mało powiedziane, lubił – przepadał za kobietami! Zwłaszcza za świeżo poznanymi. Jego samczą jaźń zamieszkiwał tygrys seksu – atawistyczny instynkt łowcy. Jeśli jest w kocie coś, co mimo nasycenia każe mu gonić za każdą myszą, a dogoniwszy, igrać z nią okrutnie, tak w naszym świeżo upieczonym szatanie trwał, rosnący z biegiem lat, pęd do zmian. Może dlatego nigdy się nie ożenił. Owszem, uznawał żonę za dobrą instytucję, ot, chociażby do prania skarpetek (tak skazany był na kupowanie dwóch

par dziennie), ale panicznie bał się ograniczenia swojej wolności. Dlatego tak lubił Marion – była pod ręką, lubiła kochać się w godzinach pracy, miała zawsze ochotę i nie stawiała żadnych warunków. Zresztą, niechby spróbowała – podlegała przecież Fawsonowi służbowo.

Czy kobiety lubiły Fawsona? Rzecz dyskusyjna. Szybko poznawały jego manię i tylko co piąta decydowała się na krótki, acz esencjonalny romans, przypominający ceregiele rodowitego Anglika z herbatą, najpierw słodzenie, dalej parzenie, na koniec wylewanie. Ponieważ jednak prą-prawnuczek Mefista startował w swej ulubionej dyscyplinie częściej niż przeciętny tenisista w deblu, z tych co piątych można byłoby skompletować dobry żeński college czy średniej wielkości zakłady włókiennicze. Jak każdy egoista, Meff żywił podskórną nadzieję, że kiedyś z banalnego romansu urodzi się wielka miłość, ale patrząc realnie wiedział, że prędzej lipa mogłaby zaowocować bananami.

Nic nie denerwowało bardziej naszego bohatera niż widok ładnej kobiety w towarzystwie mężczyzny. Facet wchodzący w jego zawężone pole widzenia, nieodmiennie jawił mu się jako kabotyn, patologiczny brutal, intelektualny neandertalczyk, skaza na krysztale albo czyrak na mózgu.

Pstryk!

W kadrze Fawsona pojawiło się coś wartego zainteresowania. Szczupła, z tego gatunku, który Amerykanie lubią najbardziej. Wyobraźmy sobie subtelniejszą Marilyn Monroe, o ogromnych oczach, twarzy bezbronnego dziecka, biuście, jaki rzadko można znaleźć na wschód od Gór Skalistych, z grzywą blond włosów i małą śmieszną torebką bezradnie obijającą się o szczupłe nóżki. A co najważniejsze, była sama. Rozglądała się z wyraźnym odcieniem zawodu i co chwila spoglądała na zegarek. Widocznie mężczyzna, jakiś, cymbał, którego przekorny los postawił na jej drodze życia, lekceważąc cudo oddane do jego wyłącznego użytku, spóźniał się albo w ogóle postanowił nie przybyć. Może zresztą dziewczyna czekała na mamusię albo brata wracającego z dalekich lądów? Tak byłoby lepiej.

Meff miał jeszcze trzy kwadranse do odlotu, zresztą, pal sześć odlot, cała flota powietrzna boeinga nie była warta jednej łydki samotnej blondynki, którą, jako bezbłędny degustator, oceniał na najwyżej dwadzieścia lat.

Spróbujmy – Fawson oblizał usta z miną skrzypka smarującego smyczek kalafonią i począł schodzić ze schodów.

W tym samym momencie dziewczyna machnęła ręką, obróciła się i ruszyła w stronę wyjścia. Pospieszył za nią. Mijając jeden z telewizorów emitujących fragmenty dworca, rzuciła w jego stronę spojrzenie. Meff mijał inny odbiornik, ale machinalnie również

odwrócił głowę.

I zobaczył. Trzech czarnych, teraz wyglądających na rodowitych przybyszów z algierskiej Kasby, szło środkiem głównego hallu.

– Cholera!

Ogarnęło go przerażenie. Pomyślał o wyrzuconych listach i o swym zamiarze dezercji. Wybiegł z dworca. Dziewczyna już zgubiła się w tłumie. Na podjeździe dla taksówek stało kilku czekających. Meff rozejrzał się bezradnie.

– Pan do miasta? – tuż przed nim zahamowało z piskiem błękitne renault. – Możemy podrzucić.

Wskoczył ochoczo, wymieniając nazwę pierwszego hoteliku za Pigallem. Kierowca, pucołowaty blondasek, ucieszył się i stwierdził, że jedzie właśnie w tym kierunku. Ruszyli. Fawson nerwowo zerkał w lusterko, ale czarni nie pojawili się przy wyjściu.

– Może papieroska? – ten z tyłu, dotąd niewidoczny, o włosach jasnych jak wata, wychylił się do pasażera.

– Chętnie!

Już pierwsze zaciągnięcie się lekko zaskoczyło Meffa. Drugie nie wywołało żadnego wrażenia, nie trafiło bowiem do jego świadomości. Duch Fawsona gdzieś się zapodział, a ciało bezwładnie opadło na fotel.

Anita miała sporo intuicji. Kołysząc torebką i spoglądając na zegarek, doskonale zdawała sobie sprawę, że jest obserwowana. Zerkając niby w telewizor, kątem oka zauważyła, jak nieznajomy przyspieszył kroku. Nigdy dotąd nie zawierała przypadkowych znajomości, ale wyraz twarzy tego dandysa bardzo ją rozbawił. Wybiegła z hali i stanęła za filarem. Podrywacz również wypadł z budynku lotniska. Widziała go z profilu. Teraz jednak na jego twarzy malowało się autentyczne przerażenie. Zobaczyła, jak rozgląda się w poszukiwaniu taksówki i już miała zaproponować mu swój stary, pożyczony od koleżanki volkswagen, kiedy ubiegł ją jakiś renault. Elegant wsiadł bez wahania, lecz kiedy wóz ruszył i z tylnego siedzenia podniósł się szczupły albinos, nie miała wątpliwości. Nieznajomy wpadł w pułapkę.

Przez moment pomyślała o zawiadomieniu policji. Nie przepadała jednak za tą instytucją. Wierzyła w sprawiedliwość realizującą się bez pomocy organów ścigania. Coś jednak wypadało zrobić? O dogonieniu “renówki" trudno było marzyć. Kiedy walczyła z myślami, tuż przed nią wyrósł chudy smagły Algierczyk.

– Nie widziała pani przypadkiem tego człowieka? – tu machnął jej przed oczyma zdjęciem dandysa.

– A pan kto? – spytała nieufnie.

– Jego ochrona – padła odpowiedź.

– Ładnie go chronicie – parsknęła – minutę temu ktoś podobny do niego został porwany przez dwóch facetów samochodem marki Renault.

– Pani pojedzie z nami! – Nie wiadomo skąd pojawili się dwaj prawie identyczni południowcy, z tym że jeden bardziej wyglądał na Berbera, a drugi miał rysy Turka.

Anita, zaskoczona kategorycznym zwrotem, nie zaoponowała. Południowcy otworzyli, przysięgłaby, że bez pomocy kluczyków, drzwi pierwszego z brzegu mercedesa, i zaczął się pościg.

Że są ścigani, Cherubinek zorientował się dopiero po dwudziestu kilometrach. Oczywiście, nie jechali w stronę Paryża, tylko w odwrotnym wręcz kierunku.

– Mamy kogoś na karku – powiedział do kolegi – biały mercedes!

– Dodaj gazu – warknął Albinos.

– Duszę do dechy!

– Duś dalej!

Błękitny renault gnał, prawie nie dotykając kołami autostrady. Meff spał jak zabity. Jego szczęście, źle znosił kosmiczne szybkości rozwijane na ziemi. Osłupiali policjanci nie reagowali na ten niezwykły wyścig, sądząc zapewne, że są świadkami kręcenia kolejnego filmu z Delonem.

– Hej, mięczaki! Zatrzymajcie się! – zagadało nagle wyłączone radio. – Nie macie żadnych szans! Amatorzy nie powinni brać się za taką robotę!

– Mają nas! – jęknął Pucołowaty.

– Jeszcze nie – burknął jego albinotyczny współtowarzysz. – Zjeżdżaj w prawo!

Tylko opiece Opatrzności można zawdzięczać, że skręt przy pełnej prędkości nie zakończył się katastrofą. W pewnym sensie była to jednak katastrofa, samochód nie zmieścił się w wirażu, wypadł z trasy, przeleciał kilkanaście metrów w powietrzu, aby opaść na zupełnie inną odnogę rozjazdu, precyzyjnie kołami do dołu, choć pod prąd. Żaden z resorów nie zawiódł.

Oczywiście, manewr nie uszedł uwadze ścigających. Prowadzący mercedesa nie zaryzykował jednak podobnej sztuki. Ponieważ próba dotarcia na to samo miejsce w sposób zgodny z przepisami ruchu drogowego praktycznie była niewykonalna, siedzący obok Anity czarny o wyglądzie Turka wybrał inny wariant. Otworzył drzwi, akrobatycznym wślizgiem wywinął się na dach mercedesa i w momencie gdy wjechali na wiadukt ponad rozjazdem, na którym, wśród samochodów trąbiących i piszczących hamulcami, szamotała się “renówka" – skoczył. Anita krzyknęła. Nie lubiła samobójstw i samobójców. Atoli śmiały kaskader nie zginął. Jego ortalionowy płaszcz rozpostarł się niczym fałda skórna latającej wiewiórki, pilot

lotem szybowcowym przemierzył kilkadziesiąt metrów i zwinnie opadł na dach umykającego samochodu.

Łomot i mocne wgięcie sufitu nie uszły uwagi Albinosa.

– Mamy lokatora – zawołał – strząśnij tę poczwarę!

Akurat z niemałym trudem udało się kierowcy ustawić pojazd zgodnie z ogólną cyrkulacją. Przystąpił więc do prób pozbycia się, intruza, który przykucnął na dachu i dla postronnego obserwatora przypominał zająca usiłującego kopułowa ć z żółwiem.

Gwałtowne ruchy kierownicą, chociaż doprowadziły do klaksonowych protestów pozostałych użytkowników drogi, nie wywołały na pasażerze na gapę żadnego wrażenia. Przywarł mocniej, usiłując wbić ostre zęby w dach wozu. Jednak solidna i śliska blacharka stawiła zdecydowany opór.

Albinos wyciągnął spluwę.

– Oszalałeś, nie wolno nam! – krzyknął Pucołowaty.

– W obronie własnej?! Nie mamy innego wyjścia. – Precyzyjnie obliczył miejsce, w którym musiał być środek brzucha dachowca, i strzelił.

Nie docenił przeciwnika. “Turek", który, jak wiemy, potrafił dowolnie przekształcać swe ciało, rozsunął mięśnie, tak gładkie, jak i poprzecznie prążkowane, i przez powstały otwór puścił kulę, która przeszła na przestrzał, nie wyrządzając mu najmniejszej szkody.

– Charakternik, kule się go nie imają! – zawołał białowłosy.

– A wziąłeś te poświęcone?

– Wziąłem zwykłe.

– No to trzymaj się dobrze.

Pucołowaty gwałtownie zahamował, doprowadzając w sposób kontrolowany do tego, co w przypadku niekontrolowania staje się ostatnim wyczynem niewprawnych kierowców. Wóz wpadł w poślizg, wyleciał z szosy, dachował dwukrotnie, aby stanąć znów na kołach i wrócić na szlak.

Jeśli na dachu znajdował się ktokolwiek, musiała zostać z niego mokra plama. Aliści czarny, nie w ciemię bity, w momencie poślizgu wykonał umiejętny skok na bok. Przekoziołkował kilkadziesiąt metrów, ale nawet wśród koziołków potrafił ominąć przydrożny słupek i wylądować na krzaku, dość wprawdzie kolczastym, ale elastycznie hamującym impet.

– Udało się! – ucieszył się pucołowaty okularnik i dodał spoglądając na wiszące w pasach bezwładne ciało Meffa: – Straciłeś sporo emocji, braciszku.

Tak czy owak zyskali nad goniącymi parę minut. Oczywiście, nie była to wielka przewaga. Tymczasem droga wpadła w niewielki lasek.

– Zwolnij – powiedział Albinos odpinając pasy Fawsona.

Nieprzytomny mężczyzna wypadł z wozu i zsunął się w zarośnięty

rów.

– Świetnie! Jest zupełnie niewidoczny. Prędko go nie znajdą!

– Chcesz go tak zostawić? – zawołał prowadzący.

– A masz jakieś lepsze rozwiązanie? Tamtym nie uciekniemy, a przede wszystkim posłuchaj…

Z breloków przy zegarkach odzywał się wysoki dźwięk harfy, znany każdemu pracownikowi ich firmy. Nakaz bezwarunkowego powrotu do bazy.

Czarni dopadli ich w pół godziny potem przy stacji benzynowej. Profilaktyczne serie oddane w opony unieruchomiły i tak mocno poturbowaną “renówkę". Albinos i Pucołowaty wyszli z rękami uniesionymi do góry.

Napastnicy przeszukali wóz. Daremnie.

Anita, obserwująca ich z mercedesa, obawiała się, że kolorowi zamordują porywaczy, ale widocznie obie strony obowiązywały jakieś umowy i ograniczenia w działaniu, bo zadowoliwszy się serią niewybrednych przekleństw, na których dźwięk policzki obu pracowników pokryły się dziewczęcymi rumieńcami, pseudo – Algierczycy wrócili do mercedesa.

– A gdzie wasz podopieczny? – zapytała Anita trzech mocno niezadowolonych “kolorowych".

– Znajdzie się – odpowiedział Berber. Turek milczał, w automacie kupił trzy porcje lodów i obecnie smarował nimi liczne pokłute i pokaleczone zakątki ciała.

– To ja może wysiądę – zaproponowała dziewczyna, najwyraźniej syta wrażeń.

– Po wszystkim odwieziemy panią z powrotem na lotnisko – stwierdził ten najbardziej przypominający Algierczyka.

Szpakowaty przyjechał po obu amatorów indywidualnych działań dopiero po dwóch godzinach, ugrzązł w korkach zwiastujących rozpoczęcie godzin szczytu komunikacyjnego. Nie rzekł im ani słowa zarzutu, może dlatego, że oczekując na jego przyjazd, Albinos i Pucołowaty przezornie postarali się o dwie włosiennice, dyscyplinę oraz odrobinę popiołu celem posypania głów.

Koziołki i podmokły rów podziałały na Meffa lepiej niż najbardziej troskliwy anestezjolog. Ocknął się z uśpienia, obolały wstał na nagi i kusztykając ruszył w stronę lasu. Nie wiedział, co się stało, ale rozsądek podpowiadał mu, że najlepiej zrobi szukając odpowiedniego ukrycia.

Przeszedł lasek, po drugiej stronie znajdowała się jakaś wioska. Kilkanaście domków, kościółek. Wytworne ubranie Fawsona wyglądało jak wyjęte psu z gardła, policzek miał obtarty, kolano spuchło. Idąc w stronę zabudowań wiedział już, co zrobi. Pójdzie do

kościoła! Lepiej późno niż wcale. Jego ateistyczny pogląd na świat rozsypał się jak pęknięta makówka. Pójdzie do kościoła! Zwierzy się pierwszemu lepszemu księdzu. Wyspowiada… Gorączkowo próbował sobie przypomnieć tekst pacierza, odmawianego niekiedy przez Marion, która, zanim po raz pierwszy dopadł ją na biurku, była przyzwoitą dziewczyną z dobrej katolickiej rodziny sklepikarzy i artystów. Kiedyś, gdy wybrali się razem na wycieczkę, próbowała go nawet nawracać, ale obrócił propozycje, w żart.

Doszedł wreszcie do kościoła, szybko wbiegł na schodki i nagle padł. Na moment go ogłuszyło. Jego głowa zderzyła się z niewidzialnym murem o elastyczności sztucznego tworzywa. Spróbował ponownie. Daremnie. Wokół świątyni ciągnęła się całkowicie przeźroczysta ściana, uniemożliwiająca wstęp.

Skrzypnęły zawiasy, drzwi uchyliły się i z kościółka wyszła mała ciemnowłosa dziewczynka. Przeszła, obok Meffa i uśmiechnęła się przyjaźnie. Z jej twarzy emanowała pogoda i spokój. Usiłował przedostać się w tym samym miejscu. Znowu ściana!

Teraz dotarło do niego to, czego nie przyjmował, nie chciał i nie mógł przyjąć do wiadomości przez ostatnią dobę. Klamka zapadła. Podpisał. Zaprzedał się. Strach uniósł mu włosy na głowie, a uszami duszy posłyszał chlupot rozżarzonej lawy. Jednocześnie dobiegł go własny krzyk:

– Nie chcę być diabłem! Nie chcę być diabłem! Boże, ratuj!

Z głuchym łoskotem zatrzasnęły się wrota świątyni. Fawson usiłował klęknąć, ale nie mógł, tak jakby jego ciało otoczył gorset, usta, które składał do modlitwy, ciskały wulgarne złorzeczenia. Obrócił się. Trójka “opiekunów" oczekiwała, oparta o stojącego mercedesa. Najczarniejszy z “cerberów" machał znajomym pakietem piekielnej korespondencji. W głębi siedziała piękna z dworca lotniczego. Ona też? Zrezygnowany ruszył w kierunku wozu. A co miał robić?

IV.

Drogi Mój wielce, zwłaszcza że Jedyny, Bratanku! Odwołany na wiosną prośbę i ze względu na zły stan zdrowia, co zwykło u nas chodzić w parze, zostawiłem Cię poniekąd bez pożegnania, ale jest też i Twojej winy trochę, albowiem trudno było mi Cię pożegnać, kiedy tak raptownie, jak mawiają w kołach zbliżonych do Hollywoodu, film Ci się urwał…

Meff przerwał na moment lekturę i podrapał się w głowę: skąd stryj, pisząc ten list jakiś czas temu, na co wskazywały i pożółkły papier, i wyblakły atrament, mógł przewidzieć, jaki obrót przybierze wieczorek powitalno-pożegnalny w jego górskiej daczy? Czytał jednak dalej.

Jak mogłeś się zorientować, jestem zwolennikiem stawiania na młodych i puszczania ich od razu na głębokie wódy (chyba pomyłka literowa – powinno być wody"), bo tylko w ten sposób mogą się czegoś nauczyć. Jak mawiają w naszych stronach: "Uczyć się, uczyć i jeszcze raz uczyć!" List ten, jak zapewne zauważyłeś, nosi numer jeden. Od tej chwili co dwa dni będziesz otwierał kolejną kopertę. I tak masz czynić, aż się wypełni to, co się ma wypełnić! Piszę stylem cokolwiek chropawym, ale niestety, nasza literatura piekielna od wieków drepcze w miejscu, zresztą, prawdę powiedziawszy, nie wydała ona dotąd ani swego Szekspira, ani Boileau, a Dante, choć korzystał z naszych inspiracji, potem się ich wyparł. Kiedy u zarania świata nastąpiło "podzielenie kompetencji", "Białe" nie tylko dostały pierwszy ruch, ale również mogły wybierać specjalizację. Wybrały kierunki humanistyczne, nam z konieczności przypadły nauki techniczne. Jak zapewne słyszałeś, przez długie wieki "konkurencja" określała je mianem wiedzy tajemnej, rzucała kłody pod nogi alchemikom i lekarzom. Stąd piekło – kiedyś sam to stwierdzisz – jest całkiem nieźle rozwinięte cywilizacyjnie. Elektryfikację przeprowadziliśmy już w XVII wieku, a wszystkie diabły funkcyjne mają służbowe ślizgacze do poruszania się w płynnej lawie…

A więc jednak nie narty ciągnięte przez potępionych?

Na temat naszego świata narosło mnóstwo, nieporozumień i zafałszowań, wynikających z konsekwentnej nieżyczliwości "Białych", którzy całe wieki starali się naszą czerń jeszcze bardziej zaczernić. Wizy udzielane przez nas hojnie, podobnie jak stypendia twórcze dla ziemskich artystów, wykorzystywane były w sposób niegodziwy do szpiegowania naszych posunięć, mącenia w głowach młodym diabłom, a na zewnątrz do czarnej propagandy. Taki Memling na przykład przebywał u nas sześć miesięcy na koszt Piekielnego Związku Artystów Plastyków, a potem obsmarował nas w swym Sądzie Ostatecznym w sposób złośliwy i tendencyjny. Bardziej wierne prawdzie malowidło Hieronima Boscha zostało błędnie zatytułowane i prawdziwy obraz piekła określony jako

Ogród rozkoszy. Owszem, nie taimy, panuje u nas niezbędna dyscyplina i skromne warunki bytowe, ale wynikają one jedynie z konieczności zachowania hartu ducha (stąd stałe hartowanie poprzez kąpiele w smole i siarce, zresztą krótkie i pod okiem lekarzy) oraz przeciwdziałania nieustannym podchodom strony przeciwnej.

Jednakowoż nie będę rozwodził się nad opisami naszych stron, przodujących nie tylko pod względem termicznym. Sam wpadniesz, to zobaczysz.

Pragnę przejść do szczegółów misji, której końca mój wiek i zużycie nie pozwalają mi doczekać. Twoje pierwsze zadanie po ustaleniu bezpiecznej bazy winno polegać na zmontowaniu odpowiedniej ekipy, niezbędnej do przeprowadzenia akcji, której szczegóły ujawnię Ci w następnych listach. Tu uwaga! – nie radzę Ci otwierać ich już teraz, napisane są bowiem atramentem, który staje się widoczny dopiero w określonym terminie. We wszystkich swych poczynaniach możesz zdać się na moich chłopców. Są to ćwierćdiabły niższego zaszeregowania, poczciwe, choć prymitywne, wyhodowane przez naszych zasłużonych naukowców drogą krzyżówek i doboru nienaturalnego. Mają zakodowane bezbłędne posłuszeństwo i imperatyw zapewnienia Ci bezpieczeństwa. W wypadku konfliktu tych dwóch zdań, Twoje bezpieczeństwo znajduje się na pierwszym miejscu! Oczywiście, mają również polecenie, i to nie podlegające dyskusji, niedopuszczania do Twego wycofania się z przedsięwzięcia, o co, rzecz jasna, nikt Cię nie podejrzewa. A umieją to robić! A zatem pierwsza sprawa, zgromadzenie współpracowników…

– Skąd mam ich, u licha, wziąć? – jęknął Meff.

Skąd masz ich, u licha, wziąć? – zapytasz zapewne, Drogi Mój jak złoto na światowej giełdzie, Bratanku. Mogę Ci przytoczyć jedynie cytat z konkurencji: "Szukajcie, a znajdziecie". Listę kontaktów znajdziesz w książce Who is who in Heli? w suplemencie pt. The world of demons, który możesz otrzymać w każdy piątek o północy na placu Bastylii, gdzie zwykły gromadzić się cienie Wielkiego Terroru. Dziełko wymaga, rzecz jasna, aktualizacji, ale jako człowiek wprawiony w działalności reklamowej i handlowej poradzisz sobie z tym, tuszę, bez trudu.

Oczywiście, czasy dla naszego przedsięwzięcia są znacznie cięższe, niż ongiś bywało. Jeszcze parę tysiącleci temu lasy obfitowały nie tylko w tury i niedźwiedzie, ale w rozmaite nimfy, najady i driady. Stada centaurów pasły się na stokach górskich, o fauna łatwiej było niż o szczura, hasło: "Czarownice w każdej gminie" miało pełne pokrycie w rzeczywistości. A strzygi, upiory, demony? Jakaż była ich rozmaitość, samych wampirów mieliśmy zarejestrowane czterdzieści cztery gatunki. Żaden uczciwy zamek nie mógł obejść się bez widma – strachy zbierały się na rozdrożach gęściej niż autostopowicze, błędne ognie mnożyły się jak robaczki świętojańskie, istniały nawet związki zawodowe dzieciobójczyń czy wręcz Stowarzyszenie Wyższej Użyteczności Wiedźm i Złośliwych Karłów… "Aby groza rosła w

silę, a strachy żyły do ostatniej kropli krwi!" Dziś, gdy cały nasz świat przetrzebiono jak faunę sawann afrykańskich i wyrzucono za sprawą bezdusznego racjonalizmu poza nawias nauki do spluwaczki z gusłami i przesądami, pozostały zaledwie metafizyczne niedobitki. Ale nie sądź, że Druga Strona znajduje się w lepszej kondycji! Nie uwierzysz, w XIII wieku podaż aniołów straży przekraczała popyt; bywało, możni tego świata mieli pięciu czy sześciu takich pięknoduchów, a i tak grzeszyli ile wlazło. A dziś? W większości regionów jeden anioł stróż przypada na dzielnicę, i to na pół etatu, a są kraje, gdzie ledwie kilku rencistów usiłuje konspiracyjnie kontynuować ten zawód…

Ale dlaczego?

Zapewne ciśnie Ci się na usta, Bratanku Mój Miły jak krew ze zsiadłym mlekiem, pytanie – dlaczego? Dlaczego zmarnieliśmy, przygaśliśmy, zeszliśmy na pięćdziesiąty piąty plan? Odpowiem Ci krótko: Ewolucja! Organy nie używane zamierają. A my w którymś momencie przestaliśmy być potrzebni. Zaczęło się banalnie, od sprawy wodzenia na manowce i na pokuszenie. Wraz z nastaniem renesansu ludzie jęli grzeszyć na potęgę, nie czekając nawet no nasze namowy. Pewne złagodnienie Drugiej Wysokiej Strony, która zawierzywszy złudnemu przekonaniu, że samo doskonalenie ludzkiego umysłu będzie wystarczającym gwarantem rozwoju moralności, wycofała się w zacisze, gdzieś na wschód od Edenu, coraz rzadziej stosując środki represyjne, spowodowało, że ludzie przestali się bać. Liberalizacja w szeregach "Białych" (od wieków przestano stosować numery w rodzaju Sodoma i Gomora, Potop czy Plagi Egipskie) sprawiła, że bojaźni było coraz mniej, a coraz mocniej utwierdzało się przekonanie wśród ludzi, że mogą wszystko. Ewolucje zaś mają to do siebie, że rozwijają się tylko w jednym kierunku. Ody postęp ludzkiej emancypacji ruszył, zdechł pies! Klamka zapadła. Sytuacja, która początkowo wydawała się niezwykle dla nas korzystna, wkrótce zaczęła wpływać demobilizująco: z pokolenia na pokolenie diabły stawały się mniej agresywne, mniej rzutkie, poczęły przejawiać zainteresowania kulturą i sztuką, coraz rzadsze były akty prokreacyjne, zapanowała moda "diabeł z diabłem", co, jak wiadomo, bywa przyjemne, ale dzieci z tego nie ma. Szeregi zawodowców topniały z roku na rok. Piekielna elita nie wychylała nosa ze swych pieleszy. Trzeba też pamiętać, że nasz świat posiada pewne wymagania, jeśli idzie o komfort intymności. Upiory nie znoszą nowego budownictwa, jarzeniowego światła, rusałki chorują w wodach masowo odwiedzanych przez turystów. A z kolei anioł nie jest w stanie wyżyć w jednym pokoju z telewizorem. Tymczasem wszystko co tajemne, oświetlono, co skryte, wyświetlono, a mateczniki, ostoje wilkołaków, wycięto… Skutki sam widzisz.

Utraciwszy dużą część swojej siły przekonywania, staliśmy się, przynajmniej pozornie, niepotrzebni. Tak my, jak i "Biali", nie mamy większego wpływu na postępowanie ludzi. W centrali naszej konkurencji

zapanowała teraz taka demokracja, że wszystkie ważniejsze decyzje zapadają większością, głosów, a i tak co rusz któryś ze świętych zakłada votum separatum. Jeśli dodamy zwiększoną jawność życia rajskiego, zrozumiesz łacno, dlaczego wszystko się im po prostu sypie. Tak, tak, przekonasz się już wkrótce, jak ciężko jest dziś egzystować mocom nadprzyrodzonym.

Mimo to do nas będzie należało decydujące słowo! Za dwa tygodnie zobaczymy, kto będzie śmiał się ostatni. Całuję Cię jak najczulszy Judasz. Twój Stryj!

Meff skończył. Obejrzał jeszcze, czy nie ma jakiegoś postscriptum czy choćby przekazu pieniężnego, ale ponieważ nic takiego nie było, zamyślił się. Od chwili gdy z powrotem znalazł się w rękach swej ochrony, minęło sporo godzin. Po odwiezieniu Anity do portu lotniczego mercedes zamieniono na inny wóz. Znów “Berber" bez pomocy kluczyka otworzył drzwi pierwszego z brzegu forda i przyjechali tutaj, do pustego pensjonatu na podparyskim przedmieściu. Pensjonat nosił nazwę “Paradise" (chyba dla zmylenia przeciwnika), a jego właścicielka wyglądała jak nie jedna, a trzy emerytowane czarownice, i to rodem z Bliskiego Wschodu.

Wcześniej, na pożegnanie, “Turek" przedstawił Anicie Meffa jako zamożnego przemysłowca. Przy okazji Fawson poznał imiona swych pomocników – żółciejszy nazywał się Li, bielszy Ali, a najczarniejszy Kali.

Ściemniło się. Nasz bohater zdążył już cokolwiek wypocząć, wziął kąpiel, po czym Li wykonał dokładny masaż jego ciała, doprowadzając Meffa do stanu skupienia i rozluźnienia zarazem. Niższy funkcjonariusz piekła miał delikatne ręce, przywodzące na myśl skośnookie dziewczyny z Bangkoku, którym spec od reklamy zawdzięczał kilka miłych wrażeń turystycznych. Li nie był jednak dziewczyną i na tym polegała niedogodność sytuacji. Kali przyniósł kolację (jak się okazało, wybornie gotował), składającą się z pieczonego drobiu i dziczyzny, w towarzystwie trzech butelek wina bardzo dobrych roczników 1870, 1914 i 1939. W zestawie wyczuć można było delikatną aluzję. Najwyraźniej w wydarzeniach onych lat moce piekielne miały swój niebłahy udział.

Otulony w ręcznik frotte, dzięki odrobinie narkotyku lżejszy o kilkadziesiąt kilo, po raz pierwszy od trzech dni Fawson pomyślał sobie, że egzystencja diabła ma jednak i dobre strony. Wprawdzie przestraszył się tej myśli, ale prawie natychmiast odezwał się w nim głos wewnętrzny: “Nie miałeś przecież żadnego wyboru, stało się, co się stało, a poza tym zawsze na twoim miejscu mógłby znaleźć się ktoś gorszy".

– Życzysz sobie czegoś jeszcze, panie? – spytał Ali, rozkładając

przed Meffem folder najlepiej notowanych panienek Paryża klasy zero i super.

Szatan neofita tylko westchnął.

– Aha, chodzi panu o tę blondyneczkę – odgadł Ali. – Trzeba było dać dyspozycję, nie puścilibyśmy jej tak łatwo. Nie wykazywał pan jednak najmniejszego zainteresowania.

– To pewnie zmęczenie – wtrącił Li – a poza tym myślał pan, że ta mała jest naszym człowiekiem…

– A nie jest?…

W paru zdaniach streścili mu przebieg pościgu, podkreślając całkowicie przypadkowy udział dziewczyny w wydarzeniach. Została zabrana, aby zidentyfikować wóz porywaczy. Może kłamali, ale jaki by mieli cel, żeby kłamać?

– Trzeba by się o niej dowiedzieć czego więcej – powiedział Fawson.

– Nazywa się Anita Havrankova – wyrecytował Ali. – W Paryżu od pół roku, studiuje na Sorbonie archeologię Bliskiego Wschodu, panna, według naszego wyczucia, dziewica. Sierota, drugie pokolenie emigrantów, bliższych danych o rodzicach brak. Mieszka w schronisku sióstr felicjanek – tu delikatnie splunął przez lewe ramię. – Na lotnisku oczekiwała na kuzynkę, która miała przyjechać z Rzymu, ale spóźniła się na samolot i nie przyleciała. Wymiary Anity: biust 92, talia 60. biodra 92.

– Idealne – cmoknął Kali.

– Praktykująca katoliczka, czas wolny spędza w bibliotece, z żadnymi mężczyznami się nie spotyka, praktyk lesbijskich nie stwierdzono.

– Znakomity materiał do deprawacji – zatarł ręce Kali.

– Cicho! – zgromił go Meff. – Powiedzcie lepiej, jak mam ją spotkać?

– Codziennie o dziewiątej bywa w czytelni uniwersyteckiej. Ale póki co, można by się jakoś rozerwać – powiedział Li – wezwę siostry Biancetti – wskazał na fotosy – te oliwkowe… Do północy mamy jeszcze trochę czasu.

Ale Fawsonowi nie figle były w głowie. Myślał wyłącznie o Havrankovej. Myślał, myślał, aż wreszcie usnął.

O północy na placu Bastylii wiało pustką, ale nie aż tak, jak można by przypuszczać. Kręcili się rozmaici ludzie, przejeżdżały samochody, pracowały polewaczki, a wszystko było rzęsiście oświetlone. Żeby szwendać się w podobnym miejscu, upiór doprawdy musiałby być miłośnikiem kwarcówek. Meff trzykrotnie obszedł plac, nie zauważając niczego szczególnego.

Widocznie stryjaszkowi coś się pokiełbasiło ze starości – pomyślał

i nagle zorientował się, że coś na niego kiwa. To coś było dłonią w przepięknie szamerowanym rękawie z koronkami i wyłoniło się z wnętrza szoferki jednej z ulicznych polewaczek. Nie przekonany, czy to o niego chodzi, Fawson zbliżył się do samochodu.

– Właź, monsieur, na co czekasz! – usłyszał. Wewnątrz, obok najzupełniej normalnego kierowcy w firmowym kombinezonie, siedział zasuszony staruszek w kostiumie z epoki Ludwika XVI.

– Kupić, sprzedać? – zapytał rezolutnie – “Almanach Gotajski", księga kabały, proroctwo św. Malachiasza? A może pamiątki z Wielkiej Rewolucji? Pukiel Marii Antoniny, kapsułkę z krwią króla, kalesony Boga Wojny?…

– Chodzi mi o Who is who in Heli? – rzekł Meff.

– Ho, ho, znawca! – ucieszył się staruszek i szturchnął kierowcę – widzisz, Maks, mówisz zawsze, że nie ma już prawdziwych bibliofilów. Pardon, monsieur, musimy wysiąść. Nie noszę nigdy za dużo cennego towaru przy sobie, na wszelki wypadek…

Wysiedli. Fawson mógłby przysiąc, że polewaczka zdążyła zrobić zaledwie kilkadziesiąt metrów, tymczasem okolica zmieniła się nie do poznania.

Stali na wąskiej błotnistej uliczce, pełnej dziwacznej mgły i tłumów z wolna snujących się ludzi.

– Promenada niebytu – objaśnił staruszek – w piątek mamy godzinę spacerów, wałęsamy się więc od placu Bastylii do Conciergerie, od Conciergerie do placu Rewolucji… Ach, jaki był tu kiedyś ruch, gdy z Conciergerie wyjeżdżały wózki wiozące na gilotynę…

Zakręcił się i znikł, pozostawiając Fawsona wśród strumienia cieni. Widma, półprzeźroczyste i ospałe, zdawały się w ogóle Meff a nie dostrzegać.

Uwagę ich zdawał się przykuwać barczysty mężczyzna o ponurej twarzy, który mijając Fawsona spojrzał na niego tak, jak rzeźnik przygląda się tuszy wieprzowej.

– To obywatel Sanson – szepnął wyłaniając się z cienia staruszek – oj, ma on tu mir, ma,…

– Przyznam się, nie słyszałem o tym człowieku. Kto to był?

– Kat Wielkiej Rewolucji. Prawie wszyscy z tu obecnych mieli z nim kiedyś na pieńku. Swoją drogą, co za fenomenalna oszczędność siły roboczej. Taka ogromna rewolucja i tylko jeden kat. Później ludzkość zrobiła się bardziej rozrzutna, i pomyśleć – tu spojrzał na plecy oddalającego się osiłka – ze mną mu się nie udało. Cud! Miałem właśnie stanąć przed rewolucyjnym trybunałem, 9 termidora… A przecież uznawano wówczas tylko jeden rodzaj wyroku. Na szczęście akurat Robespierre upadł i zamiast mnie, on sam posmakował tego krótkiego, chłodnego dotyku metalu na szyi… Ale jeśli myśli pan, że

dziękuję za to Opatrzności, jest pan w błędzie. Załatwiono się ze mną inaczej. W parę lat później zrobiono ze mnie wariata. Wariata – powtórzył 'z naciskiem – ma pan pojęcie, jako zbyt niezależnego intelektualistę, i skierowano mnie na przymusowe leczenie w zakładzie zamkniętym. No, ale mam dla pana ten bestsellerek. Ostatni egzemplarz.

– Ile płacę?

– Tu nic, natomiast przyniosłem listę stu obywateli z naszego grona, którzy zamówili sobie msze za swe grzeszne dusze. Sami byli ateiści! Zamówi pan w najbliższą niedzielę?…

Meff się zmieszał.

– Widzi pan…

– Wiem, wiem, jest pan szatanem. No, ale interes to interes. Bądźmy dorosłymi kontrahentami. Nie musi pan osobiście chodzić do kościoła. Załatwi pan przez jakiegoś pośrednika…

– Postaram się!

– Natomiast gdyby pan wybierał się tu następnym razem, miałbym dwie prośby. Chciałbym kupić jakiś dobry pejcz i parę takich… – ściszył głos – wie pan, takich skandynawskich świerszczyków. Tylko żeby było dużo gwałtu, przemocy, krwi…

– A pański kierowca Maks nie może?

– Maks potępia moje zainteresowania. Ach prawda, zapomniałem się przedstawić. Markiz de Sade! – tu wyciągnął kościstą rękę w stronę Meffa. Ów uniósł swoją, ale staruszek, w iście diabelskim przypływie humoru, minął jego dłoń i wykonał symulowany cios w podbrzusze, wołając: – Muka! – Gdy Fawson instynktownie się pochylił, markiz zaśmiał się jak uczniak i pobiegł w głąb mglistej uliczki.

– Jak idziesz, baranie! – zabrzmiało prawie równocześnie z piskiem hamulców. Neoszatan otworzył oczy. Stał pośrodku jezdni, kurczowo ściskając pożółkły wolumen z wetkniętą listą nazwisk proszących o modlitwę. Wybełkotał coś do wkurzonego kierowcy polewaczki i wskoczył na chodnik.

– Wracamy, szefie? – zapytał czekający na niego Kali.

Nie wrócili jednak do hotelu “Paradise". Zorganizowany naprędce citroen skręcił w wąski labirynt uliczek. Rychło Fawson stracił poczucie kierunku, teren wznosił się nieco ku górze, może były to okolice Montmartru? Na niewielkiej uliczce zagrodził im drogę wóz meblowy. Wóz był otwarty, a dwie opuszczone belki umożliwiły citroenowi wjazd do wnętrza. Ledwo wjechali, klapy zamknęły się za nimi automatycznie. Nowy pomysł? Może pułapka?

– Niech pan wysiądzie – rzekł Kali.

Meff wysiadł i uczuł, że meblowóz ruszył. Wewnątrz było ciemnawo, nie dość ciemno jednak, by nie dojrzeć mężczyzny siedzącego na ławeczce. Szatan z mianowania zadrżał. Siedzącym

mężczyzną był on sam! Serce podeszło mu do gardła albo wyżej.

– Co to ma znaczyć?

– Względy bezpieczeństwa – odezwał się Li. – Panowie pozwolą…

Sobowtór wstał i podał rękę Fawsonowi.

– Dubler – powiedział jego własnym głosem.

– Meff – odrzekł oryginał lekko zachrypnięty.

– Zaszły pewne komplikacje – powiedział Li. – Od tej chwili pańskie funkcje przejmuje Dubler, zdolny, choć podrzędny…

– Wypraszam sobie! – przemówił sobowtór.

– … choć nie wykorzystywany zgodnie ze swymi kwalifikacjami aktor dramatyczny. Zamieszka on z dokumeritami Meffa Fawsona w pańskim apartamencie… To nieodzowne.

– A ja? – nasz bohater poczuł dziwną suchość w gardle. Tym bardziej że dojrzał kątem oka, jak Kali otwiera niewielkie czarne pudełko, gdzie wśród innych akcesoriów poczesne miejsce zajmowała brzytwa.

Li odciągnął Fawsona w głąb meblowozu.

– Wszystko jest w porządku – tłumaczył – nie będę jednak wywalał kompletu informacji przy obcych. Robimy tylko to, co jest konieczne. A od pewnego stanowiska wzwyż wręcz nie wypada nie mieć sobowtóra.

– Ale przecież to chyba ja powinienem decydować? Li skwapliwie kiwnął głową.

– Oczywiście, w sprawach związanych ze Sprawą tak, natomiast o pańskie bezpieczeństwo troszczymy się my. Dwa incydenty, to nasłanie na pana straży w górach, a później nieudolne usiłowanie porwania, dowodzą, że każdy nasz krok jest śledzony. Nie możemy wykluczyć, a właściwie jesteśmy nawet pewni dalszych kroków zmierzających do utrudnienia naszej akcji, z fizyczną likwidacją grupy włącznie…

– Ale kto to robi?!

– Stryjo napisał chyba panu o konkurencji? O “Białych" czy, mówiąc ściślej, o “Niebieskich". Odwieczna walka bez pardonu trwa, zwłaszcza teraz, gdy wchodzimy w decydujące stadium. Pan musi mieć przez najbliższe dwa tygodnie pełną swobodę ruchów, a nie wyślizgiwać się od zamachu do zamachu.

– A tamten? – Meff wskazał wzrokiem sobowtóra – co on wie?

– Nic więcej, niż potrzeba. Sądzi, że chodzi o handel narkotykami, no, może jeszcze o przemyt broni.

– Jest to pewny człowiek?

– Lesort? Mamy na niego haka, jak stąd do Ca – yenne! Dwa lata temu ów aktorzyna uczestniczył w pewnym dość ekscentrycznym przyjęciu. Przypadkowo znalazła się

tam również nad wiek rozwinięta nastolatka. Oboje nie zajmowali

się jednak rozwiązywaniem równań drugiego stopnia… Było trochę alkoholu, narkotyków, wspólna kąpiel w wannie. Ciało dziewczynki wyłowiono dwa dni później w rejonie Rouen. Sprawców zbrodni jak dotąd nie ujawniono. My jednak posiadamy z tych wydarzeń interesujący film…

– Bandyci i – cmoknął z podziwem Meff.

– Według rozkazu – zarechotał Li. – Aha, jeszcze jedno dla zachowania pozorów, od tej chwili będziemy asystowali sobowtórowi.

– A ja?

– Póki nie zmontuje pan ekipy, trzeba będzie popracować samemu.

– A jeśli mnie rozpoznają?

– Nie rozpoznają, spokojna głowa.

Zabieg maskujący trwał krótko. Farba, zastrzyki i środki nie znane oficjalnej medycynie w trzy kwadranse zmieniły Meffa nie do poznania. Oliwkową teraz twarz ozdobił orli nos, okoliły czarne kędziory, sylwetka nabrała bardziej korpulentnego wyglądu, palce się skróciły, pierś i ramiona pokryły mocnym zarostem, a na lewej stopie wyrósł szósty palec. Tymczasem sztruksy zmieniono mu na ciemny garnitur, a dotychczasowe dokumenty na paszport niejakiego Matteo Diavolo z Palermo. W ten sposób człowiek o wyglądzie amerykańskiego inteligenta zmienił się w śródziemnomorskiego mafioso.

– Bravissimol – zakrzyknął Kali.

Mniej cudowny był podział funduszy. Dubler i czarni zabrali na koszty reprezentacji jedną czwartą pieniędzy stryja, co Fawson przyjął z takim bólem, jakby co najmniej usunięto mu jedną nerkę. Potem citroen opuścił brzuszysko meblowozu i ruszył w stronę Paryża. Razem z dublerem odjechali piekielni oficjaliści. Dopiero po dotarciu w rejon pewnego motelu przy drodze do Lyonu Meff przypomniał sobie, że nie spytał, czy tak ucharakteryzowany będzie mógł spróbować spotkania z Anitą.

Pan Matteo Diavolo, gruba szycha przemysłu sardynkowego, obudził się około dziesiątej. Zamówił śniadanie do pokoju. Recepcjonista uprzejmie poinformował go, że jego wóz po naprawie zepsutych wycieraczek jest pełnosprawny i gotów do drogi. Pseudo – Sycylijczyk miał na końcu języka pytanie, jakiego właściwie samochodu jest właścicielem, ale w porę się pohamował. Pierwsze spotkanie z lustrem było okropne. Po dłuższym studiowaniu stwierdził jednak, że w nowej skórze jest diablo (sic!) męski, a w ogóle niezwykle atrakcyjny. Pokojówka, kręcąc tyłeczkiem, przyniosła kawę, rogaliki, sery i, rzecz jasna, sardynki.

Nie wywołała w nim jednak gwałtowniejszej podniety. Miał przed sobą zbyt poważne zadania.

Pół nocy spędził nad mocno zużytym Who fs who?, przedzierając się przez las nazwisk, pełny skreśleń, dopisków i uzupełnień. Almanach zaktualizowano nieomal do ostatnich czasów, z kilkunastu tysięcy zarejestrowanych przedstawicieli sił nieczystych w połowie XVIII wieku, zwanego, jak na ironię, epoką Oświecenia, dziś pozostało mniej niż tuzin.

Zaczął spisywać nazwiska i adresy, kiedy wpadła mu w rękę karteczka zatytułowana: “Suplement". Rejestrowała jeszcze dalsze ubytki.

Nimfa Lorelei, ponoć doskonała w działaniach ziemnowodnych, ciężko ranna w okresie bombardowań doliny Renu przez lotnictwo RAF – u, ostatecznie dokonała żywota w latach sześćdziesiątych, zatruta wodami największego ścieku Europy.

Twór rabiego Ben Becatela z Pragi, słynny Golem, który, wbrew ustnej tradycji, przechował się do wieku XX u pewnego zbieracza na Morawach, odszukany przez gestapo, został z rozkazu Heidrycha przewieziony do Berlina (brano pod uwagę możliwość wykorzystania olbrzyma jako kolejnej Wunderwaffe). gdzie podzielił los innych potworów, pogrzebany w ruinach Kancelarii Rzeszy.

Najbardziej smutne były dzieje yeti, jak się okazało, dalekich krewnych europejskich wilkołaków. Ostatnie stado, wyłapane w roku 1953 przez ekspedycję chińską, ukrywane było przez pewien czas w specjalnym rezerwacie w regionie Wielkiego Muru. Niestety, wszyscy ludzie śniegu zginęli w czasie Rewolucji Kulturalnej, gdy okazało się, że są zbyt tępi albo zbyt ambitni, aby nauczyć się na pamięć Małej Czerwonej Książeczki z myślami Przewodniczącego. Przy jeszcze kilku pozycjach były znaczki – “prawdopodobnie zaginiony", swego stryja zaś (Who is who? podawało jego kryptonim “Boruta III") Meff skreślił osobiście.

Pozostało pięć nazwisk. Informacje mówiły, że to znakomici fachowcy w swoich dziedzinach. Czy jednak zgodzą się na współpracę? Poza tym, do czego miał ich właściwie angażować?

Meff wyciągnął z zanadrza pięć pozostałych listów i przypatrywał się ich pożółkłym kopertom, pragnąc zgłębić tajemnicę zawartości.

Do jutra, terminu otwarcia następnej instrukcji, pozostało sporo czasu. Postanowił spożytkować go na ustalenie aktualnych adresów swoich przyszłych potencjalnych współpracowników. Pierwszy na liście był Drakula. W almanachu określano go różnie, raz jako księcia, raz hrabiego, kiedy indziej barona. Meff zdecydował się tytułować go “Książę", wychodząc z założenia, że lepiej jest przesadzić, niż uchybić etykiecie. Znalazło się jeszcze kilka innych nazwisk i pseudonimów wielmoży, wśród których najczęstszy brzmiał “Nosferatu". Rodzina wampira, liczna w dawniejszych wiekach, z wolna się powykruszała, ostatni z panów na zamczysku w Karpatach prysnął z Rumunii w roku

i944. Who is who? podawało uparcie stary adres, ale obok widniała informacja – “Listy wracają z dopiskiem: adresat nieznany". Trzeba było szukać gdzie indziej. Fawson pomyślał o środowiskach emigrantów, gdy nagle przypomniała mu się głośna przed trzema laty sprawa z dziedziny reklamy.

Jedna z firm wprowadziła na rynek europejski doskonały preparat na porost zębów, opatrując go nazwą “Drakula"! Bardzo prędko doszło do procesu o nadużycie praw autorskich związanych z tytułem, przy czym skarżącym nie była żadna wytwórnia filmowa, tylko rodzina nosząca to nazwisko. Być może przejrzenie gazet z tamtego okresu dałoby jakąś wskazówkę.

Już w godzinę potem signore Diavolo znajdował się w czytelni czasopism i wertował stare numery “Paris Matcha". Nie omylił się – istniała taka sprawa, zrazu głośna, później raptownie wyciszona. Jako pełnomocnik strony skarżącej figurował mecenas Kurt Steinhagen z Wiednia. Sprawę wygrał, ale odmówił kategorycznie jakichkolwiek informacji dla prasy. Don Diavolo postarał się niezwłocznie o książkę telefoniczną Wiednia, gdzie poszukiwany numer znalazł. Niestety, pod owym numerem niesympatyczna panienka (sądząc po głosie, stopięćdziesięciopięcio – kilowa) powtarzała jak zepsuta zegarynka, że po pierwsze, doktora Steinhagena nie ma, po drugie, nie będzie, po trzecie, nie udziela żadnych wywiadów, a z pracy zawodowej wycofał się już dwa lata temu i nie przyjmuje żadnych klientów.

W dwa kwadranse potem obrotny neoszatan miał już zarezerwowany bilet na wieczorny lot do Wiednia.

W międzyczasie próbował zasięgnąć informacji o losie następnego na liście: barona Frankensteina. Tutaj perspektywy też nie wyglądały różowo. Posiadłość arystokraty znalazła się w innym sektorze, niż mógłby sobie życzyć, a on sam zniknął jak kamień w wodę. Wiadomo było, że ów sztuczny twór, adoptowany przez ostatniego z rodu Frankensteinów, wstąpił w trzydziestym dziewiątym do elitarnej jednostki wojskowej, zdobył parę Żelaznych Krzyży, wykazując się dużą pomysłowością i nie mniejszym okrucieństwem. Blisko związany z Canarisem, po nieudanym zamachu Stauffenberga przepadł bez wieści. Musiał jednak przeżyć, skoro po wojnie poszukujące go organa natrafiły na ślad przelewu, dokonanego przez jeden ze szwajcarskich banków z jego depozytu na konto pewnego boliwijskiego towarzystwa, które, jak się okazało, było czystą fikcją. Pieniądze przepadły. Parę lat później srebra z rodowymi emblematami Frankensteinów pojawiły się w jednym z antykwariatów w Buenos Aires. Trop wiódł zatem do Ameryki Południowej.

Jeśli z każdym będą takie kłopoty, to w żadnym wypadku nie podołam przez dwa tygodnie – pomyślał Meff.

V.

Doktor praw Kurt Steinhagen od chwili przejścia na emeryturę mieszkał w zasadzie poza miastem, zachował jednak również, mimo poniechania praktyki adwokackiej, swoje biuro w jednej z przecznic Mariahilfer Strasse, tej targowej naddunajskiej stolicy. Meff wtargnął w jego zacisze bardziej siłą' niż sposobem. W drzwiach przedstawił się jako kontroler z gazowni, w przedpokoju spróbował oswoić zwalistą Trudę, ale kiedy okazało się to niewykonalne, machnął jej pierwszym lepszym dokumentem, burknął "służba specjalna" i pomimo jej okrzyków "żyjemy w neutralnym kraju!" wtargnął do gabinetu Steinhagena.

Pierwszą zauważoną rzeczą był rower, na którym goluteńki, jak go Bóg stworzył, mecenas usiłował walczyć z własnym brzuchem, ten jednak już na pierwszy rzut oka nie przypominał brzuchów łatwo dających za wygraną.

– Nie ma mnie! – rzucił doktor na widok wchodzącego.

– Powinien pan spróbować pasów wibracyjnych – rzekł Meff.

– Sądzi pan? – zainteresował się adwokat.

– I diety "cud", wypróbowanej przez największych gwiazdorów świata.

Mecenas wstrzymał pedałowanie.

– Na czym ona polega?

– Jest dosyć łatwa, trzeba po prostu nic nie jeść. Steinhagen westchnął tylko i przełknął dwie czekoladki z ogromnego pudła stojącego na biurku.

– A co pan tu robi? – spytał Meffa.

– Stoję!

– No, to niech pan siada. Truda, kawy! Może ciężarki? – To mówiąc schwycił sztangę, na sam widok której Fawson zaczerpnął więcej powietrza, i wskazując drugą gościowi, rzekł: – Niech pan spróbuje. Nie są wcale takie ciężkie. Zrobiono je ze styropianu. Wie pan, zdrowie jest rzeczą najważniejszą. Cała reszta to marność.

– Przyszedłem do pana ze sprawą…

– Z powodów zdrowotnych niczego nie prowadzę – zawołał adwokat – a jaka to sprawa?

– Jestem naukowcem… – zaczął Meff.

– Rozumiem, jakiś plagiat? – domyślił się mecenas.

– Jestem naukowcem zajmującym się teorią reklamy i piszę aktualnie pracę habilitacyjną. Jej tytuł: "Słynne procesy w sprawach o nadużycie praw".

Steinhagen sięgnął po garść fig.

– Chodzi o tę fatalną pastę, po której nie tylko zęby nie rosną, ale

jeszcze korony rdzewieją? Nie udzielam żadnych informacji. Za żadne pieniądze – podkreślił.

Gość nie tracąc uśmiechu, z miną starej ciotki układającej pasjansa, który ma dać odpowiedź, czy i kiedy utraci dziewictwo, położył na skraju biurka banknot stu – dolarowy. Mecenas zignorował gest, nakładając do filiżanki z kawą ogromną ilość bitej śmietany. Fawson, nie zrażony, dalej układał pasjansa. Kiedy doszedł do drugiego rzędu i zatrzymał się, adwokat poruszył się, jakby zaniepokojony, czy wróżba wypadnie pomyślnie. Meff wyłożył jeszcze parę zielonych. Resztę ostentacyjnie schował do kieszeni i sięgnął po kawę.

– W pasjansie francuskim wykłada się trzy rzędy – powiedziała nagle milcząca dotąd Truda.

Z ociąganiem ustawił i trzeci rządek. Mecenas z miną wyrażającą najwyższe obrzydzenie zebrał banknoty i potasował zgrabnie.

– Dolary, jakież to w złym stylu. W zasadzie interesują mnie wyłącznie franki szwajcarskie.

Ale kiedy Meff wyciągnął rękę, Steinhagen spróbował szybko schować forsę do kieszeni. Musiałby jednak w tym celu stać się kangurem, jako że nie miał nic na sobie. Uśmiechnął się więc głupawo, sięgnął po szlafrok i otulił się nim. Potem schował pieniądze i rzekł:

– Czego pan właściwie chce od tego Drakuli? To żywy trup. Całkowicie zszedł na psy. Proponowałem mu wynajęcie luksusowej krypty, gdzie mógłby sobie spokojnie pospać, ale on twierdzi, że nigdy nie zaśnie, bo wszyscy jego przodkowie zostali podczas snu przebici osinowym kołkiem. Stary sfiksowany nieborak.

– Interesuje mnie tylko jego adres.

Mecenas zajrzał do notesu.

– Prowadzi budę ze starzyzną koło Mexico Platz.

Nic więcej nie mogę panu powiedzieć. Chyba gdzieś po prawej stronie… Może jakieś ciasteczko?

Meff podziękował i wyszedł. Steinhagen przełknął jeszcze parę smakołyków i zatarł ręce.

– Widzisz, Trudo, jak należy robić interesy. Powiedziałbym mu ten adres za dwie dychy, ale widzę, wyjmuje stówę, to poczekałem… Ile tego jest razem?

Sięgnął do kieszeni szlafroka i uśmiech zakrzepł mu na ustach. Wyciągnął asa pik, dziewiątkę trefl, potem damę kier, dupka żołędnego i kolejno cały sekwens od ósemki w dół. Same kara.

Kara boska! – pomyślała Truda, która pochodziła z dobrej austriackiej rodziny.

Została złamana druga pieczęć i następny list stryja ujawnił się przed Meffem, jak kolejny ułamek tajemniczej i groźnej mozaiki.

Bratanku mój – pisał Boruta ciepłym stylem szatana stojącego u schyłku długiej, pracowitej drogi. – Wierzę, że do tej chwili ustaliłeś już nazwiska swej przyszłej grupy i sądzę, że zajmujesz się kaperowaniem pierwszych uczestników Najważniejszego Przedsięwzięcia Epoki…

Skąd on wie, skubany?!

…pragnę Ci więc przypomnieć, że rozmawiając z zainteresowanymi, którzy mogą udawać niezainteresowanie, nie występujesz w roli petenta, lecz delegata zwierzchności (a właściwe dolności), uprawnionego i pełnomocnego, by rozkazywać, wymagać, kierować…

Łatwiej powiedzieć, trudniej zrobić…

Nie wiem, czy już zorientowałeś się, że wraz ze spłynięciem na Ciebie szatańskiego odium zyskałeś wiele umiejętności, którymi możesz się w razie czego posłużyć. Należy do nich jazda na miotle…

O cholera!

…co potrafi przecież byle wiedźma. Oczywiście, ze względów estetycznych zalecałbym Ci używanie zwyczajnej miotełki do ubrania, której, jeśli dobrze ściśniesz ją udami, nie widać spod płaszcza.

Bez trudu możesz również miotać ogniem piekielnym. W tym celu możesz posłużyć się zwyczajnym dezodorantem, po natarciu go magicznym proszkiem (znajdziesz go w tej samej kopercie co niniejszy list; składu chemicznego Ci nie podaję, bo sam nie jestem pewien). Po namaszczeniu pojemnika umieść go w używanej skarpetce i zostaw na noc w północnym kącie pokoju, przykrywszy całość niniejszą kartką – na rewersie jest kilka znaków kabalistycznych. One sprawią, że ingrediencja nabierze odpowiedniej mocy. Ognia piekielnego w sprayu należy używać wobec celów tak cywilnych, jak umundurowanych, znajdujących się w niewielkiej odległości, nigdy pod wiatr. Najlepiej jednak stosuj go na postrach, gdyż widok palących się nieszczęśników może Ci popsuć apetyt.

Uważaj natomiast przy przechodzeniu przez ściany. Tak, tak, posiadasz i tę umiejętność, aliści pamiętaj, umożliwia ona wyłącznie przenikanie ścian tradycyjnych – zbudowanych z drewna, kamienia lub cegły. Złe rozeznanie może sprawić, że uwięźniesz w trocinobetonie, zbrojonym plastiku czy innym współczesnym świństwie. Ą więc najpierw musisz dokładnie zapoznać się, z jakim materiałem masz do czynienia.

Przy odpowiedniej koncentracji siły woli możesz również zmienić się w dowolne zwierzę. Postępuj jednak rozważnie, jesteś niewprawnym transformatorem, a więc istnieje zawsze ryzyko związane z powrotem. Pamiętaj – przebywając w ciele zwierzęcia, posiadasz inteligencję równą średniej arytmetycznej Twego poziomu i owego stworzenia. Jeśli więc chciałbyś zostać np. gąbką, wasza średnia stałaby się tak niska, że uniemożliwiłaby Ci pomyślenie zaklęcia pozwalającego powrócić do pierwotnych kształtów. Aha, jeszcze jedno: wszelkie zaklęcia działają tylko wówczas, gdy są wyrażane w stanie całkowitego spokoju i zdecydowania.

Jakiekolwiek wahania w momencie transformacji mogą mieć trudne do wyobrażenia następstwa. Inne umiejętności, jak telepatia, hipnoza, transmutacja metali w złoto, ożywianie zmarłych, leżą również w zakresie twych kompetencji, ale wymagają lat ćwiczeń. Na razie wiać Ci ich nie polecam.

Wracając do zagadnień werbunku. Gdyby zawiodła perswazja, zdobądź jakikolwiek przedmiot osobisty należący do opornego, nakryj go kartką papieru, na której, na zasadzie odbicia w lustrze, napisz sadzą jego nazwisko. Potem okręć się sześć razy w lewo na lewej pięcie (nie śmiej się, są to praktyki wypróbowane przez cale tysiąclecie), a na papierze ukaże się skuteczny sposób na opornego…

Jaki na przykład?

Po odebraniu od zwerbowanego przysięgi lojalności i ustaleniu systemu kontaktowego (tu był odsyłacz na drugą stronę pełną pouczeń szczegółowych) zaznacz, że cała akcja rozpocznie się w dniu otwarcia szóstej koperty.

Tyle na dziś. Jeśli będziesz miał chwilą wolnego czasu, wspomnij ciepło Twojego stryja, któremu w tej chwili jest bardzo gorąco, ale nie ma nic lepszego na starość jak ognista sauna. Sześć razy sześć – sześćdziesiąt sześć. Z serdecznymi przekleństwami. Ja.

Jeszcze dzień wcześniej na podobne pouczenia Fawson zareagowałby śmiechem, aliści kaskada wydarzeń płynąca wartko jak woda w spłuczce toaletowej im. Niagary sprawiła, że obecnie nawet najabsurdalniejsze zdarzenia przyjmował serio. Postanowił poprzestać na małym teście. Skoncentrował się i sprawdziwszy fakturę hotelowych drzwi (były mocne, przedwojenne, chyba dębowe), postanowił przez nie przeniknąć. Ruszył ostre, śmiało wsunął dłoń i głowę w rozsuwającą się materię, ale prawie jednocześnie napotkał pewien opór.

Pewnie farba! – Szarpnął mocniej, rozległ się trzask.

Kiedy z powrotem znalazł się w pokoju, z ubrania pozostały strzępy. To znaczy, bawełniana podkoszulka i gatki były nie uszkodzone, koszula natomiast i spodnie, poszarpane i podarte wzdłuż i wszerz, pozostały po wewnętrznej stronie zamkniętych drzwi. Przez moment stał osłupiały nad ruiną przyodziewku, ale już po chwili zrozumiał – nie przenikały przez ścianę te części garderoby, które wyprodukowano z tworzyw syntetycznych.

Dochodziło południe. Najwyższy czas, aby złożyć uszanowanie księciu Drakuli – pomyślał Meff. Przez moment zastanawiał się, czy nie polecieć do celu na miotełce wiszącej w przedpokoju, ale przypomniawszy sobie o konieczności konspiracji, zdecydował się na tramwaj.

– Słucham pana? Coś do sprzedania, coś do kupienia? – zapytał

Meffa mężczyzna zza lady.

Całe niewielkie pomieszczenie wypełniały towary wielobranżowe, adresowane, biorąc pod uwagę ich standard, najwyraźniej do przybyszów z uboższych stref konfekcyjnych.

Fawson, a właściwie don Diavolo, zawahał się. Byłżeby to słynny Książę z Karpat, ekstrem wampiryzmu, postrach niemego kina i przeciwników honorowego krwiodawstwa? Właściciel sklepiku wyglądał raczej na zabiedzonego Wiecznego Tułacza niż pysznego wielmożę z Siedmiogrodu. Chociaż, z drugiej strony, łysa czacha, gackowate uszy, kredowa biel cery i oczy tak głęboko wpadnięte, że przypominające światełka na końcu tunelu… Sam nie wiedząc dlaczego, Meff wymówił trzy słowa z listu stryja:

– Sześć razy sześć!

– Sześćdziesiąt sześć i – odstrzelił natychmiast sprzedawca, wbrew podstawowym zasadom matematyki. Jednocześnie jego gackowate uszy załopotały niespokojnie. – O co chodzi – powiedział lekko chrapliwie – ja już jestem na emeryturze.

– Porozmawiamy! – stwierdził szorstko nasz pół – diabeł, zaskoczony własną stanowczością.

– Ale o czym? Ja ze wszystkich zobowiązań wywiązuję się jak trzeba, milczę o zawodowych tajemnicach, dziesięcinę na fundusz podziemi przelewam, słuszną linię Najniższego Kręgu popieram, prowokacyjnego ssania krwi przypadkowych obywateli poniechałem…

– Musimy porozmawiać – powtórzył Meff.

Książę westchnął. Zamknął na klucz drzwi, wywiesił kartkę “Luka inflacyjna" i poprosił gościa na zaplecze, a ściślej mówiąc do szafy, która, ku zaskoczeniu Fawsona, okazała się windą. Nie pojechali jednak do piekła, tylko do piwnicy urządzonej z dużym smakiem w stylu dackim z okresu Trajana.

– Bieda biedą, ale żyć na jakimś standardzie trzeba – wyjaśnił gospodarz. – Ma pan jakieś najświeższe ploteczki z Dołu?

– Nie przyszedłem tu na ploteczki, Książę. Postawiono przed nami zadanie.

Drakula wyszczerzył zęby. A właściwie jeden ząb, mocno nadżarty próchnicą. Drugi kieł stracił snadź w dawniejszych czasach.

– Nie nadaję się do żadnych zadań. Jestem emerytem, emigrantem, starym, schorowanym człowiekiem, dawno nie uprawiającym zawodu. Jak chcielibyście mnie wykorzystać?

– Zgodnie z kwalifikacjami – rzekł wymijająco Fawson.

– Ależ to niemożliwe, zupełnie niemożliwe! – zawołał wampir rencista. – Ja już zapomniałem, jak to się robi. W jakiejkolwiek akcji byłbym najwyżej zawalidrogą. Dół dawno już powinien postawić na młodych!

– Jest rozkaz.

– Szanuję rozkazy. Jestem lojalnym członkiem wspólnoty, ale mogę przedstawić zaświadczenie lekarskie. O… – tu wskazał na ubytek kła. – Inwalidztwo drugiego stopnia. Powtarzam, sercem jestem z wami, znaczy z nami, ale naprawdę nie wiem, w czym mógłbym być przydatny.

– Jednak rozkaz…

– Wyrosłem z wieku, w którym można mnie zmilitaryzować. Jestem zasłużonym weteranem sekcji grozy, odznaczonym trzykrotnie czarnym kopytem, raz nawet z wielką wstęgą, A swoją drogą, źle musi być z kadrami, skoro zwracacie się do mnie. – Głos Księcia, choć podszyty starczymi tonami, stawał się z minuty na minutę coraz pewniejszy, widocznie otaksował młodego delegata i stwierdził, że da sobie z nim radę. Nagle zastrzygł uchem.

– Wybaczcie, coś tam się dzieje na górze, zajrzę do sklepu. Takie czasy, że zawsze coś się może zdarzyć.

Wykorzystując chwilową samotność, Meff spróbował recepty stryja. Na podłodze leżała niemiłosiernie brudna i powalana, chyba krwią, chusteczka do nosa ze złotym monogramem “D". Wyjął kartkę papieru. W sadzę zaopatrzył się rano, pisanie zajęło mu parę sekund, po czym począł okręcać się na lewej pięcie. Kiedy skończył, w głowie trochę mu wirowało, ale poniżej napisu ALUCARD pojawiło się, jakby wystukane na maszynie, zdanie: “Spytaj go o cztery dziewczyny". Nic więcej.

Wrócił stary wampir. Rzeczywiście, żal było na niego patrzeć. Utykał na prawą nogę i starczo trzęsły mu się wszystkie kończyny.

– Jakiś cymbał dobijał się do sklepu, jakby nie widział wywieszki! – powiedział.

– Wracajmy do sprawy – sucho zabrzmiał głos Mefista XIII.

– Bardzo żałuję, ale o żadnej sprawie nie może być mowy. Dziwię się, że Dół, poinformowany o mojej aktualnej kondycji, w ogóle zwraca się w takiej sprawie, i to, widzę, przez niższych funkcjonariuszy. Wydaje mi się…

– Nic się panu nie wydaje, Drakulo, my doskonale wiemy, co o panu myśleć – Fawson znowu był zaskoczony własnymi słowami, których wcale nie artykułował. – Przypomnijcie sobie lepiej, co macie do powiedzenia o tych czterech dziewczynach?

– Co? – blada maska Księcia pokryła się zimnym potem.

– Cztery dziewczęta! – głos wysłańca piekieł naciskał nieubłaganie.

– No tak, więc tak, psiakrew, wiecie – Drakula nagle zmiękł i stracił rezon. – Macie na mnie haka.

– A mamy! – uśmiechnął się Meff, widząc, że trafił, chociaż nie miał pojęcia, czym i w co.

– Przyzwyczajenie, przyzwyczajenie! – wybuchnął nagle wampir.

– Ja wiem, że w 17 punkcie regulaminu (paragraf 10) stoi jak byk: “Wampir w stanie spoczynku, nie uprawiający straszenia ani krwiopijstwa w celach służbowych, taktycznych, strategicznych, naukowych lub szkoleniowych (niepotrzebne pominąć) nie ma prawa do wysysania tętnic i aort na prywatny użytek…"

– Właśnie!

– Ale pomiłujcież, przyzwyczajenia to druga natura. Wilka ciągnie do lasu, wampira do aorty, przecież człowiek nie może się tak z dnia na dzień przestawić. Czy miałem tylko jeść kaszankę i kaszankę i raz w miesiącu brać przydział na mrożonkę z banku krwi? Ja, przed którym drżała cała Mołdawia i Wołoszczyzna, nie wspominając o Besarabii!

– Cztery dziewczyny – powtórzył groźnie Meff, żeby coś powiedzieć.

– Owszem, ale to nie było wcale tak, jak myślicie… Nie ma żadnego niedozwolonego nacisku, one dobrowolnie, po przyjaźni… Wcale nie dlatego, że jestem właścicielem. Poza tym są pełnoletnie. Już! One to naprawdę bardzo lubią. Ola, Mlada, Kati, Jovanka!

Uniosła się purpurowa kotara zasłaniająca przejście do dalszych podziemnych apartamentów i wsunęły się dwie dość wyblakłe dziewoje, o smukłych kształtach, zaskakującej bladości twarzy i szyjach dość szczelnie opatulonych apaszkami.

– Gdzie Ola i Jovanka? – zaniepokoił się rumuński arystokrata.

– Ola ma wychodne, a Jovanka poszła na lektorat – powiedziała wyższa i ciekawie poczęła przypatrywać się Fawsonowi.

– Mamy z panem Delegatem parę pytań do was dziewczynki – powiedział Drakula tak ciepło, że Meff mimowolnie rozpiął marynarkę. – Powiedzcie, co lubicie najbardziej?

– Pana, Książę – powiedziały anemiczne panienka i uśmiechnęły się. Blado.

– A jak jest z tym upuszczaniem krwi?…

Niższa lekko zarumieniła się, a starsza powiedziała:

– My honorowo! A poza tym lekarz zapisał nam… Ja osobiście mam nadciśnienie.

– Jak pan widzi, spełniam co najwyżej rolę pijawki lekarskiej – rzekł słodziutko wampir. Z wrażenia zapomniał już o utykaniu i drżeniu rąk.

Nie popuszczę dekownikowi! – pomyślał Meff, czując w owej słodyczy nie naturalny cukier, lecz syntetyczną sacharynę.

– Na zdaniu dziewcząt może pan polegać. Pochodzą z najelitarniejszych rodzin w swoich krajach. Można powiedzieć, najlepiej urodzone gastarbeiterki w mieście Freuda i Straussa. Zresztą, korzystać z usług innych po prostu bym nie potrafił.

– A to czemu? – zapytał Delegat, zastanawiając się, czy tydzień na

Majorce, u jego boku, nie zlikwidowałby chorobliwej bladości Kati.

– Żołądek – wyjaśnił wampir – kiedy człowiek był młody, mógł ssać na łapu – capu, a teraz chodzę wyłącznie na niebieskiej. Prawda, dziewczęta?

Jak na komendę uniosły do góry ręce z charakterystycznymi dla wymierającej klasy błękitnymi żyłkami.

– Ot, i cała prawda! Nie znajdzie pan tutaj najmniejszego wykroczenia.

– Regulamin pozostaje regulaminem, paragraf 17, punkt 10. To trzeba będzie wyjaśnić na Dole…

Drakula skurczył się w sobie, zgrzytnął jedynym kłem z olbrzymim żalem omiótł wzrokiem zaciszne gniazdko w stylu dackim z epoki Trajana, ze szczególnym uwzględnieniem obu bladolicych arystokratek. i westchnął.

– Rozkaz!

Fala satysfakcji przelała się przez falochrony samoświadomości Meffa. Miał pierwszego z sześciu wspaniałych. Pozostało jeszcze ustalić szczegóły techniczne, w tym hasło, na jakie, gdy nadejdzie czas, Drakula zjawi się w odpowiednim miejscu, oraz paru mrugnięciami dać Kati do zrozumienia, w jakim hotelu, przy której ulicy i pod jakim numerem zatrzymał się Agent Najniższego Kręgu. Na szczęście dziewczyna znała doskonale alfabet Morse'a. Do odlotu pozostało Meffowi całe trzy godziny i piętnaście minut.

VI.

Ciężka chmura o kształcie atomowego grzyba wisiała nad wilgotną i duszną selwą. Z tarasu samotnej willi, czy raczej bunkra usytuowanego na zboczu wzgórza, w miejscu, w którym dżungla z wolna przechodzi w rzadszy las, by wreszcie przerodzić się w krzaczasto – kamienisty step, nazywany na północy “Nanoś", a na południu “campos", widać było jednostajny przymglony dywan zieleni.

Z głębi lasu dolatywało rytmiczne dudnienie. Don Carlos nie lubił tego dźwięku, drażnił go, niepokoił, a przecież w naelektryzowanej atmosferze i bez tego nie brakowało elementów grozotwórczych. Łomot, i cisza. Znowu łomot. Jeszcze parę dni, a nitka jednej z odnóg magistrali andyjskiej dotrze w pobliże rezydencji. Don Carlos pomyślał z żalem o latach, kiedy do najbliższej poczty jechało się dwa tygodnie konno górami, bądź ryzykowało spław Rio Carnerro, rzeką pełną wirów, piranii i kajmanów.

Powiał wiatr. Tym razem poszedł od strony wzniesień, niosąc odór spalenizny. Samotny mieszkaniec domu nie przepadał za tym zapachem, podobnie jak denerwowały go tubylcze pamiątki – pomniejszone główki małp, sprzedawane jako łebki misjonarzy, czy portfele z udającej ludzką skóry tapira.

Wszedł czarnoskóry Miguel.

– Heill – powiedział do Carlosa unosząc do góry prawicę. Gospodarz odpowiedział niedbale. Nie cierpiał swego służącego, ponieważ jednak otrzymał go ze znakomitymi referencjami Centrali, wolał nie zadzierać z Organizacją, która wprawdzie, mimo wysiłków autorów powieści sensacyjnych, była teraz bardziej towarzystwem wzajemnej adoracji sklerotycznych tabetyków niż poważnym światowym gangiem, ale zawsze…

– Przyszła poczta – powiedział Murzyn, który wprawdzie nie miał jednej tysięcznej genu aryjskiego, ale Organizacja nadała mu honorowe członkowstwo NSDAP (na wychodźstwie) ze względu na wysoki poziom świadomości antysemickiej. Zresztą kadry były teraz tak szczupłe, że nie gardzono neofitami jakiegokolwiek koloru skóry lub przekonań, z wyjątkiem czerwonych.

– Pokaż!

Starczymi rękami, które obfitość plam wątrobianych upodobniła do łap jaguara, rozerwał kopertę. Depesza! Bez szyfru! Ach, ten niepoprawny Martin!

Jakiś facet nazwiskiem Diavolo węszy za tobą. Wczoraj przyleciał z Wiednia. Był w klubie. Zna niektóre adresy. Z tego, co wiemy, nie jest związany ani z Interpolem, ani żadną z komisji babrających się w

sprawach Rzeszy. Włoch z Palermo, około pięćdziesięciu lat. Nie notowany. Może detektyw amator? Czy masz jakieś życzenia?

– Diavolo, Diavolo – starszy pan zamyślił się. Nazwisko nic mu nie mówiło. W ogóle znał niewielu makaroniarzy. Na froncie w Libii był krótko, republikę Salo odwiedził tylko przejazdem. Przez chwilę zastanawiał się, jak nazywał się ten włoski lekarz, który sztukował ubytki jego ciała w pięćdziesiątym trzecim, ale nie, tamten byłby dziś o wiele starszy…

– Czy będzie odpowiedź? – zapytał Miguel.

– Zastanowię się – odrzekł patron. Nagle przeszedł go dreszcz. Od paru dni czuł się podle, bolały go wszystkie szwy. i ta burza. Grzmot przetoczył się od strony przełęczy Guanaco. W świetle błyskawicy ujrzał w lustrze własną twarz, twarz, która od najmłodszych lat budziła grozę wrogów i niepokój przyjaciół. Twarz zszytą jak piłka z różnych kawałków skóry, mimo że późniejsze operacje wygładziły prymitywne dziewiętnastowieczne blizny.

– Niech zbadają, czego chce ten węszycie), a gdy zajdzie potrzeba, niech zlikwidują. Ja go nie znam. – Szybkim krokiem podszedł do barku i nalał sobie setkę specjalnie sprowadzanej z cywilizowanych stron “Smirnoff – vodki". – Albo lepiej, najpierw niech zlikwidują, a potem zbadają! Chcę mieć spokój.

– Rozkaz, mein Herr – Miguel stuknął bosymi piętami i wyszedł.

Don Carlos nalał sobie następną kolejkę i siadł do fortepianu. Ostatnimi przyjemnościami, jakie mu pozostały, były muzyka i wspomnienia. Tu obrócił swój wzrok ku landszaftowi przedstawiającemu ponure gotyckie zamczysko, znane z bedekerów jako “Schloss Frankenstein" (obecnie na przedmieściu Karl – Marx – Stadt).

Meffa spotkał zawód. Przygotowany na uderzenie upału jak w Bangkoku, gdzie wyjście z samochodu przypomina skok do kubła z lepką ciepłą cieczą, zetknął się z temperaturą umiarkowaną. Po prostu stolica znajdowała się dość wysoko nad poziomem morza, a niebo zakrywały chmury. Senior Diavolo spodziewał się ustrzelić w ciągu dwóch dni następne dwa nazwiska z listy przyszłej ekipy. Oprócz Frankensteina, w innym niewielkim państewku, miał nadzieję natrafić na ostatni egzemplarz wilkołaka nizinnego.

Wilkołaki, niezwykle – ongiś rozpowszechnione, tak na Niżu Środkowoeuropejskim jak – w innych odmianach – na pozostałych kontynentach Starego Świata, wymarły, niejako na złość cywilizacji. Przyczyną była, trudno uwierzyć, wścieklizna. Kiedy szczepionka Pasteura położyła kres hegemonii wirusa wśród psów i ludzi, począł on gwałtownie szukać sobie ostoi w świecie dzikiej zwierzyny. Pierwsze objawy choroby wodowstrętowej wśród wilkołaków

zanotowano w połowie XIX wieku. Przesądy rozpowszechnione wśród tych bestii uniemożliwiały poddawanie się szczepieniom (dogmat antyiniekcyjny był u nich równie silny jak zakaz transfuzji krwi wśród świadków Jehowy). Równocześnie świat wilkołaczy uległ z początkiem naszego wieku znamiennemu podziałowi, rozpadł się bowiem na dwie zwalczające się frakcje, z których jedna uważała, że wilkołaki należą do świata zwierzęcego, a druga, że jednak do ludzi, w związku z czym lansowała asymilację. Młode pokolenie wilkołaków, ulegając ciągotom człekomańskim, pilnie goliło lędźwie, zmieniało metryki, szukając zajęć w takich zawodach, jak policja, wymiar sprawiedliwości i wojskowość. Następstwa zmiany trybu życia były fatalne – nerwice, samobójstwa. Neowilkołaki, według ściśle utajnionych danych Pentagonu, miały największy udział wśród poległych w obu wojnach światowych. Ale już w latach sześćdziesiątych zaledwie dwóch wilkołaków brało udział w secesji Katangi. Ostatecznie zostały zaliczone do gatunku wymarłego.

Frakcja prozwierzęca wymarła jeszcze wcześniej. Ocalała pewna grupa mieszańców, potomków kolonistów, przybyłych do Nowego Świata w okresie wzmożonych prześladowań czarownic w wieku XVII. Stanowili oni rezultat krzyżówek z tubylczymi wilkołakami indiańskimi, bardzo ongiś rozpowszechnionymi. Jeszcze w naszych czasach odnotowano historię o Indiance przychodzącej w postaci kojota karmić swe dzieci, i oni jednak, tępieni nie gorzej od Siuksów i Apaczów, z czasem zniknęli lub ustąpili miejsca szarlatanom przywłaszczającym sobie miano wilkołaków i oddającym się kultom przybyłym z Czarnej Afryki, nie mającym jednak żadnego związku z Międzynarodowymi Służbami Dołu. George H. Sauter w swym monumentalnym dziele

Werwolfs and welfare State udowodnił nawet niemożliwość istnienia wilkołaków w szczytowym i wszelkich dalszych stadiach rozwiniętego kapitalizmu. Nie wykluczył jednak możliwości przetrwania bestii w krajach Trzeciego świata, co spotkało się z ostrą repliką akademika D.P. Zajcewa w pracy O niektórych aspektach tak zwanego wilkołactwa i jego rzekomych badaczach.

Jeszcze inne twierdzenia możemy znaleźć w pracy francuskiego antropologa Georgesa Laurigneau, który, poszukując śladów ostatnich wilkołaków w Ameryce Łacińskiej, opublikował esej w “Sources Cabalistiąues" pt. Pourąuoi khaki? W pracy swej udowodnił, że ostatnie z potworów przetrwały w rejonie Amazonki dzięki mimetyzmowi, tj. umiejętnemu dostosowaniu kolorystycznemu do podłoża. Tak więc dał odpowiedź, dlaczego wilkołaki są koloru khaki.

Według suplementu Who is who? ostatni wilkołak imieniem Kajtek miał przebywać w niewielkiej Republice Cortezji, do której wprawdzie od pewnego czasu turystyka była utrudniona – Meff sądził

jednak, że umiejętność przenikania ścian może być użyteczna przy przekraczaniu granic.

Było wczesne popołudnie. Taksówka z rozgadanym kierowcą przewiozła Meffa do klubu myśliwskiego imienia Simona Bolivara, szyld jednak, jak plotka głosiła, był tylko przykrywką Kasyna Weteranów im. Horsta Wessela. Fawson, przedostawszy się jako sympatyk z wymyślonego naprędce stowarzyszenia Wielkich Włoch “Giovinezza", został przyjęty miło, uraczony cienkuszem udającym bawarskie piwo i firmowym kapelusikiem tyrolskim. Nie otrzymał jednak żadnych informacji. Barman twierdził, że nigdy nie słyszał nazwiska Frankenstein, a w ogóle ma słabą pamięć, usiłował natomiast dość niezdarnie wywiedzieć się, po co pan “Farkensohn" jest włoskiemu sympatykowi potrzebny.

Fawson rzucił od niechcenia “sześć razy sześć", ale uzyskawszy w odpowiedzi “trzydzieści sześć" pojął, że źle trafił.

Wyszedł na ulicę pełną tubylców, których kolorystyczna różnorodność, a zarazem nieprzystawalność do żadnej ze stereotypowych ras sprawiały wrażenie, jakby ktoś przed laty wrzucił całe tutejsze społeczeństwo do młynko – miksera sprzężonego z kalejdoskopem. Samych tubylek barwy czekoladowej naliczył z pięć odcieni.

Ciekawe, jakie byłyby w smaku? – pomyślał łakomie.

W zasadzie jego zasób pomysłów był na wyczerpaniu. Poszukiwanie w książkach adresowych czy telefonicznych mijało się z celem. Miał jedyną nadzieję, że kolejny list stryjaszka, który otworzy nazajutrz, rozstrzygnie, jak już uprzednio bywało, wszystkie problemy. Rozmyślając, nawet nie zauważył, że oddalił się od centrum i znalazł na przedmieściu, tym z gatunku uboższych, gdzie wzniesienia, zamiast pysznych willi, obsiadły szczelnie sadyby biedoty, zwane w jednych krajach “ranchitos", w innych “hacjendas". Zbudowane dosłownie jedne na drugich, z nie tynkowanej cegły i odpadów przemysłowych, przypominały mrowisko czy też porowaty silos kryjący bombę demograficzną. Późno dostrzegł też, jak otacza go coraz liczniejsza gromada dzieciaków przybywających nie wiadomo skąd i proponujących mu najrozmaitsze rzeczy, a to pamiątki, a to narkotyki, a to młodą i przystojną siostrę. Meff najpierw usiłował Ich spławić, później odpędzić, ale skutek był tylko taki, że wrzaskliwa grupa zbiła się wokół niego ciaśniej. Głupia sprawa. Co śmielsze pętaki poczęły skubać go za spodnie, a wyglądający z okolicznych domostw starsi najwyraźniej nie zamierzali interweniować. Fawson pomyślał o ogniu nieczystym. Niestety, spray został w walizce znajdującej się w przechowalni, żadne z zaklęć kabalistycznych nie przechodziło mu przez gardło, a lewitowania nie przećwiczył. Zamierzał już cisnąć w

górę trochę banknotów, mając nadzieję, że rozluźni ten dziecięcy pierścień, kiedy z wyciem klaksonu i piskiem opon zahamowała odrapana mazda prowadzona przez młodego Metysa. Kilka słów, z których Meff rozpoznał jedynie “carramba", poskutkowało, f po chwili Fawson znajdował się już w szoferce.

– Seńor Dicwolo? – spytał krótko wybawca, a gdy otrzymał potwierdzenie, ruszył do przodu tak ostro, jakby ścigali go wszyscy diabli. Wóz pędził w stronę przeciwną do centrum i po kwadransie Fawson przestał cieszyć się z rozwoju sytuacji.

Kierowca mazdy okazał się chyba najbardziej małomównym człowiekiem Ameryki Południowej, wszelkie odżywki Meffa, zadawane w znanych i nieznanych językach, kwitował szczerzeniem zębów i krótkim – Si, si! Raz tylko, gdy coraz bardziej zdenerwowany Fawson rzucił pytająco:

– Amigo? Padła odpowiedź:

– Amigo, naturalmente.

Inne próby nawiązania dialogu, tak społecznego jak i za pieniądze, spełzły na niczym, tylko rysy Metysa z każdym przejechanym kilometrem robiły się mniej przyjazne. A jechali długo, coraz podlejszymi drogami w głąb dusznego i wilgotnego interioru. Wreszcie wóz zatrzymał się w miejscu, gdzie drogę przegradzała wezbrana rzeka bez mostu. Fawson chciał szarpnąć za klamkę, ale po pierwsze, klamki nie było, a po drugie, Metys wydał krótki dźwięk:

– No!

Kabura wypychająca koszulę i wielka maczeta znajdująca się po lewej stronie kierowcy skutecznie odradzały rozwiązania siłowe.

Meff pomyślał z goryczą, że nawet jak na początkującego szatana za bardzo daje się robić w konia, i znów pożałował decyzji stryja rzucającej go niczym ślepe kocię na szerokie wody metafizyki.

– Co mam robić? – powiedział wpół do siebie, a wpół w przestrzeń.

– Czekać! – padła odpowiedź po angielsku.

Czekał więc, wsłuchany w nieustające granie cykad, przypominające swym jednostajnym dźwiękiem jęk blachy na wietrze, owiany dziwnymi zapachami tropikalnej nocy i wyziewami z silnika.

Około drugiej nad ranem Meff miał już absolutną pewność, że nie nadaje się na mieszkańca Trzeciego Świata, którego życie upływa przeważnie na czekaniu, a to na towar, a to na kolejną zmianę rządu, a to na lepsze jutro, kiedy jednak spróbował się poruszyć, znów rozległo się zdecydowane:

– No!

Usiłował tłumaczyć konieczność wyjścia potrzebą fizjologiczną, ale Metys, nie unosząc nawet powiek, wskazał ręką na okno. Cóż za upokarzająca propozycja dla przedstawiciela cywilizacji

postindustrialnej. Fawson (excusez le mot) odlał się, co jednak przyniosło mu niewielką ulgę. Kombinował nawet, czy nie spróbować przenikania. Niestety, siedzenie było z dermy, drzwi miały plastikową wykładzinę, a szyba też wyglądała nienaturalnie. Nie chciał ryzykować pokaleczenia. Mógł wprawdzie spróbować zahipnotyzować kierowcę, ale nie wiedział, jak to się robi. Wreszcie na krótko przysnął. Sen miał niedobry, duszny jak noc, ale nic z niego nie zapamiętał. Obudził go jakiś warkot, po chwili zidentyfikowany jako dźwięk helikoptera. Z wolna wychodził z półuśpienia, kiedy ostatecznie przywołało go do rzeczywistości szarpnięcie za ramię i podniesiony głos wołający coś w rodzaju:

– Alle raus! Schneller!

Otworzył oczy i osłupiał. Pochylał się nad nim kościotrup w mundurze, czy, mówiąc delikatniej, chudy jak śmierć starzec z dystynkcjami Sturmbahnfuhrera. Ubezpieczały go dwie postacie w hełmach, z wycelowanymi automatami, a obok rwał się do czynu olbrzymi owczarek alzacki.

Film produkcji DDR – przemknęło Meffowi. Ale to nie był film. Metys kopniakiem pomógł mu opuścić szoferkę, cios skórzaną rękawicą oficera wyprostował go i pchnął w kierunku ścieżki wiodącej w bok. Mijając żołnierzy stwierdził, że posiadali jedynie hełmy i przepaski biodrowe, reszta munduru, łącznie z baretkami, była werystycznym tatuażem na ciele.

– Szukałem Frankensteina, a tymczasem Frankenstein znalazł mnie… No, nieźle. Tylko po co ta inscenizacja? Czyżby starsi panowie w ten sposób bawili się na starość?

Nie uszli daleko. Na polance jakby wygryzionej w dywanie dżungli oczekiwało ich jeszcze dwóch krajowców z pochodniami oraz duży prostokątny otwór w ziemi. Kolejny żart?

Metys pchnął Meffa na skraj dołu tak, że ten z najwyższym trudem utrzymał równowagę. Dwaj tatuowani podnieśli automatyczne pistolety.

– Co to za żarty – zawołał Meff – szukam barona Frankensteina! Jestem obywatelem Stanów Zjednoczonych!

Nie słuchali go. Oficer wydał nieprzyjemnie brzmiącą komendę. Fawson próbował zapaść się pod ziemię, ale był zbyt zdenerwowany, by prawidłowo wymawiać zaklęcia.

Zaraz przekonam się, czy piekło istnieje naprawdę – przemknęło mu przez sparaliżowany strachem mózg. Dwie krótkie serie. Zagwizdały pociski, siatkując niemiłosiernie liany i pnącza.

Nawet mało boli – pomyślał Fawson.

Oficer zaklął. Niedojdy, chybić z paru metrów! Wyrwał z kabury spluwę, podbiegł do ofiary i wypalił prosto w pierś, nie zastanawiając się, że, uwzględniając kaliber, krew może pochlapać jego świeżo

wyciągnięty z naftaliny mundur. Wypalił i zdębiał. Pocisk, zanim dotarł do koszuli pojmanego makaroniarza, gwałtownie skręcił w bok, muskając wilczura, który zwinął się ze skowytem.

– Mein Gott! – zdziwił się esesman z lamusa i już miał zamiar wydać rozkaz swym podkomendnym, aby zatłukli dziwnego cudzoziemca kolbami, gdy wyłoniło się nowe widmo, dotąd pozostające w cieniu akcji.

– Halt! – zakomenderowało krótko i żwawo podbiegło do niedoszłego denata.

– Sześć razy sześć – wymamrotał półprzytomnie Meff i osunął się do dołu.

– Sześćdziesiąt sześć! – zawołał ochoczo osobnik, którego poznaliśmy jako Carlosa, i wskoczył za nim. – Całe lata czekałem, aż Dół przypomni sobie o moim istnieniu. Jest jakaś interesująca robota?

Kolejny list stryjaszka bił wszelkie rekordy lakoniczności i próżno szukać by w nim było instrukcji bądź przegadanych informacji.

Tak trzymać!

Meff odczytał go półleżąc na żołnierskiej pryczy w pokoju gościnnym daczy Frankensteina, urządzonym w stylu późnego Verdun lub wczesnego Stalingradu. Żyrandol z łusek haubicowych, posadzka z płyt pancernych, okienka od U – boota, a zamiast boazerii okopowe szalunki, tyle że ze szczególnie rzadkich gatunków drewna pociągniętych politurą.

– Jak się czujemy, mistrzu? – dopytywał się zafrasowany gospodarz z nieodłączną szklaneczką “Smirnoff – vodki" – proszę wybaczyć, ale wzięliśmy was za jednego ze szpicli którejś z tych parszywych komisji do badania rzekomych zbrodni… A Martin nawet uważał, że możecie być agentem wywiadu izraelskiego. Przepraszam! Od porwania Eichmanna niektórzy mają po prostu obsesję. No, ale… – nalał kieliszek Fawsonowi – prosił, Herr Diavolo!

– Prosit, Herr Frankenstein.

– Nie miałem pojęcia, że Centrala przypomni sobie o mnie na stare lata. Nawiasem mówiąc, to skierowanie mnie, potomka jednego z najstarszych rodów, do służby u tego austriackiego parweniusza było pomysłem nie najlepszym. W przeddzień Nocy Długich Noży osobiście usiłowałem dodzwonić się do Lucypera, żeby przekonać go, iż nic dobrego dla nas z tego nie wyniknie. To byli szaleńcy, a nie, jak my, uczciwi, ciężko pracujący funkcjonariusze Zła. Nieprawdaż!? – Nie czekał jednak na odpowiedź, tylko ciągnął dalej. – Nie przeczę, miewali czasem dobre pomysły, ale to doktrynerstwo, brak umiaru, a wreszcie nieumiejętność przegranej! No i koszmarne zarozumialstwo. Czy pan wie, że ten malarz pokojowy, aczkolwiek z początku chętny do korzystania z naszych usług, później zaczął ignorować wskazówki

łączników, a na koniec przestał nawet wierzyć w Piekło! Horrendalne! No, ale my tu gadu – gadu, a pan Plenipotent nic ciepłego jeszcze nie miał w ustach.

Jak na zamówienie otworzyły się drzwi i wszedł Murzyn Miguel. Podsunął do pryczy Fawsona stolik umocowany na lawecie, nakrył go serwetą ze spadochronu, przepięknie mereżkowaną seriami z broni automatycznej. Spod srebrzystej czaszy hełmu wydobył talerz dymiącego mięsiwa o mdło – słodkim aromacie.

– Co to za specjał? – zainteresował się Fawson.

– Małpina, ale smakuje jak ludzkie – pochwalił baron. – Sam nie jem, ale trzeba dogadzać smakoszom.

Meff poczuł, jak mały języczek, wiszący zazwyczaj nad przełykiem, uciekł z obrzydzeniem gdzieś w trąbkę Eustachiusza. Nie skrzywił się nawet, żeby nie urazić gospodarza, tylko nabrał sobie kopiastą porcję sałatki.

– Widać znawcę – ucieszył się gospodarz – kraby – trupojady na tę sałatkę sprowadzam z najelitarniejszych plaż Brazylii. Na deser proponowałbym jaja kolibra i pająka ptasznika na dziko.

Nie wiadomo, jakby znakomity specjalista od reklamy przeżył tę biesiadę, gdyby nie fakt, że rozgadany gospodarz całkowicie nie zwracał uwagi, czy pokarm znika w ustach czy w kieszeniach gościa. Roztaczał przed nim freski swoich dawniejszych przeżyć, stebnując je narzekaniami na temat jednostajnej egzystencji tu, w Ameryce Południowej, gdzie tubylcy, zamiast słuchać Wagnera, tańczą na ulicach samby i karioki. Co pewien czas dopytywał usilnie o swe zadania w obecnej akcji. Co jest jej celem i jaki będzie jego udział? Osobiście może iść na pierwszą linię, choć, prawdę powiedziawszy, jest znacznie lepszym fachowcem od zaplecza.

Meff jednak nie puścił pary – zresztą, jak wiemy, własny zbiornik był pusty. Baron dowie się wszystkiego we właściwym czasie. Sprawa jest niezwykłej wagi, najdalej za parę dni umówiony znak, który przekażą publikatory całego świata, oznaczy termin nawiązania kontaktu. Tu przez chwilę recytował precyzyjne szczegóły. Zbliżając się do końca posiłku, odebrał regulaminową przysięgę wierności, popił mętną cieczą, której pochodzenia wolał nie dociekać, po czym zadał pytanie, czy Organizacja ma jakieś wpływy w Republice Cortezji.

Na moment zapadła cisza.

– Zamierzasz, mein lieber Herr, udać się do Cortezji? – wykrztusił Frankenstein.

– Muszę. A dlaczego pan robi taką dziwną minę?

– Cortezja, mein lieber Herr, to miejsce, w którym nawet diabeł musi czuć się niewyraźnie!

VII.

Z lotu ptaka, jeśli jakikolwiek ptak odważyłby się naruszyć przestrzeń powietrzną Cortezji, republika przypomina trapez, stąd nazwa nadana w XVII wieku przez francuskiego pirata Paula Ledontiera – Saint Trapeze, utrzymywana na niektórych mapach przez konserwatywnych geografów. Z jednej strony oblewa ją morze pełne raf, z drugiej oszańcowuje niebotyczny łańcuch wulkanów z Górą św. Trójcy, przechrzczoną w późniejszych czasach na szczyt Corteza, z pozostałych dwóch stron ciągną się mokradła i jeziora. Od nich przyległe prowincje wzięły nazwę Mosąuitos i Aligatores. Wystarczy więc być średnio rozwiniętym studentem geopolityki, aby pojąć, że jest to teren trudno dostępny, tym bardziej że silna własna flota powietrzna i sytuacja międzynarodowa zabezpieczają go od interwencji z góry.

Jedyny właz do tego kraiku – bunkra stanowi zatoka, nazwana przez samego Kolumba Dios Gracias, co było nie tyle wyrazem podzięki wobec Najwyższego, ile raczej wykrzyknikiem zdumienia, że w tak niebezpiecznych okolicach może pojawić się coś równie spokojnego i malowniczego.

Nad tą szmaragdową zatoką rozpościera się Punta Libertad, ongiś Cuidad Mortes, zwane nie tyle perłą, co tygrysim oczkiem mórz południowych. Wspomniany Krzysztof

Kolumb odkrył nieszczęsny skrawek lądu pierwszego kwietnia w jednej ze swych późniejszych podróży i zamierzał nawet nadać mu nazwę Prima Aprilis, ale już pierwsze kontakty z wojowniczymi tubylcami odwiodły go od tego zamiaru. Część załogi pozostawiona w Cuidad Mortes została, zanim doszło do następnej wizyty Hiszpanów, wybita w pień i zjedzona. Zresztą, zważywszy na gęste urafienie wybrzeża, podobne przygody zdarzały się rozmaitym rozbitkom systematycznie przez dwa następne stulecia. Teren nie zawierał złota, nie wabił więc ani konkwistadorów, ani poszukiwaczy przygód. Sporadycznie odwiedzali go korsarze, piraci, bukanierzy i flibustierzy. Sir Francis Drakę stoczył u ujścia zatoki Dios Gracias walkę z trzema hiszpańskimi galeonami, a Morgan sprzedał nawet hiszpańską księżniczkę miejscowemu kacykowi, który prawdopodobnie ze względu na brak opisu obsługi zjadł ją natychmiast, zamiast czerpać inne korzyści. Tu dodajmy, że według statystyk ojców jezuitów i dominikanów w ilości zjadanych misjonarzy Trapezja biła wszelkie rekordy, wyprzedzając Melanezję i Czarną Afrykę. W kręgach Spiżowej Bramy krążył nawet dowcip, że kapłan udający się głosić Słowo Boże do nieszczęsnej kramy winien przed wyjazdem posolić się i popieprzyć, żeby zaoszczędzić czasu miejscowym kucharzom. Aliści

w połowie XVIII wieku ktoś z biurokratów Wicekrólestwa Nowej Hiszpanii przypomniał sobie o mokradłach Trapezji. Rozpoczynał się wielki popyt na trzcinę cukrową.

Muszkiety Alonsa de Ybaldia i hakownice zakotwiczonych u brzegów Bahia Dios Gracias “Santa Clary" i “Santa Teresy" wybiły z głowy tubylcom wszelkie myśli o samodzielności. Samych tubylców wyeliminowano w ciągu następnego ćwierćwiecza, sprowadzając w ich miejsce “hebanową" siłę roboczą. Mokradła zmieniły się w plantacje, na tarasach dawnych świątyń wzniesiono późnobarokowe kościoły.

Z braku czasu nie zajmujemy się historią dziewiętnastego i pierwszej połowy dwudziestego wieku. Po pozbyciu się Hiszpanów w trakcie ogólnoamerykańskiej rewolucji i fiasku koncepcji federacyjnych państewko przeżyło sześćdziesiąt siedem zamachów stanu i sześćdziesięciu ośmiu prezydentów (sześćdziesiąty ósmy zmarł o własnych siłach tylko dlatego, że zawał serca powalił go podczas ceremonii zaprzysiężenia, zanim jakikolwiek zamachowiec zdołał zorientować się w istnieniu nowego celu do strzelania). Z biegiem czasu zamachy bywały coraz bardziej dramatyczne, zwłaszcza gdy zaczęto w Trapezji eksploatować kauczuk, odkryto boksyty, srebro i ropę naftową.

W latach trzydziestych do przemożnego wpływu doszła rodzina Conzalesów, bogatych plantatorów – z południa. Ale i ta dynastia nie przyniosła upragnionego pokoju w kraju, gdzie śmierć ze starości nie zdarzała się prawie nigdy, a ofiary egzekucji walczyły o pierwsze miejsce w wykazie zgonów z poległymi w bratobójczych starciach. Trzech kolejnych prezydentów, z których pierwszy, Alonso, był nacjonalistą – obaliła go zresztą Gwardia Narodowa, drugi, Mario – faszystą, co mu nie przeszkodziło w 1945 r. wypowiedzieć wojnę państwom Osi, trzeci, Pedro – konserwatywnym liberałem (zakazał tortur i publicznych egzekucji garotą, zadowalając się wieszaniem delikwenta tylko w asyście najbliższej rodziny), panowało w sumie dwadzieścia lat. Niektórzy Trapezjańczycy uznawali taką ciągłość za wydarzenie niepojęte, równe chyba tylko powtórnemu przyjściu Pierzastego Węża.

Pedro z całej familii był na j bystrzejszy, skończył nawet elitarną szkołę zawodowych podoficerów w pobliskiej Etanii, republice dominującej w tej okolicy. Panowanie, bo trudno inaczej nazywać rządy Pedra Gonzalesa, niewątpliwie najmocniej uwypukliło syndrom Trapezji. Pedro wstąpił na prezydenturę po osobistym zasztyletowaniu brata i rozstrzelaniu całej Tajnej Rady, z wyjątkiem ministra policji, współautora spisku, który zginął dopiero po roku, już jako wiceprezydent, w katastrofie sportowej awionetki. Gonzales, zdając sobie sprawę z niecałkowitej legalności swej władzy, pragnął

zachować wszelkie pozory demokracji. Sprowadził etańskich doradców, otworzył uniwersytet, zakazał karania śmiercią za jazdę na gapę w tramwaju, powołał trzy partie: Liberalno – Konserwatywną, Zachowawczo – Socjalną i Demokratyczno – Totalną. Wszystkich trzech był honorowym przewodniczącym. Zorganizował nawet wybory, które po podliczeniu wyników wygrał w stu osiemdziesięciu i dwóch dziesiątych procenta.

Rezultaty tych odważnych posunięć nie dały na siebie długo czekać. Ludziom, przyzwyczajonym dotąd, że usta wolno tylko otwierać u dentysty, zaczęło przewracać się w głowach. Pierwszym buntownikiem został poeta Montinez, syn handlarki dewocjonaliami i funkcjonariusza policji, który zgwałcił ją podczas przesłuchania mającego wyjaśnić, dlaczego Jezus Chrystus na obrazkach przez nią sprzedawanych ma wygląd typowo antypaństwowy? Montinez należał do tych nielicznych, którym umożliwiono trzymiesięczne studia za granicą. Odpłacił się jednak swoim dobroczyńcom czarną niewdzięcznością. Nie tylko odmówił napisania cyklu sonetów: “Gdy myślę o naszym Prawodawcy", ale nabazgrał i wygłosił publicznie (w gronie rodzinnym, lecz jednak!) paszkwil pt. “Trzy sztachy wolnością", opiewający uroki Paryża, Londynu i Rzymu, które odwiedził w ramach stypendium. Jeszcze tej nocy trzy donosy (słuchaczy zaimprowizowanego wieczoru autorskiego było czterech, ale wuj Jorge nie umiał pisać) znalazły się na biurku komendanta dzielnicowego. Aluzja była czytelna jak list pod światło. Montineza aresztowano. Ale zamiast rozstrzelać, poćwiartować lub choćby w ramach nadzwyczajnego złagodzenia kary osadzić dożywotnio w kamieniołomach im. św. Józefa Robotnika, z niepojętego kaprysu el Presidente dano mu paszport, czółno i polecono spływać.

Przykład okazał się zaraźliwy. Z dnia na dzień poczęli objawiać się młodzi poeci, plastycy, ba, inżynierowie wygłaszający opinie, delikatnie mówiąc, anarchistyczne w nadziei, że i ich spotka wymarzona kara banicji.

Conzales zorientował się w swej gafie dopiero, kiedy zaczęło brakować czółen. Spuścił niezwłocznie z łańcucha trzech wiceministrów policji i krew znów.popłynęła ściekami w modrą toń zatoki Dios Gracias. Wybito znaczną część młodej inteligencji, rozjechano walcami drogowymi demonstracje rozparzonych studentów Uniwersytetu im. Prawodawcy i wszystko wskazywało, że zapanuje wreszcie ład, porządek, spokój, kiedy ozwała się opinia publiczna ościennej Etanii.

“Komu udzielamy pomocy i pożyczek?!" – gdakały wielkonakładowe dzienniki. Spalono konsulat Trapezji, obrzucono jajami jego zespół folklorystyczny przebywający na tournee (zresztą z zespołu powrócili do kraju tylko dyrygent i szofer), usiłowano nawet

wygwizdać ambasadora Republiki w Narodach Zjednoczonych.

Zagrożony wstrzymaniem kredytów Gonzales odwołał trzech wiceministrów, powołał nowy rząd, w którym był nawet jeden profesor (łaciny), a Montinezowi przyznał nagrodę państwową. Poeta wolał się po nią nie fatygować. Zresztą w dwa lata później znaleziono go z pierzastą strzałą w plecach we własnej willi w Beverley Hills. Zakazano również aresztowań za odmowę słuchania rządowego radia, zezwolono robotnikom po.przepracowaniu dwudziestu lat na dowolną zmianę miejsca zatrudnienia, zmniejszono chłopom dziesięcinę z dziewięćdziesięciu na osiemdziesiąt procent i zezwolono nawet na urządzanie pogrzebów ofiarom represji.

Odtąd co parę lat dochodziło do paroksyzmów terroru, wytłumianego później oliwą liberalizacji. Wiemy jednak dobrze, dokąd prowadzi taka niekonsekwencja. Pedra Gonzalesa zadusiła własnymi udami jego ostatnia kochanka, jak się okazało, będąca na żołdzie emigracyjnych wichrzycieli. Krótkie bezkrólewie, w czasie którego armia zajęła pałac prezydencki i lotnisko, a policja i Gwardia Narodowa bank i port, zakończyło się dzięki mediacji ambasadora Etanii kompromisem. Nowym prezydentem został Esteban Amarillo, ów nieszczęsny profesor łaciny, nawet przez najbliższych przezywany “Pierdołą". Zaproponował on powolne przejście do demokracji, tzn. wybory za dziesięć lat i paszporty dla wszystkich za lat dwadzieścia. Nie zdążył.

W dniu, w którym umarł ostatni i Gonzalesów, nauczyciel wychowania fizycznego z prowincji Aligatores, Juan Bandollero y Fuego, skończył opracowywać krótką broszurę zatytułowaną “Podstawy cortezjanizmu". Bandollera nie cechował przesadny intelektualizm, miał jednak zmysł praktyczny, od najmłodszych lat umiał przemawiać, a gdy zaszła potrzeba, bić w ryj swoich antagonistów.

Podstawowa teza jego pracy brzmiała:

“Hernan Cortez okazał się wybawicielem narodów amerykańskich spod jarzma Montezumów, przynosząc postęp, oświatę i Świętą Wiarę. W istocie był on nowym, prawdziwym wcieleniem Pierzastego Węża. Potrzeba zatem nowego Corteza, który obali nowoczesnych Montezumów, z ich krwawymi ofiarami i niesprawiedliwością. Lud zjednoczy w jeden organ, potrafi nim tak machnąć, że opadną ciemięzcy, a nastanie królestwo wszelkiej pomyślności, natchnienie dla kontynentu".

W elaboracie Bandollera sporo było mistyki liczb, zadziwiającego pomieszania dorobku pitagorejskiego z kabalistyką Majów, a wszystko było wystarczająco mętne, niejasne, aby nie zostać poddane merytorycznej krytyce. Nauczyciel wuefu czerpał hojnie z tradycji, od Tolteków po jezuickie państwo w Paragwaju, proponując niezwykły

koktajl teokracji i populizmu.

Ponieważ intronizacja Amarilla zbiegła się z kolejną falą liberalizmu, broszura nauczyciela ukazała się bez większych trudności. Nie potraktowano jej zresztą poważnie. Tak w kraju, jak na emigracji nabijano się z teorii, w której do jednego wora wsypano postęp i inkwizycję, Boga Deszczu i Jezusa Chrystusa, a stan Kapłanów Twórczego Synkretyzmu ogłoszono klasą wiodącą.

A przecież zawsze znajdzie się dość licealistów i studentów, fantastów i zapaleńców, którzy nawet z chaotycznej magmy potrafią wybrać coś dla siebie, zwłaszcza gdy stawką ma być ZMIANA. A w dzielnicach biedoty hasła: “Precz z Montezumami!" też zyskiwały pewne zrozumienie, tym bardziej że mało kto wiedział dokładnie, kim są Montezumowie. A ponieważ niekonsekwentna władza nie wywoływała już ani bojaźni, ani sympatii, poczęły się tworzyć gminy kortezjańskie wśród tkaczy i rybaków, wyrobników i pracowników plantacyjnych, z samozwańczymi kapłanami i mroczną obrzędowością.

Którejś czerwcowej nocy grupa zapalonych spiskowców na czele z Juanem Bandollero próbowała zawładnąć nawet okrętem flagowym “San Sebastian", stojącym vis – a – vis pałacu prezydenckiego. Ale kilkunastu żołnierzy piechoty morskiej uporało się z garstką spiskowców, a Bandollero salwował się ucieczką wpław w stronę latarni morskiej. (Dziś szlak corocznego maratonu pływackiego im. Arcykapłana). Wydano nakaz aresztowania nauczyciela. On jednak, korzystając z rozwiniętej korupcji, przekupił porucznika straży portowej i ten osobiście wywiózł go za granicę.

Zapewne nikt nigdy by o nim nie usłyszał, gdyby nie postępowanie prezydenta Amarillo. Biedaczek naczytał się tyle Cicerona i braci Grakchów, że dzieło reform postanowił potraktować poważnie. Zezwolił na powstawanie niezależnych organizacji, przebąkiwał o nacjonalizacji niektórych gałęzi przemysłu, o obdzieleniu peonów ziemią… Co gorsza, Etania, dotąd przychylna twardszym rządom, patrzyła na poczynania prezydenta z zadziwiającą tolerancją.

W pewien lutowy wieczór w willi Mariny Conzales spotkało się kilku latyfundystów, przemysłowców i emerytowanych dowódców. Rej wodziła sama wdowa. Nie trzeba było referować sytuacji, wszyscy wiedzieli, że jest niewesoła. Co gorsza, “Pierdoła" – Amarillo po ostatnich nominacjach miał poparcie większości korpusu oficerskiego i policji. Ba, zalegalizowane organizacje opozycyjne z ruchem im. Mantineza na czele popierały go i gotowe były samoograniczać się w żądaniach, aby nie prowokować reakcji. Co robić? Ryzykować przewrót samymi tylko siłami marynarki? A jeśli się nie uda?

– Jest jeden sposób – powiedziała donna Marina – trzeba

skompromitować tego sklerotyka.

– Ale jak? – ozwał się “król orzeszków ziemnych" – przecież to dupa, nie prezydent. Nie pije, nie kradnie, nawet własnej żony nie używa…

– Trzeba zmusić go do działań niepopularnych, żeby odciął się od reform, skompromitował w oczach Etanii, a wtedy wystarczy mały pstryczek i sam padnie…

– Łatwo mówić – żachnął się admirał Ouesada – czy wiecie, że on w ogóle zamyśla o zniesieniu kary śmierci?

– Trzeba go więc zmusić – uśmiechnęła się donna Marina i wyciągnęła z szuflady zdjęcie formatu legitymacyjnego – wiecie, kto to jest?

– Chyba ten psychopata, “Nowy Cortez" – zaśmiał się arcyksiążę boksytów. – Nikt go nie traktuje poważnie, klepie obecnie biedę gdzieś w Europie.

– A gdyby tak mały zastrzyk pieniędzy? Parę statków i jakieś lądowanko na Nizinie Aligatorów, małe ruchawki w miastach… – szepnęła wdowa po el Presidente.

– Pani jest naszą Joanną d'Arc – powiedział admirał całując rękę tłustej Kreolki.

Jedenaście miesięcy później oddziałek liczący stu dwudziestu trzech ludzi i tyleż koni, pod wodzą Nowego Corteza, wylądował na Cyplu Żółwia. Po krótkim marszu dołączyła doń gmina cortezjańska z bagien.

W garnizonie Tortugas odbywały się akurat imieniny komendanta. Placówka została zajęta bez wystrzału. W całym kraju objawiły się zaplanowane niepokoje. Niestety, Amarillo znów sprawił zawód. Zamiast ruszyć pełną siłą na buntowników, wdał się w idiotyczne rokowania. Samemu Bandollerowi zaproponowano do wyboru fotel senatora lub Ministerstwo Oświaty.

Przerażeni spiskowcy donny Mariny postanowili nie czekać. Piechota morska zeszła na świętujące rozejm miasto. i nastąpiła słynna “Noc Maczety". Mówią, że Amarillo, widząc bezmiar okrucieństw, nie wytrzymał nerwowo i wyskoczył z tarasu swej rezydencji. Wersji tej przeczyłoby siedemnaście kuł wydobytych później z ciała prezydenta.

Wieści o wydarzeniach w stolicy przeniosły się na prowincję. Nagłe załamanie nadziei na zmianę podziałało jak zapalnik. Kraj stanął w ogniu. Bandollero, ponoć przerażony i zaszokowany własnymi sukcesami, ruszył na południe, a kraj otwierał się przed nim jak kurtyzana na widok kochanka. Jego armia rosła.

Umiejętności pragmatyczne nakazywały mu nie tworzyć jednego pospolitego ruszenia, obok armii masowej ciułał, najchętniej z ludzi “z hakami", z eks – policjantów, kryminalistów i banitów, żandarmerię Świętej Wiary.

W dwa tygodnie stanął pod Cuidad Mortes (tydzień potem zmieniono nazwę stolicy na Punta Libertad). Oddziały morskie kapitulowały jeden po drugim, a publiczne egzekucje wyzwalały w społeczeństwie uczucia zasłużonej satysfakcji.

Wahających się szybko przekonywali kapłani lub żandarmi. Donna Marina i jej klika umknęli razem z etanijskimi doradcami. Zresztą parę potężnych monopoli prawie nazajutrz wpadło na pomysł, że interesy można robić nawet z Arcykapłanami. Ukuto wówczas slogan: “Lepsza prężna teokracja niż zmurszała demokracja". Kiedy po dwóch dniach walk skapitulował ostatni punkt oporu – lotnisko – zamknął się cały etap historii. Od tego dnia żadna nie kontrolowana informacja nie opuściła już szczęśliwej i błogosławionej przez Opatrzność – jak zapewniały informatory – Pobożnej Republiki Cortezji, prowadzonej przez nieustraszonego nauczyciela wuefu, Ojca Narodu,

Wujka Ojczyzny i Teścia… (dajmy spokój z pokrewieństwami!).

Dzień po dniu czas mierzyły dzwony na wieżach świątyń, w których Duch Święty miał postać Ouecalcoatla, dzień po dniu pracowicie krzątały się wsie i miasta zorganizowane w Święte Gminy Wspólnej Posługi.

Hasło: “Praca – modlitwa – ofiara" – wyznaczało sens egzystencji, szczegółami zajmowały się inne służby.

Albowiem Nowy Cortez realizował Zmianę przez Syntezę.

“Pożerając Serca Montezumów, wzięliśmy ich w siebie".

“Przyszłość to Przeszłość Dziś".

“Jedna myśl, jedna wiara, jeden Cortez".

“Tęp skorpiony jak heretyków".

“Z wiarą i dyscypliną – Cortezjańczycy nie zginą!"

Do takiego to pięknego zakątka miał udać się Agent Piekielny, Matteo Diavolo vel Meff Fawson, w poszukiwaniu ostatniego wilkołaka.

VIII.

Był jeden pewny sposób dotarcia do Cortezji. Tak przynajmniej twierdził baron Frankenstein. Szatan dyżurny postanowił skorzystać z jego rady. Jeszcze tego samego popołudnia, nie ryzykując powtórnego posiłku w towarzystwie gościnnego kombatanta, wrócił do stolicy. Tam skierował swe krokj do ambasady Republiki Cortezji. Szary gmach otaczały wprawdzie trzy linie zasieków z drutu kolczastego, mur i fosa, ale dzięki rekomendacji (Organizacja miała swe wpływy również w kołach konsularnych) signore Diavolo już o szesnastej piętnaście ściskał dłoń w skórkowej rękawiczce, należącą do ambasadora nadzwyczajnego i pełnomocnego Republiki.

Przedstawił się jako boss przemysłu sardynkowego, zainteresowany rozwojem narodowym sardynkarstwa na wodach Bahia Dios Gracias, który gotów jest nieomal bezinteresownie udzielić kredytów i rozwiniętej technologii, kontentując się skromnymi udziałami w dalekiej przyszłości. Meff wiedział wprawdzie, że w wodach zatoki okolonej przez osady żarłocznych tubylców nie ma już żadnych sardynek ani nawet meduz, miał jednak nadzieję, że ambasador nie orientuje się w tej materii. Jakoż nie omylił się. Twarz dyplomaty pojaśniała jak księżyc wychodzący z zaćmienia, a ramiona rozwarły się. Towarzyszył temu okrzyk:

– Przyjacielu!

Dalszą część rozmowy wypełniły szczegółowe ustalenia. Don Diavolo utrzymywał, że do zrealizowania umowy konieczna jest jego natychmiastowa wizyta w Punta Libertad, co początkowo ambasador uznał za niemożliwe. Normalny tryb przyznawania wiz w uzasadnionych wypadkach trwał pól roku i, nawiasem mówiąc, rzadko kończył się sukcesem. Pod naporem argumentacji przemysłowca dyplomata zmiękł nieco, zaczął wspominać o dwóch tygodniach, a gdy dowiedział się, że trawlery dostarczane przez trust “Sardine Corporation Lmt." będą miały wyposażenie pozwalające w ciągu kwadransa zmieniać je w trałowce i stawiacze min, stopniał jak sopel w wiosennym słońcu i poszedł porozumieć się z rządem. Trwało to długo i Fawson zdążył obejrzeć wszystkie obrazki przedstawiające uroki Cortezji. Jeśli landszafty choć w połowie odpowiadały rzeczywistości, ogród nad Eufratem i Tygrysem, skąd wypędzono ongiś pierwszych rodziców, w porównaniu z ojczyzną Arcykapłana musiał wyglądać jak zapuszczony ogródek jordanowski.

Wrócił ambasador. Przekazał gratulacje. Rozmawiał z samym Bandollerem, który okazał się wielbicielem sardynek i trałowców. Wyjeżdżać można natychmiast, o ile dostojny gość podpisze zobowiązanie dotyczące przestrzegania regulaminów obowiązujących

w Republice (chodzi o stosowanie się do poleceń gospodarzy, niedrażnienie funkcjonariuszy i niekarmienie obywateli), nie będzie niczego wwoził lub wywoził i wyrzeknie się jakichkolwiek pretensji. Meff podpisał. Następnego ranka był w drodze.

Samolot kursujący na linii Caracas – Punta Libertad przypominał egzemplarz skradziony z Muzeum Techniki. Nawet dla laika musiał wyglądać na nieznacznie przemeblowany bombowiec z drugiej wojny światowej. Fawson odczuwał niejasną obawę, czy nagle nie rozsunie się podłoga, a on sam nie wyleci w charakterze bomby. Szczęściem podłoga raczej mogłaby się rozpaść niż rozsunąć. W kabinie było pustawo. Zażywny Włoch, jakiś chudy i blady dyplomata wracający z placówki, ze zbolałą miną konia skierowanego do rzeźni, zakonnica o ruchach karateki i staruszek emeryt stanowili pełny skład podróżnych. Poza nimi była jeszcze wiekowa stewardesa. Wyglądając przez okienka Meff mógł obserwować ocean ze sporadycznymi patyczkami zbiornikowców i nieregularnymi płachetkami wyspy. Później dostrzegł większe kawałki lądu. Naraz zrobiło się ciemno. Na iluminatory nasunęły się światłoszczelne płyty, a samolot począł obniżać lot. Czyżby zamierzał zanurkować w morze?

– Tajemnica wojskowa! – wyjaśnił uprzejmie staruszek emeryt widząc niepokój tęgawego Włocha.

Wylądowali może nazbyt energicznie, ale cało i po chwili znowu zrobiło się jasno. Dworzec lotniczy, pozostałość po erze Gonzalesów, wykorzystywany był tylko w małej części, resztę, nie odnawianą od “Nocy Maczety", pokryła zieleń i wielkie malowidła przedstawiające Hernana Corteza podającego rękę Juanowi Bandollero. Obaj byli monumentalni nad wszelką miarę, kolorowi i świeżo malowani. Tymczasem każdego z przybyłych wzięło między siebie dwóch krajowców w fantazyjnych sutanno – mundurach, po czym każda z trójek skierowała się ku innym drzwiom budynku.

Cóż za troska o pasażera! – pomyślał Fawson. Właściwie zamierzał dopiero pomyśleć, ale już znalazł się między dwoma ostrzyżonymi “na łyso" Metysami, którzy dość zdecydowanie poprowadził go do drzwi w głębi. Wewnątrz wydarto mu walizkę i płaszcz, jeden z Metysów począł gme – rać po wszelkich zakamarkach ciała i garderoby cudzoziemca, drugi przyglądał się zabiegom zadziwiająco zimnym jak na południowca wzrokiem. Meff pożegnał się ze swoim ulubionym zegarkiem, długopisem i papierośnicą.

– Co to jest?! – wrzasnął naraz poszukiwacz. W ręku trzymał pojemnik z ogniem piekielnym.

– To? Dezodorant intymny – skłamał naprędce diabelski Plenipotent.

Metys otworzył jamę ustną i przycisnął tulejkę. Neo-szatan przymknął oczy. ale zamiast zapachu siarki i spalenizny rozlegała się

woń fiołków.

– Niezłe! – mlasnął funkcjonariusz i chciał schować pojemnik do kieszeni, kiedy otworzyły się drzwi i wszedł jakiś oficer i starszy siwawy gość.

– Seńor Diavolo? – spytał oficer.

– Tak jest.

– Zwrócić fanty i spierdalać! – rzucił przybyły do podkomendnych. Meff nie znał dobrze hiszpańskiego, ale gesty towarzyszące wypowiedzi były absolutnie międzynarodowe. Metys z ociąganiem oddał spray i zegarek. O reszcie chyba zapomniał.

– Jestem kapitan Gomez – oficer stuknął obcasami – pan prezydent polecił mi zająć się panem osobiście.

Fawson podał mu rękę i odwrócił się do starszego, kiedyś zapewne dystyngowanego mężczyzny.

– Nazywam się brat Manuel Jimenez – rzekł ów płynną angielszczyzną. – Mam być pańskim przewodnikiem i tłumaczem.

Gomez majtnął ręką, co zapewne oznaczało zaproszenie do wyjścia, po czym ruszył przodem. Szli jakiś czas ciemnawym korytarzem, który wyprowadził ich na' ciasne podwórko zawalone paczkami, czekającymi najwidoczniej na kontrolę celną. Stał tam niewielki samochód pancerny, pomalowany w wesołe pastelowe pasy.

– Najpierw pojedziemy do hotelu – wyjaśniał Jimenez – pan prezydent najprawdopodobniej przyjmie pana późniejszym wieczorem.

Pojechali. W wozie nie było okien, toteż wtłoczony pomiędzy oficera i przewodnika Delegat Dołu mógł co najwyżej wyobrażać sobie trasę podróży.

Wytworny hotel “Szczęśliwy Peon" wznosił się przy centralnej alei Punta Libertad, noszącej, rzecz jasna, imię H. Corteza. Był to jeden z ostatnich podarunków, które prezydent Amarillo otrzymał od koncernu “Intercontinental" w zamian za przestrzeganie kilkunastu procent praw człowieka. Szpalery nienagannie ubranych boyów i kelnerów, barki wyposażone w najlepsze trunki, urodziwe portierki i windziarki, automaty wydające na życzenie żądane przedmioty bez konieczności wrzucania monet – wszystko razem sprawiałoby niesłychanie miłe wrażenie, gdyby nie jedna błahostka. W hotelu nie widać było żadnych gości.

Pan Matteo Diavolo otrzymał apartament z własnym basenem, nieczynnym wprawdzie, ale, jak zapewnił w nienagannej francuszczyźnie maitre d'hotel, na życzenie zbiornik zostanie napełniony. Fawson wyraził życzenie, zamówił posiłek do pokoju i poszedł odpocząć. Lunch okazał się znakomity, choć nie wyglądał na dzieło miejscowej gastronomii, i rzeczywiście, dłuższe przetrząsanie

melby ujawniło kawałek serwetki z paryskiej restauracji. A zatem obiadek został w całości dostarczony z Francji. Kelnerka, drobna przystojna Kreolka, życzyła dostojnemu gościowi smacznego, wpatrując się przy tym z taką chętką w czekolady i płaty wędlin, że czuło się nieomal, jak jej gruczoły ślinowe nabrzmiewają do rozmiarów piersi. Meff zauważył to i zaproponował poczęstunek. Przyjęła po dłuższym ociąganiu, ale zdecydowawszy się, pożarła tabliczkę razem z papierkiem. Rozbawiony gość, widząc jakiej frajdy jest sprawcą, zaproponował, żeby zabrała, co jej się żywnie podoba. Po chwili cała zawartość tacy zniknęła w czeluściach garderoby Kreolki.

– To dla dzieci – wyjaśniła.

– Rozumiem, macie przejściowe trudności z zaopatrzeniem – domyślił się Fawson.

Oczy Cortezjanki znów zrobiły się czujne i chłodne.

– Nie mamy z niczym żadnych trudności – rzuciła i szybko wyszła.

Meff postanowił się zdrzemnąć. Znajdował się już w półśnie, kiedy jego wyczulony słuch zarejestrował dziwaczne tupoty zza ściany. Wstał i spróbował uchylić drzwi do sali z basenem. Zamknięte. Zaryzykował przeniknięcie, wysunął głowę przez mur (szczęściem tradycyjny) i osłupiał. Wokół basenu uwijał się tłum tubylców przynoszących w glinianych wazach wodę, którą pospiesznie wlewano do środka. Nasz bohater co rychlej cofnął głowę i rozejrzał się po apartamencie. W pierwszym pokoju stało pod ścianą kilka automatów. Podszedł do jednego i rzekł dobitnie: “Guma do żucia!" Coś zawarczało i ze środka wyskoczyło opakowanie z Kaczorem Donaldem. Meff nie powiedział nic więcej, tylko energicznym ruchem podniósł klapę nakrywającą skrzynię. Przeczucie go nie omyliło. W środku siedział skulony krajowiec i z miną zaskoczonego w kącie szczura przypatrywał się cudzoziemcowi. Ten westchnął i opuścił klapę.

Straciwszy wszelką ochotę do spania, podszedł do okna. Rozpościerał się z niego piękny widok na wysadzaną palmami aleję, okoloną dziesiątkami hoteli, domów towarowych, kin, kabaretów i banków. Na pozór nie różniła się ona od żadnej z wielkomiejskich ulic na większości kontynentów. Brakowało tylko ludzi i pojazdów, ale można było to tłumaczyć porą sjesty. Pomnikowy Cortez, zamyślony i samotny, stał na swym postumencie, udrapowanym w kokosy i głowy jaguarów.

Fawson zapragnął przejść się. Wyszedł z pokoju, sprzątaczki kręcące się po korytarzu stanęły na baczność, smagła anielica dyżurująca na piętrze zatrzepotała dyżurnymi rzęsami. Nie dowierzając windzie zszedł schodami do hallu. Na jego widok

poderwał się z fotela braciszek Jimenez.

– Zamierza pan zwiedzić miasto? – zauważył domyślnie – jestem do pana usług. Mamy tu kilka prawdziwych pereł architektury… Na przykład katedra.

– Chciałbym się przejść sam!

Cień niepokoju przebiegł przez twarz przewodnika.

– Nie ma takiego zwyczaju – powiedział nagle kapitan Gomez wyłaniając się zza płachty gazety. – Miasto jest duże, łatwo zabłądzić, ponadto przyjęliśmy za pana pełną odpowiedzialność. Co by się stało, gdyby jakiś nieuświadomiony kulturalnie skorpion albo inna żararaka pojawiła się na drodze Dostojnego Gościa?

– W prospekcie czytałem, że cortezjanizm zlikwidował wszelkie niebezpieczne szkodniki, razem z prostytucją, narkomanią i nierównością – uśmiechnął się Meff.

– Strzeżonego Pan Bóg strzeże! – zakończył dyskusję oficer.

Wyruszyli więc we dwójkę z Jimenezem. Właściwie było ich chyba więcej, mniej więcej od połowy ulicy szedł parę metrów za nim lodziarz z wózkiem, od połowy alei “przejął" ich kiosk z gazetami. To znaczy – Meff musiał mieć złudzenie wzrokowe, ilekroć odwracał głowę, kiosk trwał twardo wrośnięty w trotuar, zawsze jednak w stałej odległości trzydziestu metrów za nimi.

Jimenez z niezwykłą swadą opowiadał o cortezjańskim baroku, który wchłonął niezliczoną ilość bogatych nurtów kultury rodzimej, gawędził o dawnej literaturze, o obrzędach ludowych, które jutro zostaną zaprezentowane gościowi, wreszcie o osiągnięciach prezydentury Bandollera, który pragmatyzm Arcykapłana potrafi łączyć z ojcowskim humanizmem, zamiłowaniem do poezji i muzyki oraz z ogromnym poczuciem humoru.

– Są w świecie pisma ośmielające się zamieszczać karykatury własnych mężów stanu. My poszliśmy dalej. Nasz periodyk satyryczny “Akupunkturka" zamieszcza wyłącz – n i e karykatury Arcykapłana.

Mijali właśnie wielopiętrowy dom towarowy “Wszystko dla peona", którego witryny uginały się od napisów: “Nowość, okazja, sezonowa obniżka, wyprzedaż!" Fawson przypomniał sobie o utracie papierośnicy i skierował się do wejścia.

– Proszę wybaczyć, ale jeśli zamierza pan odwiedzić dom towarowy, powinniśmy być o tym poinformowani z jednodniowym wyprzedzeniem – zagrodził mu drogę Jimenez.

– A to dlaczego?

– Lokalny zwyczaj wywodzący się z tubylczych praktyk magicznych. Nasze społeczeństwo przejawia nader silne przywiązanie do tradycji, a szacunek, którym otacza cudzoziemców, tym bardziej nie zezwala na obchodzenie wielowiekowych kanonów. Zresztą, jeśli potrzebuje pan czegokolwiek, dostarczymy do hotelu.

Poszli dalej. Jeszcze parokrotnie Fawson próbował zejść z trasy, ale w restauracji akurat trwała przerwa obiadowa, w kawiarni urlop, a w kinie miał iść film dubbingowany w tubylczym dialekcie, więc nie było po co.

– A może chciałby pan porozmawiać z szarymi obywatelami naszego miasta? – spytał dystyngowany cicerone.

– Chętnie.

Szczególnym trafem na pustej dotąd ulicy pojawił się nagle prowadzący osiołka chłop o nieruchomej twarzy starej Indianki.

– Niech pan go zapyta, co go tu sprowadza – rzekł Plenipotent Dołu.

Jimenez nie zdążył otworzyć ust, ponieważ peon sam przemówił w dobrej oksfordzkiej angielszczyźnie.

– Nazywam się Alberto Ibanez, jestem chłopem z prowincji Mosąuitos, przed Wiosną Cortezjańską byłem tępym bezrolnym analfabetą, obecnie jestem świadomym swych zadań, praw i obowiązków wyznawcą wiary. Przed Wiosną Cortezjańską moim jedynym majątkiem były dzieci. Obecnie mam osła i dużą nadzieję na drugiego osła za trzy lata (dokonałem już przedpłat). W uprawie bawełny, osiągnąłem wydajność pięciu tysięcy kalesonów i podkoszulków z hektara…

Meff przerwał ten potok wymowy i spytał powtórnie, jakie sprawy przywiodły go na stołeczną promenadę. Tubylec ukłonił się i powiedział:

– Nazywam się Alberto Ibanez. jestem chłopem z prowincji Mosąuitos…

Następny rozmówca, siwowłosy Mulat około pięćdziesiątki, zwrócił się do gościa, zanim ten zdążył o coś zapytać.

– Nazywam się Roberto Menzures i jestem nastawiaczem zwrotnic z górki rozrządowej numer 342. Pochodzę z biednej rodziny wieśniaczej, która kokos dzieliła na czworo, a ostryg i szampana nie znała nawet z opowiadań. Dzięki Arcykapłanowi udało mi się wyjść na ludzi, i to parokrotnie. Albowiem, jak my mówimy w kolejarskiej braci: “Cortezjanizm jest semaforem jutra, trzeba tylko umieć podnieść ramię."

Mniej więcej co sto metrów na tej dziwnej alei, w której nie było dotąd ani jednej przecznicy, pojawiali się rozmaici Cortezjańczycy – a to prządka – brakarka, a to nauczyciel stopnia podstawowego, a to elektromonter ze stoczni. Meff miał wkrótce serdecznie dość tych szczerych wynurzeń – chciał powiedzieć Jimenezowi, że wyrobił już sobie opinię na temat życia codziennego kraju, kiedy dostrzegł małego Murzynka z tornistrem, przemykającego się pod murem. Nim przewodnik zdążył zaprotestować, Fawson dopadł malca i machnął mu przed oczami gumą do żucia.

– Umiesz może po angielsku lub francusku?

– Nazywam się Filippe Hernandez i jestem uczniem pierwszej klasy szkoły numer 3678 im. Świętej Wiary i Pierzastego Węża. Mój ojciec był żebrakiem, a matka pracowała na rogu. Dzięki Wiośnie Cortezjańskiej uświadomili sobie bezsens dotychczasowego życia. Obecnie tatuś jest urzędnikiem państwowym, a mamusia pielęgniarką…

Meff nie miał pytań. Tym bardziej że doszli do kresu alei zakończonej przepięknie kutym ogrodzeniem, za którym, w głębi, mieścił się pałac prezydencki.

– Zauważył pan, krata zespojona jest z elementów w kształcie serduszek, czy to nie wymowne? – spytał Jimenez. – No, ale chyba będziemy wracać, zmęczyłem pana przechadzką. A może ma pan jeszcze jakieś życzenia?

– Myślałem, żeby wracać inną drogą.

– Szlak wycieczki numer jeden przewiduje powrót drugą stroną ulicy…

– A gdyby go zmienić?

– Proszę wybaczyć, ale nie bardzo rozumiem. Co pan rozumie pod terminem “zmienić"?

Fawson dał spokój, tym bardziej że przewodnik, który zaczął teraz opowiadać o arcybogatej florze i faunie Cortezji (za Gonzalesów nikt nie wiedział nawet, co to jest “ochrona naturalnego środowiska"!), podsunął mu pewną myśl.

– Pan zna się dobrze na zoologii, bracie Jimenez?

– Studiowałem przed laty tę dyscyplinę.

– Kiedyś obiło mi się o uszy, że w waszych puszczach można napotkać ostatni okaz wilkołaka.

Nastąpiło coś dziwnego. Cortezjańczyk pobladł, na moment zamilkł, ale już po chwili zaczął bardzo prędko opowiadać.

– Występują u nas cztery główne odmiany palm. Palma królewska…

– Pytałem przecież!…

Jimenez nadal mówił o palmach, oczami dając do zrozumienia Fawsonowi, żeby nie poruszał tego tematu, a gdy wykrzyknął parę komplementów na temat palmy kokosowej i “drzewa podróżnych", wyszeptał cichuteńko:

– Proszę nie pytać, jeśli nie chce pan prowokować losu.

Meffa wręcz uradowało groźne stwierdzenie – nie przybył do Cortezji na darmo – poszukiwany Wilkołak istniał i musiał być doskonale znany, skoro otaczało go tak swoiste tabu.

Mijali właśnie kamienną ścianę katedry, kiedy Fawson podjął decyzję. Skoncentrował się i jak skoczek z trampoliny dał nura w solidnie wyglądające ciosy granitu.

Udało się.

Niemniej okrzyk zdumienia, który się natychmiast rozległ, mógł być równie dobrze okrzykiem Jimeneza, jak i jego własnym. Ściana nie była granitowa! Wykonano ją z dykty, desek lub innej tektury. Od ściany wewnętrznej podpierały ją belki. Cała aleja Corteza była jednym długim łańcuchem atrap, przypominającym hollywoodzkie miasteczko, w którym kręci się filmy z Dzikiego Zachodu.

– Wracaj, senor, wracaj! – wołał Jimenez bębniąc w ścianę. W alei wybuchł rejwach, ozwały się gwizdki i syreny.

Meff rozejrzał się. Przed nim, jak okiem sięgnąć, rozpościerało się rumowisko, wypalone domy, z częściowo zachowanymi parterami, na których zdążyły urosnąć młode rośliny i kupy śmiecia. Biegnąc, dopiero na jakimś wzniesieniu zorientował się, że za pasem tej ziemi niczyjej i podwójnym łańcuchem zasieków znajduje się prawdziwe miasto.

Za plecami narastał tumult. Widocznie przebito już wątłą ścianę. Zaterkotał silnik śmigłowca. Z pobliskich bunkrów wysypali się żołnierze.

Marnie ze mną – pomyślał Fawson, ale tym razem okiełznał rozdygotane nerwy, skoncentrował się i wydał kabalistyczne polecenie: – Pod ziemię, raz!

Gruz rozstąpił się mu pod nogami, a on sam począł miękko opadać w głąb!

IX.

Aktor bał się. Tysiąckrotnie przeklinał koszmarną majową noc, w wyniku której on, Andre Lesort, stał się zabawką w rękach szantażystów. Mógł dotąd spokojnie chałturzyć w dubbingu, grywać podrzędne rólki lokai i stangretów, żyć ze swą Lucille.

Wiadomo, najgorszy bywa strach przed nieznanym, groza nie ukazana, nie nazwana. Andre przebywał trzeci dzień w pensjonacie “Paradise", a nadal nie potrafił przeniknąć zasad gry, w której przypadło mu być pionkiem. W wersję narkotykowo – przemytniczą nie wierzył – pobieżna znajomość psychologii podpowiadała, że zbyt otwarcie go wtajemniczono. Przecież nie musieli mu mówić niczego. O co więc chodziło naprawdę? Miał być sobowtórem jakiegoś Meffa Fawsona, niezbyt ciekawego Amerykanina, oficjalnie trudniącego się reklamą, ale jak długo? Co mu groziło? Ciemnoskórzy asystenci mówili wprawdzie, że nie istnieje żadne ryzyko, ale absolutnie im nie wierzył. W ogóle nie lubił kolorowych – jego ojciec poległ w Algierii, zaciukany przez islamskich fanatyków.

Inna sprawa, że na razie nie działo się nic niepokojącego – rano Kali odwoził go do rozmaitych bibliotek, skąd musiał wypożyczać dziwaczne dzieła dotyczące magii, okultyzmu, psychotroniki lub demonologii. Nie studiował ich zresztą, jako że w życiu poza ilustrowanymi pismami i scenopisami filmów, w których grał. nie czytał niczego. Czasami dostawał polecenie przepisania paru stron, co robił zupełnie mechanicznie. Później łaził po aptekach, zielarniach i sklepach chemicznych, gdzie musiał się dopytywać o wodę królewską, korzeń mandragory, żeńszeń, lubczyk, sproszkowany ząb narwala… Czysty idiotyzm!

Czuły na obecność widzów, bez trudu orientował się, że bywa śledzony. Przeważnie zajmowali się tym dwaj faceci, pucołowaty w okularkach i chudy albinos. Być może obserwowali go jeszcze inni. Nieraz Lesort budził się «v środku nocy zlany potem i wyobrażał sobie, jak gdzieś, być może niedaleko od niego, ktoś oliwi zamek, sprawdza tłumik i nakłada celownik optyczny…;Rola sobowtóra, a może tarczy strzeleckiej?

Tymczasem czarni nie wykazywali najmniejszego zdenerwowania. W dzień towarzyszyli mu na zmianę. Gdy jeden jechał z nim do centrum, dwaj pozostali byczyli się w wyrach do popołudnia. Wieczorem cała trójka dawała ostro w gaz, dołączała do nich gospodyni i jakieś, nie wiadomo skąd przyłażące panienki podłej konduity. Z zajmowanych przez nich pokoi dochodziły wrzaski, rechoty, czasami stukot jakby po pokoju biegało jakieś kopytne stworzenie. Zazwyczaj wkładał sobie wtedy do uszu patentowane

kulki, strzelał setkę koniaku i zasypiał. Rychło jednak nawiedzały go koszmary, z których budził się szczękając zębami i powtarzając strzępki modlitw zapamiętanych z dzieciństwa. Za ścianą panowała już przeważnie cisza, ewentualnie rozlegało się wibrujące chrapanie. Ale zdarzało się, że w księżycowej poświacie za szybą weneckiego okna pojawiały się cienie lub przerażająca rozpłaszczona twarz, z ropuchowatymi oczami utkwionymi w aktorze. Jezus, Maria! Oczywiście nie przychodziło mu do głowy zaproponować swój udział w orgietce. Od czasu tej fatalnej nocy, od chwili kiedy zorientował się, że Christine jest martwa, że leży obok trupa, nie potrafił być już mężczyzną. Znaczy i owszem, reagował na kobiece wdzięki, podniecał się normalnie, ale kiedy miało dojść do zbliżenia, następowała automatyczna i, co tu ukrywać, kompromitująca blokada.

Lucille, kochanka cierpliwa i wyrozumiała, usiłowała to przezwyciężyć. Znienawidził ją za to. Coraz więcej czasu spędzał sam w łazience z kilkoma “świerszczykami". Gardził sobą, ale nie miał wyjścia.

Pierwszej nocy, zanim lepiej poznał obyczaje swych ciemnoskórych strażników, usiłował podglądać i podsłuchiwać. Ba, kiedy dziurka od klucza została zalepiona jakimś paskudztwem, a kiedy z małżowiną przylepioną do ściany Lesort łowił jęki i chichoty, z przeciwnej strony, z tapety, wyłoniła się kosmata łapa, która chwyciła aktora karcąco za ucho. i rozległ się cichy, na wpół pieszczotliwy głosik:

– Ti, ti, ti.

Z kobiet bywających u trójki kolorowych poznał lepiej jedną. Zwaliste babsko, nazywane przez kumpli Betą, które jednego razu, najwyraźniej zdenerwowane okupowaniem toalety przy ich pokoju, wtargnęło do apartamentu Andre i nie przejmując się młodym mężczyzną, załatwiło się do zlewu. Lesortowi udało się wówczas obejrzeć część pokoju sąsiadów, ale i to krótkie spojrzenie przypominało kadr z upiornego snu. Kompletnie goły Ali, o nadnaturalnie owłosionych kończynach i lędźwiach, siedział w pozycji notredamskiej maszkary na krawędzi szafy, Li, w pozycji lotosu, unosił się pięćdziesiąt centymetrów nad ziemią, natomiast Kali rechocąc gonił nagą gospodynię. Przy czym wszystko byłoby w porządku, gdyby nie fakt, że gonitwa odbywała się po suficie. Aktor poczuł się słabo i nakrył poduszką. Tam dopadł go sen.

Czwartego dnia pojawiły się nowe komplikacje. W bibliotece uniwersytetu jakaś młoda dziewczyna uporczywie przyglądała mu się przez całą długość sali. Uśmiechnął się do niej, wówczas skłoniła głowę. Odkłonił się i natychmiast zajął się notatnikiem. Kiedy jednak wyszedł na papierosa, prześliczna nieznajoma, blondynka (zupełnie jak ta nieszczęsna Christine), wysunęła się za nim. Było za późno, żeby

uciec.

– Już myślałam, że pan mnie nie pozna – powiedziała głosem pełnym niewysłowionej słodyczy.

– To byłoby niemożliwe – odrzekł, zastanawiając się, na jakim szczeblu znajomości z piękną młódką mógł znajdować się prawdziwy Fawson.

– Też interesuje pana archeologia?

– Między innymi – bąknął.

– Pozwoliłam sobie rzucić okiem na pański pulpit – uśmiechnęła się. – Niepotrzebnie robi pan notatki z glosy do Młota na czarownice. Trzeba wybrać interesujące partie i od ręki zrobią panu ksero…

– Tak, rzeczywiście…

– A swoją drogą. Ten pański list. Umie pan przepięknie pisać, tylko że strasznie pan przesadza w komplementach…

Lesort poczuł gęsią skórkę. Masz ci los – musiała się trafić jakaś korespondencyjna miłość Fawsona.

– O który list pani chodzi?

– A były jakieś inne? Ten, który doręczono mi tu, w bibliotece, cztery dni temu… Myślałam nawet… – urwała i spąsowiała.

Trzeba spadać – zdecydował dubler, i głośno rzekł:

– Niesamowite, już czternasta. Okropnie dziś jestem spóźniony… Ale może moglibyśmy zobaczyć się później… Albo jutro. (Cholera, po co ja się w to ładuję?) Ma pani telefon?

Pytanie byłoby głupie, jeśli Fawson miał zanotowany numer dziewczyny. Ale widać nie miał. Dziewczyna sięgnęła po fiszkę.

– Proszę wpisać z imieniem, żeby mi się nie zgubiło – rzekł sprytnie. Dzięki temu poznał numer i personalia Anity Havrankovej. Kiedy już znikła za drzwiami, odetchnął.

– Mogło być gorzej.

A potem westchnął, bo przypomniała mu się Christine. Atoli, jak każdy musiał to kiedyś stwierdzić, nieszczęścia lubią chodzić parami. Ledwo Andre znalazł się na progu hotelu “Paradise", wybiegła mu naprzeciw gospodyni w towarzystwie Kolego.

– Ma pan gościa. Zesztywniał.

– Kto to jest?

– Jakaś kobieta – powiedziała właścicielka pensjonatu.

– Masz ci los – jęknął aktor.

– Zlikwidować? – rezolutnie zapytał Kali.

– Nie, nie nie! – Lesort przestraszył się i podążył do pokoju. Oczekującą okazała się dziewczyna z gatunku przeciętnych. Ani brzydkich, ani ładnych. Szatynka. Ubrana z amerykańska, w dużych rogowych okularach. Mogła być równie dobrze przedszkolanką (gdyby Fawson miał dzieci), sekretarką lub koleżanką z wojska. Moment niepewności, jak się zachować, rozwiała sama przybyła.

– Ty łobuzie! – zawołała podbiegając i wtulając się z ogromną energią w aktora – od tygodnia nie dajesz znaku życia. Zaczęłam się już denerwować.

Sobowtór, który pobieżnie zapoznał się z życiorysem swego pierwowzoru, wiedział, że Meff jest kawalerem, mieszka sam, ma parę kochanek i stałą flamę w biurze (nazwisko i imię uleciało mu jednak z pamięci). Najwyraźniej była to właśnie ta panienka. A jeśli nie ona?

– Jak mnie znalazłaś? – powiedział, żeby coś powiedzieć.

– Mówiłeś, że zatrzymasz się w Paryżu. Trzeba było tylko zadzwonić na tutejszą policję… Ale musiałam się z tobą zobaczyć.

– To bardzo miłe…

– Ciekawa byłam, czy ci się udało z tym czekiem. Zdobyłeś upragnioną fortunę?

– W zasadzie…

– To cudownie! Jak wiesz, byłam przeciwna twojej eskapadzie, ale widać miałeś rację. Będziemy potrzebowali sporo pieniędzy. Oczywiście, mogłam powiedzieć ci o tym przez telefon. Wolałam jednak osobiście. Będziemy mieli dzidziusia. Cieszysz się, prawda?

Nikt, kto nie zapadł się pod ziemię, nie jest w stanie wyobrazić sobie tego uczucia. Oto przyczyna, dla której autor rezygnuje ze szczegółowego opisu doznań Meffa, a przechodzi od razu do faktów.

Fawson zatrzymał się dziesięć metrów poniżej poziomu terenu, w tunelu dawno, nieczynnej, a może nigdy nie uruchomionej kolejki podziemnej. Nie miał latarki, ale jego znakomity zegarek fosforyzował wystarczająco intensywnie, aby umożliwić ostrożne posuwanie się naprzód. Tunel biegł prosto jak strzelił, gdzieniegdzie tylko przegradzały go niewielkie na szczęście obwały. Meff liczył kroki i kiedy przeszedł około pół kilometra, postanowił wyjrzeć na powierzchnię. Studzienka wentylacyjna była zasypana, szczęśliwie, naturalnym gruzem. Wydostał się więc z drobnymi zaledwie zadrapaniami, choć kosztowało to sporo energii; przenikanie pionowo do góry wymaga nawet od diabła pewnych uzdolnień akrobatycznych. Zasypany wytknął na zewnątrz głowę i natychmiast musiał ją cofnąć, wyjrzał bowiem pośrodku torowiska, którym akurat przejeżdżał rozklekotany tramwaj. Pojazd pojechał i Meff mógł ponownie wy: sunąć głowę.

Po obu stronach wąskiej, brukowanej kostką ulicy ciągnęło się gęsto zabudowane miasto. Ongiś była to zapewne dzielnica warstw średnich. Obecnie do secesyjnych kamienic dobudowano dziesiątki przybudówek i nadbudówek z drewna, odpadów, beczek i blachy, tak że trudno było zorientować się, co jest mieszkaniem, a co gołębnikiem. Ulica pulsowała tłumem składającym się. z ludzi ubranych w szare bawełniane tuniki, z mnóstwem kolorowych guzików, które stanowiły

jedyny element ekstrawagancji stroju. Płeć dawało się rozróżniać z niejakim trudem. Rzadko bowiem która elegantka pozwalała sobie na luksus dłuższych włosów lub kolorowych chusteczek. Obok tramwajów w ruchu dominowały rowery, rikszo – taczki i inne płody rodzimej wytwórczości. Jakaś staruszka przechodząca przez ulicę omal nie wpadła na głowę Fawsona wystającą z ziemi. Pisnęła cicho i prze – kuśtykała na drugą stronę. Nikt na to nie zareagował. Lada chwila mógł nadjechać kolejny tramwaj, Fawson nie zamierzał prowokować losu. Natężył się i wykiełkował ostatecznie.

Wyglądał opłakanie. Jego wykwintny garnitur był w strzępach, a twarz poplamiona błotem mogłaby przerazić nawet kominiarza. Zszedł na chodnik – teraz został zauważony. Ludzie rozsuwali się i omijali go szerokim łukiem. Mało, że cudzoziemiec, to jeszcze taki zapackany! 2 oddali ozwało się wycie wozów żandarmerii. Rozejrzał się niespokojnie. Nieoczekiwanie otworzyły się drzwi tuż za nim i jakiś tęgawy Murzyn wciągnął go do środka. Ze słów wymawianych w okropnym dialekcie zrozumiałe były dwa: “przyjaciel" i “święta Żandarmeria".

Parter budynku musiał mieć ciekawą przeszłość. Przeznaczony na kawiarnię lub wytworny magazyn, obecnie, za pomocą przegródek z dykty i dodatkowych podłóg, obrócony został na kilkanaście mieszkań. Klitkę, w której się znalazł Fawson, zamieszkiwał czarnoskóry grubas z żoną, która prawie natychmiast gdzieś wybiegła. Gospodarz udostępnił mu kubeł z wodą, miskę i jakiś stary miejscowy kombinezon. Gestami dawał do zrozumienia, że znajdzie się też coś do zjedzenia. Meff podziękował pantomimicznie, usiłując przekonać tubylca, że lepiej będzie, jeśli się pożegnają. Murzyn tą samą metodą odpowiadał, byłby to dla niego dyshonor. Zaczął też, wykonując opływowe ruchy w powietrzu, informować o bardzo interesującej córce, która powinna zaraz nadejść.

– Alejo, Alejo! – zabrzmiał naraz kobiecy głos z zewnątrz. Gospodarz momentalnie padł plackiem na ziemię. W sekundę później ze wszystkich stron zagrały serie z automatów. Kule pruły powietrze, rzecz jasna nie szkodząc piekielnemu charge d'affaires. Leżący na płask Alejo myślał tylko o jednym, czy ekwiwalent, który otrzyma za spełnienie obywatelskiego obowiązku wystarczy, po wyrównaniu szkód w mieszkaniu, na zakup budzika, obiecanego żonie na Dzień Kobiet?

Strzały umilkły. Przez drzwi z trzech stron wpadło kilku żandarmów w sutannomundurach i widząc Meffa całym i zdrowym, otwarło usta z podziwu. Fawson zadziwił ich jeszcze bardziej, kiedy wydobył swój spray i nacisnął tulejkę. Tym razem nie rozszedł się wonny zapach fiołków. Bluznęło ogniem. Nieludzkie wycie wydarło się z gardeł funkcjonariuszy. Płomienie objęły równocześnie całe ich

ciała, mundury i trzewia, nie tykając jednak ani koślawych mebli, ani ścian, ani nawet jakiegoś zaciekawionego dzieciaka, który wepchnął się za interwentami. Meff bezzwłocznie zanurkował w sklejkę, roztrącił dwóch czających się za ścianą żandarmów, jeszcze raz psiknął ogniem i wpadł w labirynt podwórek. Pogoń rychło została z tyłu. Jeszcze dwa zaułki, uliczka i poczuł się bezpiecznie. W miejscowym kostiumie, z nienachalną urodą południowca nie różnił się specjalnie od tubylców.

Szedł przez miasto, trochę spłoszone, trochę zalęknione. Ulicami przelatywały lotne patrole. Ludzie odwracali głowy i milczeli. Może zresztą nie mieli nic do powiedzenia. Wszędzie wisiały plakaty z Bandollerem na tle Pierzastego Węża ze świętym Krzysztofem na ręku oraz inne, całkowicie niezrozumiałe. Szczególnie często spotykało się afisze pełne kwiatów i palemek, na których widać było dziesiątki tubylczych twarzy. Może byli to przodownicy pracy, może jacyś przedstawiciele lokalnych władz?

Trzeba przyznać, że Meff nabrał pewności siebie. Coraz bardziej zżywał się z diabelskim emploi, które jakoś przestało budzić w nim niedowierzanie i grozę. Świadomość, że on, do niedawna szary zjadacz pszennego pieczywa, jest sprawniejszy niż uzbrojeni po zęby żandarmi, silniejszy niż lokalni despoci, nie mówiąc o absolutnej przepaści dzielącej go od zwykłych ludzi, napawała go iście szatańską pychą. Cóż za cudowne uczucie, nie odczuwać strachu! Chociaż… – jeśli ci durnie połapią się, z kim mają do czynienia, jeśli znajdą egzorcystę lub księdza patriotę? Przyspieszył kroku, i naraz znalazł się na zaskakująco obszernym placu, który szczelnie wypełniała długa skręcona kolejka. Obywatele w odświętnych strojach z beżowej bawełny, nierzadko upranych, stali cierpliwie, przesuwając się wolno jak paciorki różańca. Koniec ogonka ginął gdzieś w pajęczynie uliczek, a początek w wąskiej, nisko sklepionej bramie. Jakiż atrakcyjny towar mógł zgromadzić tyle narodu?

Spróbował podejść.

– Talon ma? – warknął jeden z żylastych strażników, który z automatem utrzymywał ład przy dziwacznym ogonku.

Meff cofnął się i zamierzał odejść, kiedy oczy jego przykuł plakat rozwieszony obok wejścia. A niech to! Z malunku wyzierało wykrzywione wściekłością lico potwora. Niesamowite! Monstrualna kolejka wiodła do Wilkołaka!!!

Poszukał wzrokiem końca szeregu. Stanie w trybie zwykłym zapowiadało się na parę tygodni. Większość kolej – kowiczów była zresztą wyposażona w krzesełka, śpiwory, małe namioty. Wielu grało w karty, ktoś rzeźbił w glinie, na niektórych odcinkach odbywały się bankiety przed – i za – stojących. Jeszcze dalej ksiądz kolejkowicz dawał ślub dwojgu młodym. Sto metrów w tyle kwilił świeżo

urodzony osesek, co pewien czas nadjeżdżał karawan, a znacznie częściej wóz asenizacyjny. Jak się później udało Fawsonowi dowiedzieć, wyróżniającym się obywatelom udzielono bezpłatnych “urlopów kolejkowych" w wymiarze od trzech tygodni. Przeważnie wystarczało.

Jak jednak miał dostać się do pawilonu? Nawet ignorując strażników. Całość vivarium obita była aluminiowymi blachami, a neoszatan miał spore wątpliwości, czy na pewno potrafi przenikać przez aluminium. Z kolei wdarcie się przemocą mogło doprowadzić do dobrowolnego wpadnięcia w zasadzkę. Nie, nie. Trzeba poszukać innej metody!

Dziesiąte miejsce w kolejce zajmowała zażywna jejmość z pieskiem (ludzie skazani na wielodniowe wystawanie zabierali ze sobą inwentarz żywy, co, choć nie zalecane, nie było też zabronione). Foksterier warczał i rwał się w stronę skwerku z trawką, ale jejmość nie opuszczała swej pozycji, widać nie dowierzała sąsiadom. Puściła natomiast smycz. Piesek wpadł między rachityczne krzewy, a już po chwili, zwabiony przez Fawsona, zniknął za załomem muru. Meff uwiązał zwierzątko do betonowego pachołka, a sam, wpatrzony w pierwowzór, począł się koncentrować, przypominając sobie kabalistyczne zaklęcia, które ktoś w charakterze notatek wypisywał na marginesach suplementu Who is who? Najpierw omyłkowo zmienił pieska w kamień i musiał odwoływać całą reakcję. Wreszcie przy kolejnej próbie poczuł, jak ciało don Diavola kurczy się, transformuje. W głowie mu huczało, rozlegała się symfonia dzwoneczków, a w mięśnie wbijało tysiące igieł. Potem ból ustąpił i Meff poczuł się dobrze, choć czworonożnie. Merdnął przyjaźnie do przywiązanego foksterierka i pobiegł na plac.

– Gdzie byłaś, Juanito! – krzyknęła pani, a widząc brak obróżki i smyczy wymierzyła mocnego klapsa. – Wszystko gubisz, łachudro, a byłaś kiedyś taką porządną suczką.

Fawson miał ochotę zawarczeć i wbić zęby w tłustą łydkę, ale dla dobra sprawy pohamował gniew. Od wejścia dzieliły ich tylko trzy osoby. Tymczasem pojawiła się nowa komplikacja. Meff, zaaferowny swoją odmianą, nie spostrzegł, jak skądś wyłonił się nagle łaciaty kundel, dopadł go od tyłu i natychmiast wspiął się na jego grzbiet!

Pedał! – chciał krzyknąć oburzony Agent, ale wyszło mu tylko kokieteryjne warczenie. Na szczęście właścicielka, która nie chciała mieć nierodowodowych szczeniaków, nie żałowała parasolki. Tymczasem znaleźli się na progu. Jeden z czterech milczących cerberów przedarł talon i wchłonęło ich chłodne, słabo oświetlone wnętrze.

Kolejka posuwała się z regularnością taśmy produkcyjnej. Trzy minuty, krok do przodu. Trzy minuty… Korytarz wił się jak grecki

ornament i dopiero po półgodzinie znaleźli się przed rozsuwanymi drzwiami, przypominającymi wejście do windy w przeciętnym hotelu. Meff Fawson, czy, jeśli kto woli, suczką Juanita, obserwował tłustą jejmość z rosnącym zdziwieniem. Ze starszą niewiastą zaczynało się dziać coś dziwnego. Drżała jak w febrze. Na jej czoło wystąpiły żyły, twarz pokraśniała… Nad niby – windą zapalił się napis: “Masz trzy minuty". Automatyczne drzwi wpuściły ich do środka.

Pomieszczenie miało wygląd przeciętnego zoologicznego vivarium. Kabina zwiedzających pogrążona była w ciemności, natomiast za pancerną szybą w jaskrawym świetle lamp kwarcowych znajdował się wybieg dla Wilkołaka. Zresztą nazwa “wybieg" brzmiała w tym wypadku jak przesadny komplement. Znajdowało się tam niewielkie klepisko z paroma bezlistnymi drzewkami i budą (właz był zagrodzony kratką). Na ziemi poniewierało się kilka mocno nieświeżych ochłapów. Sam Wilkołak siedział apatycznie w kącie i gapił się bez wyrazu w przestrzeń. Wyglądał biednie, właściwie nawet żałośnie, i co tu ukrywać – absolutnie bezbronnie.

Tymczasem w szykowną damę z pieskiem wstąpiła furia. Z elegancko umalowanych ust wyleciał stek najbardziej wulgarnych przekleństw, pięści zaczęły wygrażać zwierzęciu. Z tego, co wykrzykiwała, Meff zrozumiał, że przeklina kosmatego więźnia za wszystko. Za nieudane życie, za niedostatek, za ciężką pracę, za permanentny brak spokoju i pewności jutra, za męża, którego gdzieś kiedyś zabrano i dotąd nie dał znaku życia, za syna odbywającego służbę w klasztorze piechoty morskiej, za córkę, która zeszła na psy. “Ty wilkołaku parszywy, ty!" Za fałsz i za obłudę! Za beznadzieję! Za to, że Bóg zapomniał o Cortezji, za samego Corteza, za kłótliwą sąsiadkę, za dozorcę, który donosi, za szefa w pracy, za kolejki, za wrzód na dwunastnicy. “Ty przeklęty bandyto! Ty skurwysynu! Ty kapitalisto, ty!"… Aż wreszcie przekleństwa przeszły w jedno nieartykułowane rzężenie i stłumiony szloch.

Rozsunęły się drzwi z drugiej strony. Weszło trzech mężczyzn w kitlach. Dwóch ujęło pod ramiona wyczerpaną niewiastę, która nagle oklapła jak ciasto pod wpływem przeciągu, a trzeci podszedł do szyby i rutynowo przetarł ją szmatą. Teraz Meff, przezornie ukryty w kącie, zauważył ciągnącą się poniżej tafli rynienkę na plwocinę.

Wszedł następny facet. Rekordowy zbieracz bawełny. Przez chwilę milczał, po czym uniósł żylastą pięść, pogroził Wilkołakowi, rzucając jeden wszystko mówiący dźwięk: “Tyyy!…" i splunął dokładnie w środek szyby.

Przeszło jeszcze kilkunastu. Wszyscy ziali nienawiścią, wylewali gorzkie żale, złorzeczyli. Nasz spsiały bohater nie pojmował istoty rozgrywającej się ceremonii, było mu tylko z każdą minutą coraz smutniej.

Mniej więcej po półgodzinie rozległ się wysoki, świdrujący dźwięk.

– Koniec na dzisiaj! Koniec na dzisiaj! – zawarczały rozstawione wszędzie szczekaczki. Drzwi rozsunęły się i personel w kitlach z rzemiennymi pasami w dłoniach oczyścił z tłumu korytarze vivarium. Nie było protestów. Najwyżej westchnienia i jęki… Potem zapadła cisza. Drzwi zasunęły się ponownie. Tymczasem Wilkołak ożył, wstał, poprawił zmierzwione futro, wykonał kilka przysiadów i gwiżdżąc otworzył niewidoczną dotąd lodówkę. Uniosła się krata zasłaniająca wejście do budy.

– Dobranoc, stary! – rzucił ktoś z obsługi. Potem spoza ściany słychać było jeszcze ryglowanie potężnych zamków. Najprawdopodobniej zostali sami.

Niezrozumienie sytuacji Meff składał na karb swego spsienia i powstałej wskutek tego niskiej średnie! arytmetycznej inteligencji. Z pewnym wysiłkiem wrócił do pierwotnych kształtów. Do klatki można było dostać się przekraczając szybę, ale Fawson wolał przeniknąć przez marmurowy cokół i klepisko.

Znalazł się w środku, kiedy Kajtek, odwrócony tyłem, nalewał sobie kieliszek wódki “Kaktusówki". Potwór natychmiast wyczuł obcego. Zawarczał. Jego twarz zmieniła się w przerażającą maskę. Wargi obnażyły wielkie świńskie kły, a pałające oczy unieruchomiły wzrok Meffa jak imadło. Plenipotent z wrażenia zapomniał hasła.

– Pięć razy pięć… nie… siedem razy siedem…

Z kosmatych palców wyskoczyły pazurzyska jak noże. Stłumiony gardłowy pomruk począł wypełniać wybieg. Wilkołak przysiadł na tylnych kończynach… i skoczył, zanim Fawson zdążył zakryć twarz zbyt powolną dłonią!

Cmok, cmok!

Potwór ucałował go z dubeltówki

– Nareszcie! – sapnął, a widząc zdumienie Fawsona, zachichotał. – Sześćdziesiąt sześć! Myślałeś, że nie rozpoznam kolegi na węch?… Czułem, że prędzej czy później Dół przyśle kogoś, żeby mnie wydostać z tej dziury. Mnie wołają Kajtek, a ciebie?

– Meff! Znaczy Mefisto XIII.

– Pierwszorzędna rodzina. Arystokraci, psia kostka! Nie to co my, demoni z proletariatu.

– Czy nie sądzisz, że powinniśmy zwiewać? – przerwał klasowe wynurzenia Fawson.

– Mamy czas – odrzekł Wilkołak – a poza tym, to nie takie proste. Spójrz, kolego! – Rozgarnął pazurami sierść na brzuchu, ukazując bliznę. Pod skórą widać było wyraźnie zarys zaszytej kapsuły.

– Esperal – domyślił się Meff – jesteś na odwyku?

Kajtek pokręcił głową.

– Wszywka lojalności! Wystarczy, że spróbowałbym się stąd wydostać lub wydłubać którąś z kapsuł, jest ich pięć. Elektroniczny impuls biegnie natychmiast do Bandollera. Z kolei wystarczy sekunda, aby dyktator nacisnął przycisk nadajnika, z którym się nie rozstaje, a wszystkie pojemniki detonują, rozrywając mnie na drobne kawałki.

– Masz niski próg nieśmiertelności?

– Mam wysoki, ale kapsuły zostały wykonane z przetopionego relikwiarza św. Jakuba, sprowadzonego specjalnie z San Domingo.

Piekielny pełnomocnik zaklął, ale po chwili dorzucił:

– Musi znaleźć się jakieś wyjście!

– I jest. Wystarczy, że złożysz wizytę tyranowi i nakłonisz go możliwie skutecznie do zwrotu nadajnika. Plan w tej sprawie mam opracowany od lat. Tylko jedno – pysk potwora wykrzywił grymas nienawiści – przyrzeknij, że nie zabijesz go na miejscu…

– Jeśli uważasz…

Mamy drobne zadawnione porachunki…

– Domyślam się. Zamknął cię tutaj.

– Nie tylko to – stęknął Wilkołak – domyśl się najpierw, jaki frajer dopomógł Juanowi w opanowaniu tego kraju, kto podsunął mu pomysł z Cortezjanizmem?…

– Ty?

– I kto wreszcie, jak szczeniak, dał sobie wszczepić te idiotyczne ładunki, zamknąć w vivarium i służyć jako Społecznie Użyteczny Obiekt Nienawiści?

– Właśnie – wtrącił się Fawson – wytłumacz, co tu jest grane? Co oznacza ta kolejka dla wyróżnionych?…

– Bandollerowi nie sposób odmówić znawstwa ludzkiej psychiki. Tworząc idealny system, w którym wszystko jest dobre, mądre, szlachetne, święte, zadbał, by istniała swoista równowaga – by w jednym miejscu skupiło się całe zło, na które można zwalić wszystko to, co w praktyce nie zgadza się z teorią. Chodziło o punkt, gdzie przez trzy minuty, często raz w życiu, ludzie mogliby dać upust swoim namiętnościom. Mówić prawdę! i nie jest istotne, że obiekt nienawiści byłby obiektem zastępczym. Oczywiście, istnieje wróg numer jeden – Etania, jej prezydent, zwany Pierwszym Faryzeuszem, jej symbole przekręcone na opak, jej styl życia, nazywany tu wtórnym barbarzyństwem, ale co maleńka Cortezja może zrobić Etanii? Stroić grymasy, pokazywać język? Wymyślono więc wroga rodzimego – mnie! i tak za jednym zamachem Bandollero pozbył się. wspólnika i zyskał obiekt do neutralizowania nastrojów. Słowo honoru, odwalam tu dla niego lepszą robotę niż cała żandarmeria tego miasta.

Fawson milczał. Przychodziło mu do głowy, że człowiek w swych pomysłach dawno już prześcignął rodowitych szatanów, którzy w zestawieniu z niektórymi osobnikami ludzkiej rasy mogliby uchodzić

za dżentelmenów.

Narada Kierowniczej Dwunastki Wielkich Ordynariuszy, od dawna urzędującej w składzie pięcioosobowym (pozostali członkowie gremium wykruszyli się bowiem bądź znajdowali się w stanie lub miejscu uniemożliwiającym udział w obradach) – rozpoczęła się wkrótce po północy.

Taki był styl pracy Juana Bandollero, który miał naturę kota, węch psa, charakter lisa, wzrok węża i elastyczność ichneumona.

Wszelako dziś krążył po swoim długim gabinecie, przypominającym klasztorny refektarz, w sposób charakterystyczny dla lwa w klatce. Czterej pozostali hierarchowie milczeli. Długie życie i dożywotnie piastowanie zajmowanych stanowisk gwarantowała zasada: przeczekać wstępną furię, zgodzić się ze wszystkimi tezami prezydenta, uchwalić jednomyślnie, a następnie bawić się do upadłego w czasie obowiązkowej części artystycznej, na którą składało się palenie opium i figle ze studentkami nonkonformistkami, które w ten sposób mogły skrócić swe wyroki i uniknąć mało rozwijającego intelektualnie wyjazdu do kopalń srebra.

– Amigos – mówił Nowy Cortez swoim co nieco głuchym głosem – w naszym pięknym kraju znajduje się intruz, działający niewątpliwie z podpuszczenia zdradzieckiej Etanii. Co gorsza, agent ów, nie zawaham się powiedzieć, dywersant, dysponuje nowymi gatunkami broni, jak miotacz ogniowo – aerozolowy. Potrafi również przenikać niektóre rodzaje ścian i murów.

Szmer uczynił się na sali, a Arcykapłan, strojny w uniform – krzyżówkę rzymskiej togi i azteckiego płaszcza z piór – mówił dalej.

– Nie znamy zamiarów nieznanego nieprzyjaciela, a od paru godzin nie mamy świeżych meldunków o miejscu jego pobytu. Powiecie, co znaczy jeden człowiek przeciwko dobrze zorganizowanej maszynerii państwowej? Przyznam wam rację. Ale nawet tego jednego zuchwalca nie możemy zignorować. W prostym ludzie, mimo niewątpliwych postępów nauki i oświaty, ciągle utrzymują się bałamutne mity o Montezumie Trzecim, który pewnego dnia przybędzie zza Wielkiej Wody i obali Nowego Corteza. Dlatego niezwłocznie trzeba wroga odnaleźć i zniszczyć! – zakończył dramatycznym zawieszeniem głosu. – A co wy, bracia, o tym myślicie?

Przez chwilę nie zabierał głosu żaden z hierarchów. Wyrwać się za wcześnie, znaczyło wykazać się zbyt dużą inicjatywą, a kto ma dużo inicjatywy, łacno mógłby zostać podejrzany o zbyt duże ambicje…

– No! – przynaglił Bandollero. – A może to sprawka któregoś z was?

Języki rozwiązały się natychmiast. Przez parę minut członkowie

Rady przekrzykiwali się bezładnie, popierali tezy Arcykapłana, wyrażali swój niepokój i święte oburzenie. Nikt jednak nie proponował żadnego rozwiązania.

Wszedł jakiś oficer i wręczył na tacy kolejną porcję zeznań wyciśniętych z kapitana Gomeza i nieszczęsnego

Jimeneza – nie wnosiły one jednak nic nowego, poza może jednym stwierdzeniem starego naukowca, który niezwykłe umiejętności seńora Diavolo skłonny był przypisać siłom nieczystym.

– Oni zawsze tak mówią – powiedział ordynariusz imieniem Alvaro.

– Ale nie należy niczego lekceważyć – skontrował inny, noszący historyczne imię Rodrigo.

– Nie mamy krajowych ekspertów od metafizyki – powiedział Bandollero – wszyscy bez wyjątku okazali się niepodatni na reedukację. Chyba żeby… – Uczyniła się cisza. – Chyba żeby wezwać tu Wilkołaka!

Notable zaklaskali, tylko Rodrigo, choć w zasadzie popierał pomysł bossa, zapytał czujnie:

– Czy jest to aby rozwiązanie bezpieczne? Arcykapłan wyciągnął z fałdów kostiumu płaskie pudełeczko z kilkoma przyciskami, i uśmiechnął się. Uśmiech ten wyrażał jednoznacznie – mamy go w ręku.

– Jak go dostarczą?

– Helikopterem! Będzie tu za kwadrans. – Niedbałym gestem wskazał pancerne drzwi wychodzące na taras pałacu.

Pasjonująca kwestia, czy władcy przeczuwają zbliżanie się niebezpieczeństwa, pozostanie zapewne nie rozstrzygnięta. Jeśli nawet pamiętniki mówią o obaleniu tyranii – rzadko jest to zgodne z prawdą. Jeśli idzie o przywódcę Cortezji, jego zdenerwowanie wyczynami intruza podyktowane było nie tyle lękiem (ten został wyeliminowany przez skuteczne działanie rozmaitych służb), ile irytacją, że ktoś ośmiela się naruszać ustalony ład, porządek i spokój. Bardzo więc prędko przerwał jałowe bajdurzenia swoich współpracowników, nakłonił ich do przeniesienia się do sali bankietowo – kontemplacyjnej, sam zaś pogrążył się w milczeniu i czekał.

Przed nim na ścianie pulsowała wielka plastyczna mapa Ojczyzny. Paliły się kółeczka oznaczające ośrodki kultu, gorzały trójkąciki portów i stacji, iskrzyły romby kamieniołomów, kopalń i innych miejsc skutecznej reedukacji. Kochał ten kraj. Nieraz długo w noc, kiedy zmęczony wzrok nie rozróżniał już prośby o honorowe ojcostwo chrzestne od podania o ułaskawienie i ołowiane powieki spadały na oczy – Bandollero widział Cortezję oczyma duszy i często powtarzał, że Arcykapłan nie śpi, aby inni mogli spać spokojnie.

Za to go podziwiano. Kiedy podczas nabożeństwa w Dzień

Corteza mieszał się z kolorowym (starannie wyselekcjonowanym) tłumem w ogrodach pałacowych, kiedy korzystał z prawa pierwszej nocy wobec małżeństw, które poprosiły go na świadka, kiedy z trybuny Narodów Zjednoczonych grzmiał na wszystkich tych, którzy ideały cortezjanizmu znali Jedynie z krzywych zwierciadeł szmatławej prasy, czuł wokół siebie stale rosnącą otoczkę szacunku, podziwu, nawet u wrogów.

We własnym mniemaniu Bandollero uważał, że i sam Pan Bóg jest jego cichym zwolennikiem. Dyktator manifestacyjnie obnosił swą metafizyczną predestynację, w odróżnieniu od swych innych licznych kolegów despotów, którzy na pytanie o legalność swej władzy zwykli odpowiadać: – Nasza władza pochodzi od Boga, a Boga, jak wiadomo, nie ma.

Arcykapłan wiedział oczywiście, że nie jest nieśmiertelny. Od paru ładnych lat w Parku Narodowym budowano piramidę, dwa razy wyższą od piramidy Cheopsa (w stylu azteckim, ale ze zdobnictwem barokowym), która w przyszłości miała stanowić miejsce jego spoczynku i kultu."

Naraz po plecach otulonych mundurowym suknem przebiegł dreszcz. A jeśli ten Matteo Diarolo to jakiś najnowszy “szakal" wynajęty przez emigracyjnych knowaczy? Wprawdzie we wszystkich zagranicznych centralach opozycyjnych miał swych ludzi, poza tym przeważały tam organizacje brzydzące się indywidualnym terrorem, jednak pewne ryzyko istniało zawsze, zwłaszcza że żadna z potęg światowych nie popierała otwarcie szefa Cortezji. Od paru godzin podwojono straże wokół pałacu, postawiono w stan nadzwyczajnej gotowości fotokomórki i laserowe czujniki. Inna sprawa, że nadal nie napływały nowe komunikaty o ściganym, żandarmi przysięgali, że go trafili. Niewykluczone więc, że cudzoziemiec leżał obecnie w jakimś zakamarku i dogorywał.

Rozległ się warkot i rozszumiały palmy w parku. Chwilę później z rękami skutymi na plecach kajdankami z poświęcanej stali wszedł do gabinetu Wilkołak. Bandollero dał znak strażnikom, aby pozostali na tarasie, i automatycznie zasunął pancerną szybę.

– Widzę, że mamy jakieś maleńkie kłopoty – zauważył Kajtek.

– Nie mam nigdy żadnych kłopotów – odpowiedział Arcykapłan – chciałem tylko z tobą porozmawiać. Nieźle się trzymasz.

– Ty również. Daj cygaro!

Bandollero dziabnął nożykiem koniuszek, przypalił i cisnął nikotynowy specjał bestii. Chwyciła w locie, zębami. Mimo skutych łap Wilkołaka Ekscelencja wolał mieć między nim a sobą dziesięć metrów chodnika i biurko, na którym demonstracyjnie ułożył pudełeczko radiodetonatora.

– Ho, ho, cygaro marki “Trapezja"… Nie zmieniliście nazwy? –

zarechotał potwór.

Dyktator westchnął.

– Ci idiotyczni konserwatywni kontrahenci chcą kupować towary wyłącznie pod starymi przedcortezjańskimi nazwami. Ale przejdźmy do rzeczy…

– Zgaduję, że zamierzasz zwrócić mi wolność, obdarować odszkodowaniem za straty moralne i zaofiarować stanowisko ambasadora przy ONZ – powiedział Wilkołak.

Bandollero nie dał się jednak sprowokować.

– O wynagrodzeniu pomówimy później – rzekł – chodzi mi o konsultację dotyczącą pewnych nadprzyrodzonych zdolności…

– A jeśli odmówię?

– Będziesz żałował!

– Przeniesiesz mnie może do publicznego więzienia? Albo na świeże powietrze do kamieniołomów? Bardzo proszę.

Przywódca nie miał ochoty na żarty.

– Nie przeciągaj struny, Kajtek! Wiesz doskonale, że kiedy stracę cierpliwość, zawsze mogę nacisnąć guziczek.

– Doprawdy? A gdzie on?

Dyktator rzucił okiem na blat biurka i stężał. Pudełeczka na nim nie było. Ściślej mówiąc, znajdowało się ono w ręce wystającej z boazerii. Ręka przypominała w tej pozycji końcówkę wytwornej spłuczki klozetowej, tyle że była żywa.

– Co to ma znaczyć?! – Don Juan ruszył w kierunku bezczelnej łapy, ale ta cisnęła pudełeczko ponad jego głową, a Wilkołak złapał je gładko w pysk.

Strażnicy, obserwujący całą żonglerkę z tarasu, skupili się przy pancernej szybie, a ich rozpłaszczone nosy przywodziły na myśl gromadę dzieciaków przy witrynie sklepu z zabawkami czy czeredę starszych panów w porno-kabarecie.

– Namyśl się dobrze, zanim uczynisz następny ruch, Juanie Bandollero – powiedział Wilkołak i jednym ruchem zerwał kajdanki, jakby były zrobione z papieru. – Nadeszła chwila…

Dyktator skoczył do biurka wyposażonego w zamontowane w blacie karabiny maszynowe, zdolne siec w trzy strony pokoju, ale Meff Fawson przeniknął do końca przez ścianę i ujął Bandollera za pierzasty kołnierz uniformu. Złocisty monokl wypadł z wszystkowidzącego oka i potoczył się po intarsjowanej posadzce. Arcykapłan oklapł jak schwytany w potrzask tapir, a kibicujący żandarmi zaczęli bić brawo.

– Nie wyjdziecie stąd żywi! – bełkotał tyran.

– Tak się tylko mówi – zgrzytnął zębami potwór zbliżając się do samowładcy.

– Czego chcecie? Władzy, pieniędzy? – zapiszczał

nadspodziewanie cienko Nowy Cortez.

– Chcemy jedynie opuścić bezpiecznie ten zakazany kraik – poinformował Meff – a pan będzie nam towarzyszył jako puklerz. Niech ta gromada łapiduchów opuści taras. Helikopter popilotuję sam…

– Ale jakie mam gwarancje?…

– Nie masz żadnych – twardo powiedział Kajtek – ale w przeciwnym wypadku umrzesz już teraz. Gdybyśmy byli idealistami, być może żądalibyśmy twej dymisji, uroczystego potępienia cortezjanizmu i zwolnienia niewolników… Ale nie jesteśmy. Zawodowo zajmujemy się złem. Choć w sposób może mniej odrażający niż ty…

– I pozwolilibyście mi wrócić?

– Wydaj polecenie!

Dyktator na ugiętych nogach podszedł do interkomu. Taras opustoszał. Chwilę potem otwarły się pancerne drzwi. W minutę później zaterkotał motor!

– Adios, Cortezja… Trapezja! – poprawił się Fawson.

Nikt nie przeszkadzał im w odlocie. W wyobraźni Meff widział już gorączkowe narady hierarchów, niespieszne, co godzina zmieniane komunikaty, rozprzężenie w garnizonach i wreszcie totalny zryw w całym kraju, któremu, choć był szatanem, życzył odrobiny wytchnienia.

Kiedy opuścili wody terytorialne, dokonał się los despoty. Zęby wilkołaka odnalazły jego tętnicę szyjną, rozgryzły ją powoli, nie naruszając krtani, tak że okrzyki ginącego dyktatora długo jeszcze splatały się z warkotem silnika. W swoich ostatnich chwilach Bandollero najpierw wzywał Boga (nadaremnie), potem miotał przekleństwa, w końcu, osłabiony upływem krwi, począł mamrotać jakieś dziecinne wierszyki o Indianinie Montezumie i dzielnym wodzu Cortezie.

– Piję tę juchę z rozsądku – powiedział Wilkołak, a w jego głosie słychać było nie tajony wstręt.

Jeszcze trzy dni temu Fawson oszalałby z trwogi. Teraz myślał wyłącznie o silniku, sterze i wysokościometrach. Metaliczny chłód obejmował coraz głębiej jego zmysły. Wrażenie trudne do opisania. Coś jakby derma, skaj, cerata zastępowało z wolna tkanki, mięśnie, cały system nerwowy specjalisty od reklamy. A zapach krwi wypełniający kabinę wydawał się dziwnie słodki, upajający, smaczny.

Ciała Bandollera pozbyli się na pełnym morzu, Wilkołak wydrapał jeszcze na piersi trupa swój znak rodowy, aby, jak mówił, rekiny wiedziały, komu zawdzięczają ten prezent. Helikopter został porzucony w gaju palmowym na skraju jednej z malowniczych, niezwykle podobnych do siebie wysepek, w które obfituje Morze

Karaibskie. Pieszo dotarli do miasteczka, skąd koło południa rejsowy samolot uniósł Fawsona w stronę Miami. Wilkołak ulotnił się po drodze, kierując się do wyznaczonego zakątka świata, w którym mógł spokojnie oczekiwać dalszych poleceń.

Poranne gazety nie przyniosły żadnych rewelacyjnych wieści z Cortezji.

– Długo nie utrzymają tajemnicy – uśmiechał się Fawson.

Około południa, oglądając dziennik, przeżył szok. Za pomocą łącz satelitarnych nadawana była bezpośrednia transmisja z Punta Libertad. Składanie krwawych ofiar z okazji otwarcia nowego żłobka. Ceremonię zaszczycił swoją obecnością sam Arcykapłan.

To niemożliwe – pomyślał Meff – puszczają stary film! W tle jednak widniała ułożona z kwiatów dzisiejsza data, a w tłumie notabli pętał się chudy ambasador, który dopiero poprzedniego dnia powrócił do ojczyzny. Sekwencja trwała dość długo i Meff zdołał zauważyć pewną kanciastość w ruchach dyktatora. Jego strój też był nie najlepiej dopasowany.

– Sobowtór, po prostu sobowtór!

Najwyraźniej cortezjanizm miał przeżyć swego twórcę, by panować długo i nieszczęśliwie. Bywa.

X.

Wiadomość o rychłym ojcostwie podziałała niczym cios w splot słoneczny na i tak zestresowanego Lesorta. Przysiadł na kanapce i przez moment niezdolny był nawet do głębszego oddechu, a co dopiero mówienia. Tymczasem Marion czuła się jak u siebie w domu. Otwartą walizkę cisnęła na kanapę, płaszcz na fotel, potem zniknęła w łazience – "żeby się nieco odświeżyć". Przez otwarte drzwi dolatywały zdania wypowiadane slangiem projektantów opakowań, krótkie, treściwe i zmierzające w jednym konkretnym, bardzo dla Andre nieinteresującym kierunku.

– A ty nie przyjdziesz się chlapnąć? – dobiegło naraz pytanie.

Andre instynktownie wykonał krok do tyłu…

– Aha, chciałam cię zapytać, co to za negatywy szwendają się dookoła ciebie?

– Stypendyści z Mauretanii – wybełkotał pierwszą lepszą odpowiedź. Wycofał się już prawie na korytarz.

– Dokąd i – drogę zagrodziła mu wiedźmowata właścicielka, która niespodziewanie wychynęła z mroku. – Ma pan chyba jakieś obowiązki.

Zaczerwienił się jak uczniak.

– Ale ja nie mogę… widzi pani…

Pokiwała głową, jakby doskonale znała jego defekt. – Wiem, że nie możesz, ale od czego jesteś aktorem. Graj! Lesort nabrał haust powietrza, jak aktor odtwarzający Hamleta przed kolejnym monologiem, i sprężystym krokiem duńskiego królewicza wkroczył do łazienki.

Premiera była niestety nieudana. Klapa artysty już w pierwszym akcie była tak dotkliwa, że autor zmuszony jest do litościwego spuszczenia kurtyny. Ani chuda suflerka spoza drzwi, ani życzliwość artystycznego tworzywa, tj. Marion, która po kilkunastu minutach żałosnej improwizacji zaproponowała przejście z łóżka na biurko ("Tam się poczujesz lepiej, Gapciu!"), nie pozwoliły wspiąć się kunsztowi aktorskiemu na stosowne wyżyny, ba, choćby pagórki. Całował Marion, a widział Christine. Sacre Dieu! Tylko w kawałach aktorzy impotenci zdolni są odgrywać role perfekcyjnych kochanków. Po godzinie usiłowań Lesort poddał się mówiąc eufemistycznie – "odwołał przedstawienie", tłumacząc fakt "niedyspozycją głównego wykonawcy".

Marion nie zrobiła mu specjalnej sceny. Powiedziała tylko:

– I po co tak się zapracowujesz, diabełku. No nic, już ja o ciebie zadbam…

– Nie wracasz do Ameryki? – zaniepokoił się aktor, którego

przecież zaangażowano na dublera, nie kaskadera.

– Wzięłam dwa tygodnie urlopu. Zobaczysz, będzie w dechę!

17 lutego – motorowy jacht "Gazella" z międzynarodowym, elitarnym towarzystwem na pokładzie opuścił Nassau, kierując się w stronę Jamajki. Pogoda była znakomita, chociaż meteorologowie przepowiadali burze magnetyczne. Trzy dni potem dwóch czarnoskórych funkcjonariuszy, patrolujących wybrzeże Kuby, napotkało dryfującą "Catellę". Nie mogąc w żaden sposób skontaktować się z załogą, weszli na pokład, aby stwierdzić, że luksusowy jacht jest pusty. Kompletnie pusty. Próżno szukano śladów walki czy ewakuacyjnej paniki. Do opuszczenia pokładu (sprzęt ratunkowy nie został jednak naruszony) musiało dojść wieczorem. Nie zdążono zgasić telewizora. W barze pozostały nie dopite drinki. Karty odłożono w czasie gry, a sądząc z układu, musiano licytować co najmniej szlemika w piki. Radiostacja zachowała się nie uszkodzona, a w pożywieniu nie stwierdzono niczego trującego. Tylko załoga zniknęła, załoga i jedenastu pasażerów, w tym hollywoodzka gwiazdka, świetnie zapowiadający się scenarzysta, zachodnioniemiecki przemysłowiec, angielski arystokrata… Nietknięta pozostała również zawartość sejfów i podręcznych bagaży. Ba, w marynarce wiszącej za brydżystą znajdowało się kilkaset funtów. Na pokładzie jachtu dryfującego po idyllicznych, ciepłych wodach ocalała tylko jedna istota – stara papuga, która co chwila powtarzała gardłowo:

– To strrraszne! To strrraszne! Boooże!

24 lutego – inżynier Hobbeson z Bostonu, przebywający wraz z rodziną na malowniczej Dominice, wynajął samochód i udał się na przedwieczorny spacer. Jadąc skrajem opustoszałej plaży, natknął się nieoczekiwanie na gęsty kłąb mgły. Włączył długie światła… Pamięć odzyskał dokładnie w dwadzieścia cztery godziny później, w tymże samochodzie, dygocząc z zimna, przy własnym domu, na jednym z odleglejszych przedmieść Bostonu. Z licznika wynikało, że przejechał zaledwie kilkaset metrów. Żadna z badających sprawę komisji nie umiała wytłumaczyć, w jaki sposób Hobbeson pokonał parę tysięcy kilometrów, w tym część po wodzie? Nikt też nie potrafił dociec, co się stało z jego żoną i dwójką dzieci, które w trakcie spaceru na Dominice drzemały na tylnym siedzeniu wozu.

3 marca – w pobliżu Hamilton (Bermudy) wyłoniła się nieoczekiwanie amerykańska bojowa łódź podwodna, od dwóch miesięcy uważana za zaginioną. Jej rakiety z głowicami atomowymi znajdowały się na swoich miejscach, aparatura działała normalnie. Tylko załoga wyparowała. Pozostał jedynie zamknięty w toalecie w stanie krańcowego wyczerpania 23 – letni Bob Henderson. Siwy jak kot angorski, stracił pamięć, a jego umysł zredukował się do poziomu rocznego dziecka. Nieodwracalnie. Lekarzom udało się stwierdzić jedynie paniczny lęk przed jaskrawym światłem i wysokimi tonami z generatora. Staranna lustracja okrętu

wykazała wszędzie wzorowy porządek. Nie brakowało ani jednego skafandra umożliwiającego podmorskie spacery. Komisja zadowoliła się konstatacją, że z bliżej nie znanego powodu załoga dokonała wynurzenia, opuściła jednostkę, którą następnie Henderson zamknął od wewnątrz i ponownie zanurzył. Dlaczego jednak to uczynił, co spowodowało jego głęboki szok i czym żywił się zamknięty w toalecie marynarz, nie wyjaśniono. Nie ustalono również, kto, bo przecież nie zidiociały Bob, wyprowadził okręt ponownie na powierzchnię. W prasie popołudniowej pojawiły się nawet opowiastki o człowieku – upiorze, mordującym załogę i żywiącym się dwa miesiące mięsem swoich towarzyszy…

Fawson zamknął ilustrowany tygodnik. Przez okno wlewał się żar tropikalnego popołudnia. Meff odpoczywał, dopiero wieczorem zamierzał wybrać się na spotkanie z jedną z ostatnich topielic, której namiary podsunęło mu diabelskie Who is who?

W dawnych spokojnych czasach zagadką diabelskiego trójkąta interesował się umiarkowanie, choć nie można powiedzieć, że zdecydowanie odrzucał wiarę w latające talerze i inne dziwy. Miał na ich temat osobistą teorię. Uważał, że są to po prostu odwiedziny naszych pra – prawnuków, zwiedzających za pomocą swojego “Cooka" czy “Orbisu" zamierzchłe czasy swoich przodków. Hipotezę tę popierałaby częstotliwość spotkań, a zarazem ich znikome kontaktowanie. Czasopodróżnicy (pod tym względem autorzy SF są zgodni) bezwzględnie muszą przestrzegać zasady nieingerencji w przeszłość, bo mogłoby to mieć przerażające następstwa na przyszłość. Dziś jednak umysł Meffa rozświetlił inny pomysł. Prostsze tłumaczenie. A jeśli sprawcą tych wszystkich nie wyjaśnionych zjawisk był jakiś nie zarejestrowany przez Who;s who? kolega? Jeśli w Trójkącie Bermudzkim po prostu działał szatan?!

Lepki zmierzch zapadł nad atramentowymi wodami Morza Karaibskiego. Mimo pędu powietrza na pokładzie awionetki, przystosowanej również do lądowania na wodzie, było duszno i parno. Pilot, smagły facecik, należał do ludzi przeliczających wszystko na odpowiednią porcję prawnych środków płatniczych. Gotów był polecieć i do piekła, byle wynajmujący zapłacił kurs powrotny i nie zadawał żadnych głupich pytań.

Dość szybko rozszyfrował zainteresowania Meffa, który cierpliwie studiował mapę z naniesionymi najświeższymi doniesieniami o zjawiskach dziwnych i niewytłumaczonych.

– Oni są złośliwi – odezwał się pilot mniej więcej po półgodzinie lotu.

– Kto? Wzruszenie ramionami.

– Oni. Kiedy chcesz ich spotkać, możesz krążyć i dziesięć lat w powietrzu. A, bywało, jednego dnia…

– Skąd pan wie, czego szukam? – zdziwił się neo-szatan.

– Proszę pana – w głosie aeronauty zabrzmiała cwaniacka pewność siebie – jesteśmy przyzwyczajeni do takich łowców przygód jak pan. Jeśli ktoś wynajmuje aeroplan i nocą, z mapą, każe krążyć po tych okolicach, to musi być albo przemytnikiem, albo poszukiwaczem historii niesamowitych. Na pana miejscu próbowałbym bardziej na północ.

– Wspomniał pan, że i panu przydarzyło się coś niezwykłego? Proszę mi opowiedzieć.

Pilot przejściowo stracił ochotę do wynurzeń, ale parę szeleszczących papierów, dowodzących, że pasażer jest dzianym frajerem, przywróciło mu zdolność mowy.

– Cztery lata temu – powiedział półgłosem – uczestniczyliśmy w akcji ratunkowej na skraju Morza Sargassowego. Jacht z uszkodzonym silnikiem utknął w wyjątkowo gęstej zupie z wodorostów. Leciałem wtedy z Teddym, on był szefem. Mieliśmy tylko zrzucić trochę sprzętu. Był wieczór podobny do dzisiejszego. Wylecieliśmy z Ford Lauderdale normalnie, minęliśmy Bahama i naraz, dokładnie o trzeciej w nocy, Ted powiedział: “Zapnij się mocno, Bili".

Wydawało mi się, że znam Teddy'ego jak ten silnik, ale wówczas nie poznawałem go. Był bardzo podniecony. Wstał z tego miejsca i niezależnie od pasów zaczął mnie jeszcze przywiązywać do fotela mocną liną. Zdjął mi przy tym słuchawki i wetknął w uszy dwie kulki z jakiegoś świństwa. Jego dziwnie pobladłą twarz pokrywał pot. A było chłodniej niż dzisiaj. Ciekawe, że nie zdobyłem się na protest. Zupełnie bez przyczyny ogarnął mnie strach. Aha, nie mieliśmy już wtedy kontaktu radiowego z bazą. Ze słuchawek zaczął się wydobywać dziwny wysoki brzęk. Co wydarzyło się potem, nie bardzo potrafię opowiedzieć. Nie słyszałem nic. Samolot wpadł w okropną wibrację – musiałem kurczowo, trzymać stery. Wysokościomierz nie działał. W pewnym momencie zorientowałem się, że zaledwie paręset metrów pode mną jest morze. Było gładkie, a jednak co kilkaset metrów strzelały z niego gejzery wysokie na kilkadziesiąt stóp. Ktoś mógłby pomyśleć – podmorski wulkan. Ale ja znam ten rejon. Tam jest potworna głębia. Patrzyłem jak urzeczony. Czułem, że od wody bije w naszą stronę jakaś ogromna siła przyciągająca, zmuszająca do poddania się. Puściłem stery. Teddy wetknął mi je ponownie. Wymachiwał rękami. A potem zarzucił mi na oczy ręcznik. Leciałem odcięty od świata, czując tylko wibracje na drążku sterów i nagle coś rzuciło samolotem, a mnie uderzył w twarz pęd powietrza. Spadł ręcznik. Kabina była otwarta i pusta. Spojrzałem w morze. Zza chmury wyszedł księżyc i cała bezkresna połać lśniła w blasku cicha i nieruchoma. Wydłubałem kulki z uszu – nic prócz warkotu silnika. Prawie natychmiast włączyło się radio… Proszę pana. ile ja miałem

potem kłopotów. Oskarżono mnie o zabójstwo wspólnika. Na szczęście wyszło na jaw, że od czasu gdy porzuciła go żona, był trochę niezrównoważony, wspominał o samobójstwie. Poza pracą pasjonował się różdżkarstwem, okultyzmem. Może takiego właśnie potrzebowali i dlatego zadowolili się tylko jedną ofiarą…

Pilot umilkł. Meff wpatrywał się w odległą taflę wód.

– Może pan włączyć nadajnik!

– Proszę bardzo. Na jakiej częstotliwości mamy nadawać?

– Niech pan nadaje na wszystkich. 6X6! 6X6! Bili spojrzał na Meffa spode łba.

– A więc pomyliłem się. Nie przygoda. Jednak robi interesy.

Diabelskie hasło puszczali dłuższy czas. Bez rezultatu. Odezwał się tylko młody radioamator z Tampy pytając, kto o tej dziwnej porze uczy się tabliczki mnożenia, i jakaś radiostacja w Managui, która zaprotestowała przeciwko cynicznemu zakłócaniu ciszy nocnej obywatelom Ameryki Łacińskiej. Nie odezwał się żaden wąż morski, latający Holender ani okręt widmo. Wskaźnik zużycia paliwa skłonił ich w końcu do powrotu.

Lecieli w milczeniu. Meff był wściekły – zawierzył intuicji, której najwyraźniej nie posiadał zbyt wiele. Mniej więcej po godzinie znaleźli się nad stałym lądem. A właściwie dziwnym florydzkim połączeniem wody i ziemi, krainą bagnisk, nieużytków i aligatorów. Pilot zamierzał skręcić w kierunku Fortu Lauderdale, ale coś nakazało powiedzieć Fawsonowi:

– Chwileczkę. Lećmy jeszcze przez moment na północ.

Odezwał się zapewne niedoceniany siódmy zmysł. Minął bowiem zaledwie kwadrans, kiedy pilot wykrztusił: – Cholera!

Niezależnie od lśniącej nad bagniskami tarczy księżyca, dużo niżej od nich rozbłysł niewielki złotoseledynowy krążek. Przez chwilę wisiał nieruchomo nad moczarami, po czym znikł wśród drzew. Wylądował. A może się zanurzył?

Po chwili samolot znalazł się już w tym rejonie. Kępa zieleni, podświetlona seledynowym światłem, doskonale wyróżniała się wśród czarnej magmy bagnisk.

– Da pan radę wylądować? – spytał pasażer.

– Muszę – odpowiedział nie mniej podniecony pilot aeroplanu.

Okolica robiła wrażenie całkowicie odludnej. Kiedy zeszli niżej, poza kępą, – na której osiadł talerz, moczary spowijał mrok. Jak Bili znalazł większy płachetek wody, na którym zdołał wylądować, pozostanie na zawsze jego tajemnicą.

Fawson stanął na twardszym gruncie. W ręce miał latarkę, w kieszeni spray z ogniem nieczystym. Pilot nie palił się do opuszczenia kabiny i oświadczenie – pójdę sam – przyjął z wyraźną ulgą.

Tu, na ziemi, w mroku wszystko było większe, rozleglejsze, niż

mogło się.wydawać z góry. Fawson zużył około pół godziny, zanim dotarł w rejon lądowania tajemniczego obiektu latającego. Szczęściem teren był suchszy i obeszło się bez kąpieli.

Diabelski Wysłannik nie odczuwał strachu, co najwyżej podniecenie. Po wciągnięciu do operacyjnej grupy Drajculi, Frankensteina, Wilkołaka, po porwaniu Bandollera – nabrał sporej pewności siebie. Uwierzył w swoją szczęśliwą, choć ciemną gwiazdę. Mógł niepokoić się najwyżej, że talerz odleci przedwcześnie. Wreszcie znów dojrzał nieziemską poświatę. Podszedł bliżej, talerz, jak kapelusz lekko przekrzywiony na bakier, wisiał nad ziemią nie wydając najmniejszego dźwięku, otwarte wnętrze gorzało złociście, seledynowe światło wydobywało się natomiast wokół rąbka kosmicznej salaterki. Nie dostrzegł załogi, dopóki tuż obok niego nie zakołysały się krzaki. Było ich dwóch. Zieloni jak leśne jaszczurki, szczupli, o jednym pałającym oku, niczym u greckich cyklopów. Taszczyli ze sobą dwa nieduże aligatory… Czyżby posiłek?

– Sześć razy sześć – powiedział pewnie don Diavolo.

Niższy z Zielonych obrócił się leniwie.

– O co chodzi?

– Mam do was sprawę, z polecenia…

– Czego chcesz, człowieku? – drugi z ufoludków zapytał cicho, ale mało sympatycznie. – Widzisz, jesteśmy zajęci. Nie mieszamy się w twoje sprawy, ty nie mieszaj się w nasze.

Normalnie Meff był uprzejmym, łagodnym, łatwo dającym się zbić z pantałyku facetem. Obecnie poczucie władzy i pełnionej misji przygłuszyło w nim całą kindersztubę. Wyrwał pojemnik z piekielnym ogniem i widząc, że Zieloni uznają rozmowę za skończoną (jakąś smugą światła, być może fotonową windą, zaczęli wjeżdżać do talerza), wykrzyknął:

– Stać! W imieniu Belzebuba! Lucypera! i sześciu książąt ciemności.

Wyższy podróżnik Latającego Spodka nie zareagował, niższy, oddawszy mu małego krokodylka, zawrócił. Jego trójkątna twarz pozieleniała jeszcze bardziej.

Coś nie tak – pomyślał Fawson i przycisnął guzik.

Ale nim ogień piekielny opuścił pojemnik, z palców Zielonego wytrysnęła świetlista smuga, która wytrąciła spray z rąk neoszatana. Ufita zbliżył się do Meffa, popatrzył na niego wymownie, tak że słowa “Subordynacja, Piekło i Regulaminy" uwiązły Fawsonowi w krtani, i rzucił krótko, dosadnie, po ludzku:

– Spierdalaj, diabeł!

Bratanku – pisał nie bawiąc się w czułostki ani przesadne komplementy diabelski stryjaszek – nie rozumiem Twej opieszałości. Czytasz mój czwarty list z całodziennym opóźnieniem… Tak, jakby

wydawało Ci się, że wszystkiego możesz dokonać sam. Pomysł zaliczenia ufo do agentów Dołu mógł zrodzić się tylko w przeżartym dobrobytem umyśle specjalisty od kapitalistycznej reklamy…

Ale mi przygadał!

…zaś próba wsadzania do jednego worka wszystkich elementów nie mieszczących się w świecie racjonalnym przywodzi mi na pamięć zabiegi jednego z dziewiętnastowiecznych systematyków przyrodniczych, który nas, diabłów, nie certoląc się zbytnio, zaliczył do parzystokopytnych. Ufo mają z nami tyle wspólnego, co specjalista od wspomnień z przyszłości, Daniken, z generałem Denikinem, a producent spodni Wrangler z dowódcą Wranglem. Oto do czego doprowadza działanie na własną rękę i przesadna samodzielność, kiedy jest się jeszcze na stażu. Nie myśl, oczywiście, chłopcze, że ganię. Twoją aktywność, ale w obecnej misji bardziej trzeba nam pragmatycznych fachowców niż narwanych aktywistów. Dość jednak o tym. Żeby zaspokoić Twą ciekawość, wyjaśnię, iż tajemnica ufo jest jasna jak epicentrum termo – nuklearne. Zieloni są przybyszami z innego układu kosmicznego, przybywającymi do nas przez siódmy wymiar, w konkretnej i na swój sposób szlachetnej misji. Czując, a może mając niezbite dowody, że cywilizacja ziemska zbliża się ku końcowi, robią jej pośpieszną dokumentację. Zauważ, że pierwsze systematyczne wzmianki o nie zidentyfikowanych obiektach pojawiają się wkrótce po Hiroszimie. W tym samym czasie zaczął działać aktywnie ich prom transportowy w Trójkącie Bermudzkim, dzięki któremu setki, a nawet tysiące Ziemian znalazło bezpieczne schronienie w galaktycznym skansenie, a razem z nimi liczne nasze zabytki komunikacyjne, jak samoloty -, jachty itp. Możesz się również sam domyślić, dlaczego paru wybitnych ludzi zniknęło bez wieści i czemu sarkofagi geniuszów są zazwyczaj puste. Jak sądzisz, gdzie żyje po dziś dzień Szekspir i Leonardo, dlaczego porwano zwłoki Picassa, zamieniając je na truchło kogo innego, czyje palce mają swój udział w tzw. wniebowstąpieniu Romulusa. porwaniu Eliasza, wniebowzięciu Buddy, uniesieniu Mahometa. Co się tyczy nas, mamy z Zielonymi podpisany przed tysiącleciami pakt o nieagresji i nie mieszamy się sobie w wewnętrzne sprawy, nawet gdyby któraś ze stron miała ochotę. A zatem zapomnij czym prędzej o kłopotliwym incydencie. Czasu na zmontowanie grupy pozostało Ci niewiele. Do roboty! Twój ciągle bardzo wyrozumiały stryj".

– Do roboty, ale jakiej? – jęknął Meff. Był niewyspany, pokłuty przez moskity, ledwie przed godziną powrócił aeroplanem z bagnisk. – Co ja mam robić, stryju?

Na skrawku papieru, poniżej podpisu, zaczerniła się nagle linijka drżącego, starodawnie kaligrafowanego pisma: “Rób swoje"!

XI.

Ostatnia Topielica o prozaicznym nazwisku Susy Waters miała przebywać razem z grupą Ludzi – Ryb na jednej z opuszczonych farm przy drodze do Everglades. Meff otrzymał te informacje od starego portiera oceanarium w Miami, w którym Susy Waters pracowała przed dziesięciu laty, uczestnicząc w efektownych zabawach z delfinami, zanim porwał ją wartki jeszcze wówczas ruch neohippisowski, sięgający, jak mówili jego prorocy, do korzeni chrystianizmu, a po wyrwaniu go z korzeniami – jeszcze głębiej.

Sekta Ludzi – Ryb głosiła konieczność powrotu do oceanu. Rokrocznie grupy młodych ludzi gromadziły się w różnych ustronnych miejscach, oddając się medytacjom, odprawiając czarne nabożeństwa, wpadając w mistyczne transy, aby uzyskać w końcu nadludzką sprawność, umożliwiającą życie pod wodą. Jeden z wyznawców, którego zeznania przez krótki czas znajdowały się w Federalnym Biurze Śledczym, twierdził, że po uzyskaniu duchowej doskonałości, wzgardzeniu tym, co marne i doczesne – całość majątku bywała przeważnie zapisywana na rachunek Gminy, choć imiennie dysponowała nim Kapłanka – dochodziło wreszcie do dnia Wielkiego Chrztu. Cała Gmina ze śpiewem i tańcami udawała się na brzeg wody, najczęściej morza, i zbiorowo dawała nura.

Większość nurkowała dobrowolnie, ale niektórym trzeba było pomagać, a w stosunku do szczególnie opornych używać ciężarków przywiązanych do nóg. Świadków ceremonii nigdy nie było. Czasami tylko nieuczciwe morze wyrzucało parę wzdętych, trudnych do rozpoznania ciał na malownicze brzegi Florydy czy Zatoki Meksykańskiej. Rodziny, które wcześniej dostawały entuzjastyczne listy od członków Gminy, nie dowiadywały się, rzecz jasna, o przebiegu totalnego Chrztu. W tych ostatnich listach, które Susy czasami dyktowała swym współwyznawcom, że mowa była o dalekiej podróży, w czym łatwowierni Amerykanie nie dostrzegali niczego podejrzanego. Zresztą panna Waters nie zagrzewała długo miejsca. Zwykle jeszcze tego samego dnia zmieniała stan i nazwisko, by na nowo usidlać kandydatów chętnych do powrotu w głębiny praoceanu. Umiejętność hipnozy na odległość sprawiała, że proceder swój mogła uprawiać długo i szczęśliwie. Jej rozreklamowana dewiza: “Życie wyszło z morza, w morzu też znajdzie ocalenie", nie wzbudzała podejrzeń. A wspólne życie grupy młodych ludzi propagujących doskonalenie ciała i duszy było bez przeszkód akceptowane w demokratycznym społeczeństwie.

Rafą, na którą miała natrafić nasza rusałka, zresztą co mówię, rafą, rafką – okazał się Gene Hunter, młody reporter jednej z mniej

znanych gazet stanu Pensylwania.

Hunter był dziennikarzem sportowym, wyznania adwentystycznego, traktującym poważnie swoje obowiązki. Jednym z nich była opieka nad siostrą Raquel. Rodzice od pewnego czasu nie żyli.

Póki Raquel była dość mała, by słuchać ciotki i zwierzać się bratu ze swoich problemów, kłopotów miał niewiele. Później jednak, gdy redakcja zaczęła wysyłać Huntera na rozgrywki panamerykańskie, mistrzostwa świata i olimpiady, umieszczenie Raquel w elitarnym college'u wydawało się rozwiązaniem koniecznym i najprostszym. Gene nie zwracał uwagi, że poczynając od drugiego roku studiów, listy zamiast z miasta uniwersyteckiego przychodzą z kąpieliskowych regionów Kalifornii i że występuje w nich często motyw cieczy, ryb, znaku Wodnika itp. Zaniepokoił się dopiero, gdy przestały przychodzić w ogóle. W college'u poinformowano go, że panna Hunter nie pojawiła się od października, koleżanki nie miały żadnych wiadomości o jej miejscu pobytu, poza tym, że w poprzednim roku Raquel dużo czasu poświęcała treningom pływackim. Nieprzyjemne zaskoczenie stanowił fakt opróżnienia całego osobistego konta i zabrania podczas krótkiej wizyty w domu szkatułki z rodzinną biżuterią.

Ciotka, sklerotyczna i półsparaliżowana, zeznała jedynie, że Susan zjawiła się pewnego majowego popołudnia na parę godzin, pokręciła się po mieszkaniu, kazała pozdrowić Gene'a i znikła. Była wymizerowana, blada i sprawiała wrażenie półnieobecnej. Na pytania o postępy na uczelni odpowiedziała – "wszystko w porządku", a w toalecie wydrapała spinką do włosów znak ryby.

Była już oczywiście dziewczyną pełnoletnią i miała prawo robić co chce, ale gdy upłynęło jeszcze pół roku i nie nadszedł żaden znak życia, Hunter stracił cierpliwość. Odszukał listy siostry. Dwa ostatnie pochodziły z San Rafael, niewielkiej mieściny położonej nad zatoką na północ od San Francisco. W jednym znajdowało się nawet zdjęcie. Raquel w kombinezonie ze srebrzystej tkaniny przypominającej łuskę uśmiechała się na tle reklamy piwa. Za nią, mniej wyraźnie, widać było jakieś zabudowania. Następnego dnia brat przybył do "Frisco". Tydzień zmitrężył. zanim znalazł na obrzeżu San Rafael miejsce, w którym zrobiono zdjęcia. Tło przydrożnej reklamy stanowił stary zrujnowany pensjonat niedaleko od morza. Odrapana tablica mówiła, że obiekt jest na sprzedaż, ale facet ze stacji benzynowej twierdził, że choć oficjalnie nikt nie kwapi się z wynajęciem, co pewien czas koczowały tam grupy młodzieży, posthippisów, zwolenników wyzwolenia Indian, naturystów czy wegetarianów. Gene pokazał mu zdjęcie Raquel, W pierwszej chwili benzyniarz wydawał się poznawać dziewczynę, ale rychło stracił ochotę do rozmowy, zaczął zbywać dziennikarza monosylabami, tłumacząc się brakiem pamięci oraz

mnogością widywanych twarzy. Wyraźnie kłamał. Jeśli Raquel przebywała w tym opuszczonym domu dłuższy czas, musiał ją widywać. Gene włamał się do wewnątrz. Włamał – jest w tym wypadku pojęciem przesadnym, po prostu wszedł – nic nie było zamknięte. Najwyraźniej sezon minął, bo żaden nieproszony lokator nie gnieździł się w wielkim jednopiętrowym budynku, zapuszczonym i brudnym. Hunter znalazł niezliczone ślady bytności rozmaitych lokatorów, puszki po piwu?, coca – coli, pety od marihuany, fiolki po lekach, gazety. Wszystko jednak dość świeżej daty. W paru miejscach tego zrujnowanego domu Gene zauważył świeże tynki. Kto na miłość boską mógł zajmować się tynkowaniem cudzej rudery? Pod tynkiem nie znalazł nic ciekawego. To, co musiało być tam wcześniej namalowane, zostało zdrapane do surowej cegły. Tylko na strychu, na jednym z nie oświetlonych drewnianych bali, dostrzegł wydrapany gwoździem znak ryby.

Poza stacją benzynową pensjonat nie miał zbyt wielu sąsiadów. Zresztą wszyscy odznaczali się spartańską małomównością. Jedna staruszka po długotrwałych indagacjach przypomniała sobie o grupie młodych ludzi, którzy mieszkali w pensjonacie i uprawiali bezeceństwa. Jakie bezeceństwa, nie potrafiła skonkretyzować. Ale byli czyści, nie kradli, bardzo lubili biegać i kąpać się nago. Potem wyjechali. Pół roku temu wyjechali.

Hunter poszedł na plażę. Zwykłe dzikie wybrzeże, brudne i nie uczęszczane. Jakiś napis przestrzegał przed kąpielą. Zresztą i pora była nieprzyjemna, wietrzna. Pomocą stał się dla Gene'a kolega ze studiów, zatrudniony w dziale sensacyjnym jednego z tutejszych dzienników. Kiedy wspólnie sprawdzili, że ostatni sygnał od Raquel przypadł na koniec maja, Leo wyciągnął prywatną kartotekę zabójstw, porwań i wypadków.

– Ciekawa sprawa – mruczał – w drugiej połowie czerwca, właśnie w tym rejonie zatoki, wyłowiono zwłoki kilkunastu młodych nagich ludzi. Zaledwie czwórkę udało się zidentyfikować. Były to przeważnie dzieci z dobrych domów, które uciekły od rodziny i włóczyły się po kraju w poszukiwaniu przygód.

– A pozostali? – spytał Hunter.

– W tym kraju dziennie ginie bez wieści kilkanaście osób, zwłoki były w stanie daleko posuniętego rozkładu, nie udało się zidentyfikować żadnego z ciał.

Nazajutrz w archiwum policyjnym pokazano mu garść przedmiotów znalezionych przy topielcach. Złoty łańcuszek ze znakiem Wodnika. Obrączkę. Zegarek. Pierścionek… Ten pierścionek poznał natychmiast! Sam kupił go Raquel na szesnaste urodziny.

Leo uważał, że młodzieżowe towarzystwo po zażyciu narkotyków udało się na nocną kąpiel ze znanym rezultatem i nie był skłonny

doszukiwać się jakichś bardziej tajemniczych okoliczności. Tego dnia odnaleźli anonimowy grób Raquel, policja pokazała wstrząsającą fotografię ciała po dwutygodniowym przebywaniu w wodzie. Tylko piękne rude włosy pozostały te same…

Dopiero rok później, podczas turnieju tenisowego w San Antonio, dzięki przypadkowo przeczytanemu reportażowi o religijnych stowarzyszeniach stanu Texas, Hunter zetknął się z wiadomością o sekcie Ludzi – Ryb. Pytając o szczegóły w redakcji tygodnika, dowiedział się, że chodzi o bardzo miłą grupę młodzieży, doskonalącą się fizycznie i psychicznie poprzez stały kontakt z wodą.

– Znacznie to zdrowsze niż dawne hippizmy. Mają przemiłą kapłankę, pannę Craft. Podobno mistrzyni Luizjany w 1958 roku, w stylu dowolnym – informował go miejscowy kolega po fachu.

I wszystko byłoby w porządku, gdyby nie specyficzny sposób rysowania ryby na znaczku firmowym. Identyczny jak w łazience Raquel, taki sam jak w opustoszałym pensjonacie nad zatoką San Francisco.

W pobliżu miejscowości o bogobojnej nazwie Corpus Christi, niedaleko jednej z tysięcy lagun urozmaicających tę część wybrzeża Zatoki Meksykańskiej, znajduje się rozległa opuszczona farma, przypominająca telewizyjną Panderosę. Była pora przedwieczorna, kiedy młody człowiek w obszarpanych dżinsach wszedł na teren udekorowany kolorowymi lampionami. Towarzyszyły mu dwie dziewczyny strażniczki. Na tarasie, z głową zanurzoną w pełnej wody wanience, klęczała naga kobieta, z którą czas obszedł się niesłychanie łagodnie, pozostawiając jej ciało dwudziestolatki. Obok kilkudziesięciu młodych ludzi, schludnych, krótko ostrzyżonych i nagich, kołysało się rytmicznie. Z głośnika płynął dźwięk fal załamujących się na piasku i cichy szept ni to modlitwy, ni to bezmelodycznej pieśni o prażyciu w praoceanie, wodzie, nieskończoności, wodzie, o szczęściu, wodzie… Poza wartowniczkami uzbrojonymi w automaty nikt nie zwrócił na przybysza uwagi. Zanurzenie kapłanki trwało długo, może kwadrans, wreszcie uniosła twarz. W odróżnieniu od młodego ciała jej wieku można było się domyślać na podstawie nadnaturalnie białych, zwiotczałych policzków i zmarszczek wokół zielonych, na wpół gadzich oczu.

– Kim jesteś? – zapytała.

– Wędrowcem w poszukiwaniu sensu.

– Kto cię przysyła?

– Los, przekorny gracz naszymi ziemskimi kośćmi.

– Kochasz wodę?

– Woda jest początkiem i końcem.

– Widzę, że czytałeś moją książkę – zauważyła panna Craft.

– Mam ją przy sobie!

Wyznawcy budzili się. Trochę oszołomieni, trochę senni. Parami, poobejmowani czule, odchodzili w głąb budynku.

– Chcesz pić z mego źródła? – spytała Kapłanka.

– Pragnę zanurzyć się w twym źródle!

Spędzili ze sobą noc. Cenę nigdy nie spotkał równie wspaniałej kochanki. Była wyzwolonym żywiołem i ucieleśnionym szaleństwem. A przecież nawet w chwili opętańczego, podwójnego orgazmu nie stracił ani na moment świadomości, że panna Craft (czyli, jak wiemy – Susy Waters) jest odpowiedzialna za śmierć Raquel.

Pozostał na farmie. Dał się wciągnąć w rytm treningów, medytacji i zabaw. Życie przebiegało lekko, wydając się jednym wielkim festynem. Zdrowe, naturalne jedzenie – do inwentarza gminy należały dwie krowy i trzy kozy – proste rozrywki i poczucie beztroski wypełniały ciepłe, słoneczne diii. Gene poddał się temu ukołysaniu, nie stracił wprawdzie czujności, ale każdy dzień udowadniał, że jego obawy są bezpodstawne. Kapłanka, i owszem, wymagała posłuszeństwa, zakazywała pojedynczo opuszczać farmę, miała swoje straże i chyba swoich donosicieli, ale poza tym była tak sympatyczna, serdeczna… Omal jej nie polubił. Hunter również nie opuszczał farmy, miał jednak maleńką radiostację, którą porozumiewał się ze swym przyjacielem Frankiem, kolegą z działu sportów wodnych, zakwaterowanym w pobliżu. Radiostację tę Gene przechowywał poza domem, w wypróchniałym pniu, i zwykle wymykał się do niej po zmierzchu.

Początkowo trudno mu było traktować filozofię Ludzi – Ryb poważnie – sądził, że chodzi raczej o alegorię. Aliści w miarę trwania dziwacznego kursu Kapłanka stawała się coraz bardziej jednoznaczna.

– Poprzez oczyszczenie ciała dojdziemy do doskonałości – mówiła. – A doskonałość leży w odległości wyciągniętej ręki – i demonstrowała ją. Może były to triki, ale rzeczywiście potrafiła przebywać godzinę pod wodą (Hunter nie miał pojęcia, że trafił do Rusałki), lewitować nad ziemią czy przebijać ciało na wylot drutem do robót ręcznych. A poza tym kochała drzewa i węże, a przede wszystkim wodę.

“Gdy świat zginie w atomowej pożodze, tylko w morzu znajdziemy przetrwanie" – brzmiała jej wielka dewiza.

Coraz więcej młodych ludzi ogarniało przeświadczenie, że posiądą podobną doskonałość. Chętnie zapisywali gminie swe majątki, z krótkotrwałych wizyt domowych przywozili kosztowności i gotówkę. Zbliżała się najkrótsza noc w roku. Noc Chrztu i próby. Hunter wiedział już sporo, chciał jednak poznać sprawę do końca. Zdobyć dowody. Próbki jedzenia, które przekazywał Frankowi, zawierały, jak wykazała analiza, coraz większe dawki narkotyku, łączącego w swym

działaniu pobudzenie z bezwolnością i nadwrażliwość z otępieniem intelektualnym.

Rankiem, w dniu poprzedzającym noc św. Jana (jako adwentysta w świętych nie wierzył, ale w sekcie Ludzi – Ryb zapomnieć musiał nawet o święceniu soboty), doszło do wpadki. Susan zwołała Gminę, emitując przez głośnik wzburzony szum morza.

– Czyje to? – pytała wymachując mikroradiostacją.

Nikt się nie zgłosił. Zarządzona publiczna spowiedź też nie wyłoniła winnego. Gene błogosławił trening woli, który sprawił, że nawet czujne zmysły Rusałki nie rozpoznały w nim zdrajcy. Miał nadzieję, że Frank, mając w ręku tyle dowodów, wezwie pomoc. Minęło jednak południe i nic się nie zdarzyło. Podczas popołudniowych medytacji, gdy Kapłanka znów zanurzyła się w wannie, a reszta wiernych popadła w odrętwienie, Hunter wycofał się z Kręgu i opuścił farmę wcześniej odkrytą dróżką przez zarośla. Od namiotu Franka dzieliły go dwa kilometry. Ale nie trzeba było biec aż tak daleko. Dwieście metrów za farmą natknął się na ciało pokryte grubą warstwą teksaskich mrówek. Frank nie żył od paru godzin. Gene stracił głowę. Chciał uciekać, a po paru minutach zorientował się, że biegnie w stronę farmy. Usiłował zawrócić. Na próżno. Obok niego wyrosła Farah, długonoga strażniczka z automatem.

– Gdzie się włóczysz podczas Wielkiego Skupienia – warknęła odsłaniając prześliczne, acz drapieżne ząbki. – Poszedłem się wysikać – skłamał nieudolnie. Kazała mu wracać do Kręgu. Chyba też była trochę zdenerwowana. Jak zdołał się zorientować, strażniczki tylko formalnie należały do Gminy. Nie uczestniczyły w skupieniach, stołowały się oddzielnie razem z Susy, unikając tym sposobem otumaniających narkotyków.

Do północy nie mógł nawet marzyć o wyrwaniu się z grupy. Ledwie udało mu się symulować spożycie posiłku, który musiał zawierać wzmocnioną porcję narkotyku. Około dwudziestej wszyscy zapadli w sen. Wszyscy, z wyjątkiem Susy i strażniczek. Udający śpiącego Gene spod przymkniętych powiek obserwował, jak strażniczki pośpiesznie ściągają lampiony, pakują cały sprzęt do samochodu, również osobiste rzeczy wyznawców. Starannie przeszukują dom. Tylko czujna Farah stała nieruchomo na ganku i śledziła śpiących. Myśl o ucieczce przypominała marzenie ściętej głowy.

Sygnałem pobudki był dźwięk fal i nagrane piski mew. Wszyscy zerwali się nadzwyczaj podnieceni. Popłynęły słowa modlitwy:

“Już czas,
czas Wielkiego Chrztu,
zanurzmy się w prawdzie,
niech nas otoczy kryształowym zwierciadłem,

wróćmy do natury,
bądźmy w wodzie,
bądźmy wodą".

A potem zaczął się wariacki sprint na złamanie karku. W biegu wszyscy zrzucali resztki odzieży. Później zbierały ją strażniczki. Lżejsi niż piórka, jak kosmonauci na Księżycu. wybijali się w najdziwaczniejszych trójskokach, biegnąc, dążąc, lecąc ku plaży.

“Jesteśmy doskonali, lekcy, sprawni, nieśmiertelni" – brzmiały słowa nauczonego hymnu.

Tuż nad wodą Cenę rzucił się w bok i wpadł w krzaki. W czasie gonitwy trzymał się środka grupy i żadna ze strażniczek nie dostrzegła jego ucieczki.

Kilkudziesięciu młodych ludzi zbiegło tymczasem na plażę. Morze było wzburzone, ciemne.

W transie skakali w toń. Okrzyki radości głuszył huk topieli. Na skale ukazała się Susy. Trzeba powiedzie, że dobrze wybrała tę zatoczkę. Niewidoczną tak od pełnego morza, jak i z lądu. W ręku trzymała silny reflektor. Oświetliła kipiel.

Niektórzy z wyznawców musieli nieco otrzeźwieć, próbowali bowiem pływać i wzywać pomocy. Dwóch wspinało się na skały, ale czekały już tam strażniczki uzbrojone w długie żerdzie. Paru krzyczącym rozpaczliwie pływakom przyczepiono do nóg żelazne klamry. A potem stało się coś, czego Hunter nie mógł pojąć. Susy skoczyła do wody, zamiast nóg miała teraz ogon pokryty rybią łuską. Skacząc po falach dążyła naprzeciw łamiącym się grzywaczom przyboju.

Nagle odwróciła się. Uniosła prawicę i krzyknęła coś gardłowo. Pięć strażniczek puściło naraz żerdzie, poczęło wołać i wymachiwać rękami. Był to krzyk przeraźliwy, rozpaczliwy, bolesny. Krzyk człowieka, którego oszukano i który nie może pojąć, dlaczego. Hunterowi wydało się, że śni. Biegając po plaży dziewczyny zaczęły się kurczyć, głosy ich rozbrzmiewały coraz piskliwiej. I naraz jęły odrywać się od piasku. Ich ręce pokryły się pierzem, ciała skarlały, a krzyk stał się zwyczajnym mewim zawodzeniem. Jeszcze chwila, a całe stadko rozpierzchło się krążąc nad falami, które pochłonęły wyznawców.

Cenę uciekł.

W przydrożnym moteliku nagrał swe zeznania na magnetofonie i wysłał taśmę na adres Federalnego Biura Śledczego. Oczekując na transkontynentalny autobus, poszedł chwilę odpocząć. Otrzymał bardzo dobry pokój na czwartym piętrze. Ponieważ zamówił budzenie, recepcjonistka zadzwoniła o wpół do siódmej. Nikt nie odpowiadał. Pokojowa stwierdziła, że klucz tkwi z drugiej strony, w zamku. Wyłamano drzwi.

Redaktor Hunter leżał w ubraniu i butach na dnie pełnej wanny. Śmierć nastąpiła na skutek utopienia. Żadnych obrażeń czy śladów przemocy nie stwierdzono. Tylko mieszkający vis – a – vis staruszek twierdził, że około osiemnastej widział wylatujące przez okno stadko ogromnych mew.

Droga do Evergaldes biegnie samym środkiem florydzkich błot, trzęsawisk i rozlewisk. Jest to okolica, parna, niezdrowa, nieprzyjemna. Zeznania Gene'a Huntera poznał Meff dzięki niedyskrecji jednego ze wścibskich dziennikarzy, który opublikował dłuższy artykuł po aferze ze zniknięciem relacji reportera z archiwum FBI. Oczywiście nie padło tam nazwisko Susy Waters (miała ona dość nazwisk w zapasie) ani sugestia, że sekta Ludzi – Ryb spod Corpus Christi może mieć coś wspólnego z istniejącą od prawie roku Gminą na Florydzie.

Fawson jechał szybko i dziękował w duchu konstruktorom z General Motors za klimatyzowane wnętrze. Wprowadzał właśnie maszynę w szeroki łuk, kiedy zatrzymało go dwóch policjantów. Droga była zamknięta. Na poboczu stało kilkanaście samochodów. Kręcili się fotoreporterzy.

– Co się stało? – zainteresował się Meff.

– Wreszcie dobrali im się do skóry – zauważył szczurkowaty reporter z “Washington Post".

– Komu?

– Ludziom – Rybom. Od dawna mieli na nich namiar. A dziś, zdaje się, przyłapali bractwo na próbie zbiorowego topienia się!

– Kiedy?

– Parę godzin temu, w środku nocy. Teraz trwa obława na te wściekłe erynie. Kapłankę i jej strażniczki.

Nad głowami zaterkotał helikopter.

– Świetna akcja – powiedział dziennikarz.

Akcja rzeczywiście była dobrze przeprowadzona. Kiedy tłum oszołomionych kandydatów na topielców wypadł na skraj rozlewiska (widocznie Susy wolała tym razem nie ryzykować otwartego morza), przywitał ich wynurzający się z wody rząd płetwonurków. Reflektory zalały teren farmy potokami światła. Z zarośli wynurzyły się patrole uzbrojonych funkcjonariuszy. Strażniczki pogłupiały. Jedna z nich zaczęła siec bezładnie z automatu, ale zgasił ją jeden celny strzał wyborowego strzelca, inne próbowały dać nura w dżunglę. Dwie ostatnie padły na kolana, śpiewając jakiś hymn śmierci. A sama Rusałka?

Tylko na moment straciła rezon. Potem zatrzasnęła się w jakiejś komórce. Natychmiast otoczyli ją agenci. Wezwali do poddania. Wtedy zaczęły wypełzać z komórki węże. Setki węży najrozmaitszej

wielkości. Zaskoczeni funkcjonariusze poczęli strzelać do gadów z karabinów maszynowych.

Było to niesamowite widowisko. Kłębowisko węży szatkowane bronią automatyczną, żywy kłąb siekanej gadziny w świetle jupiterów. Topielica wykorzystała zamieszanie. Przez dach wydostała się na koronę drzewa. Przeskoczyła zwinnie jak wiewiórka na drugie.

– Tam, tam, ucieka! – wrzasnął ktoś z policjantów.

Było jednak za późno. Główna winowajczyni znalazła się poza pierścieniem obławy. Pochłonął ją zielony wilgotny gąszcz, będący jej naturalnym żywiołem.

Atoli ścigający nie tracili nadziei. Nowe oddziały stworzyły szerszy krąg. Patrole przeczesywały las, helikoptery krążyły w powietrzu. Sprowadzono psy, które złapały trop. Na Noc Chrztu Kapłanka wysmarowała się nadzwyczaj wonnymi olejkami.

Około 8.30 śmierć poniósł starszy sierżant Carson.

Udusiły go drobne kobiece rączki o długich pazurkach. Kwadrans później trzyosobowy patrol natknął się na zgrzybiałą staruszkę zajętą zbieraniem leśnych owoców.

Próba wylegitymowania starowinki zakończyła się tragicznie. Jeden z funkcjonariuszy zginął zastrzelony z pistoletu st. sierżanta Carsona, drugiemu cios zadany ze zdumiewającą precyzją rozwalił splot słoneczny, trzeci zmarł na skutek wgniecenia twarzy w niewielką brudnożółtą kałużę. Ktokolwiek dokonał tego czynu, musiał dysponować doprawdy nadludzką siłą.

Meff Fawson stał i rozmawiał z korespondentem “Washington Post". Czuł, że powinien włączyć się w akcję. Pomóc koleżance. Tylko jak?

Naraz poczuł zimny dreszcz. Obrócił się. Z mikro – busiku tuż za nimi wysiadło kilku księży, najwyższy o chudej twarzy hiszpańskiego inkwizytora. Fawson miał normalnie do księży stosunek obojętny, tym razem jednak poczuł się nieswojo.

Poszli po rozum do głowy. Wezwali egzorcystów.

Próbował zachowywać się normalnie. Wrócił do wozu. Zaczął go wycofywać. W tym celu odwrócił głowę i naraz wzrok jego spotkał się ze wzrokiem “Hiszpana". Zrobiło mu się słabo. W gorejących oczach sługi bożego była moc, z jaką Meff dotąd się nie zetknął.

Rozpoznali mnie – pomyślał.

Wdusił wsteczny. Czuł, jak opuszczają go siły. Ksiądz tymczasem zwrócił się do swego sąsiada o dobrodusznym wyglądzie proboszcza, a jednocześnie wydobył z zanadrza mały krzyżyk.

Neoszatan oblał się potem. Ostatnim wysiłkiem wiotczejących mięśni nacisnął gaz. Samochód poleciał jak wariat do tyłu. Ciągle jadąc tyłem dotarł do zakrętu. Tu słabość Meffa minęła. Odwrócił wóz i pognał z powrotem, nie myśląc ani o Rusałce, ani o misji, marząc

jedynie, aby nigdy więcej nie spotkać hiszpańskiego księdza.

Półtorej mili dalej na drogę wyszła mu baba. Praktycznie wskoczyła pod koła.

– Masz diable kaftan – rzucił przez zęby. Kobieta, leciwa Amerykanka w fioletowej peruce i ognistoczerwonym wdzianku, powiedziała bezceremonialnie:

– Proszę mnie podrzucić do Miami.

Już miał odburknąć coś nieprzychylnego, kiedy przyszło mu do głowy, że z pasażerką będzie wyglądał znacznie mniej podejrzanie.

Zaprosił ją do środka. Ruszyli. Kobieta milczała. Bił tylko od niej tak silny zapach perfum, że musiał szeroko odkręcić okno. Milę dalej czekała na nich blokada. Niespokojnie wypatrywał, czy wśród policjantów nie ma żadnego księdza. Nie było. Kiedy gorączkowo zastanawiał się, co robić, usłyszał obok siebie cichutkie:

– Sześć razy sześć!

Przelecieli zaporę jak wicher, taranując dwa motocykle i parę beczek. Było jasne, że na następnej przeszkodzie nie pójdzie im tak łatwo. Rusałka jednak nie traciła rezonu.

– Umiesz znikać? – zapytała Fawsona.

– Jedynie przenikać przez tradycyjne elementy budowlane.

– Zaklęcie różni się tylko jednym słowem. Ale stoję za nisko w hierarchii służbowej, aby wymówić je sama.

Poza tym trzeba na to około kwadransa.

Podała odnośną formułę. A potem, gdy Meff wygłaszał ją odpowiednim tonem, wtuliła się w niego, kobieca i tak bezradna, jak tylko może być normalna kobieta. Oprócz perfum, ulatniających się jak pamięć o turystce, której zwłoki obdarte z peruki i ubrania stygły gdzieś w rowie, coraz intensywniej zaczynał czuć jej naturalną woń – wody, wodorostów, a nawet odrobiny świeżej ryby.

Kiedy zza zakrętu wyłonił się błękitny ford, kapitan dał sygnał. Strzelcy klęknęli za zaporą. Miejscowy pastor uniósł Biblię… Samochód jednak miał najwyraźniej dość taranowania. Zatrzymał się, o metr od zapory. Funkcjonariusze podbiegli trzymając broń gotową do strzału. Otwarli drzwiczki. Wnętrze było puste, choć nie wywietrzał jeszcze zapach perfum.

Kapitan zaklął. Pastor miał wielką ochotę uczynić to samo. Nie zamierzali jednak rezygnować. Pieszo uciekinierzy nie mogli ujść daleko. Jeden z żołnierzy odprowadził wóz za zaporę, a reszta ruszyła do przodu. Minęło może pięć minut, gdy pozostawiony sam sobie wehikuł zaczął wolno, wolniutko toczyć się po poboczu. Później zawarczał silnik, automatycznie przeskoczył bieg.

I znowu sukces – pomyślał z zadowoleniem Meff Fawson. Należał bowiem do tego popularnego gatunku Judzi, których klęska zniechęca, natomiast powodzenie, choćby nawet niezasłużone – uskrzydla.

XII.

Kolejna narada odbyła się w gronie bardziej niż kameralnym. Oprócz Pucołowatego i Albinosa wziął w niej udział jeszcze jeden łysy osobnik, dotąd nie widywany na sztabowych konferencjach. Przed Szpakowatym leżała plastyczna mapa świata, przy czym plastyka nie odpowiadała ukształtowaniu terenu, ilustrowała natomiast poziom materializacji życia. Kolory mówiły o dominujących religiach, a określone znaki wskazywały newralgiczne punkty globu – miejsca cudów, placówki Zła, regiony natężonej rozpusty lub wolnomyślicielstwa.

Na początek Albinos i Cherubinek zdali kolejny raport z obserwacji Meffa Fawsona. Wspomnieli o jego eskapadach do bilioteki, o przybyciu Marion, o zainteresowaniu Havrankovą.

– Od blisko tygodnia obserwowany zachowuje się jak typowy naukowiec, nie daje żadnych powodów do podejrzeń. Oprócz tego, że otoczył się diabelską świtą.

– I to mnie niepokoi – westchnął Szpakowaty. – Do dnia niebezpiecznego układu ciał niebieskich pozostał tydzień, a ten facet trwoni czas, jakby miał do dyspozycji całą wieczność.

– Może pragnie uśpić naszą czujność?

W kolejnym punkcie Łysy przedstawił niezwykłe wydarzenia, które w ostatnich dniach rozegrały się na paru kontynentach. Uwolnienie Wilkołaka, nagłe zniknięcie barona Frankensteina, dziwne wypadki z sektą Ludzi – Ryb.

– I zauważcie, za każdym razem zamieszany jest w sprawę niejaki Matteo Diavolo.

Sprawdzałem w ewidencji, nie mamy jego dossier – rzekł Pucołowaty.

– A ja sprawdziłem, że nikt noszący nazwisko don Diavolo nie zajmował się nigdy przemysłem sardynkowym – dorzucił Albinos.

– Poza tym udało mi się ustalić – ciągnął Łysy – że wkrótce po pobycie owego tajemniczego Włocha w Wiedniu ukrywający się tam Drakula zamknął zakład i wyjechał na wakacje, nie podając dokąd. Co to oznacza?

Szpakowaty zmarszczył brwi.

– Co oznacza? Że Diavolo jest zakonspirowanym funkcjonariuszem lub konfidentem Wielkiego Dołu. To dla mnie nie ulega wątpliwości. Ale jakie jest jego zadanie? Czy prowadzi działania mające odciągnąć nasze zainteresowanie od bezbarwnej chwilowo postaci Meffa Fawsona, czy też…

Pracownicy zawiśli na ustach Szefa.

– Czy też otrzymał za zadanie postawienie w stan gotowości

wszystkich niedobitków Zła, a jeśli tak, to nasze najgorsze obawy mogą się sprawdzić.

– Istnieje również możliwość, że obie wersje są prawdziwe – wtrącił Łysy.

– Tak czy siak, musimy przystąpić do drugiego etapu naszej defensywy – głos szefa brzmiał zdecydowanie jak chyba jeszcze nigdy. – Wariant A – 3. Gotowość alarmowa we wszystkich regionach. Odwołuję urlopy, udziały w pielgrzymkach i nowennach. Podwariantem G – 6 zajmiecie się wy – wskazał na Łysego – a jeśli idzie o pana Diavolo…

– Dobrze by było ustalić, kim właściwie jest ta kreatura! – rzekł Albinos.

– Trochę wiemy. Przypadkowo podczas obławy na Topielicę zetknął się z ojcem Martinezem.

Pucołowaty aż cmoknął z podziwu.

– Najlepszym egzorcystą Stanów Zjednoczonych!

– Tak. Martinez widział go ledwie sekundę, ale twierdzi bez cienia wątpliwości: don Diavolo to wprawdzie niedoświadczony jeszcze i młody stażem, ale niewątpliwie szatan.

Sekretarki wniosły kawę i bezy. W antyszambrach biura nie odczuwało się jeszcze tego niepokoju, który począł już ogarniać wyspecjalizowane agencje i działy analiz.

– Zatem plan na najbliższe godziny mamy – powiedział Łysy – można najwyżej zastanawiać się, dokąd don Dicwolo skieruje swe kroki?

– Jestem prawie pewien – stwierdził szef. – Nie zostało mu już wiele miejsc do wyboru. – Tu kościsty palec powędrował aż na samą rubież mapy, wysoko poza koło polarne, gdzie nawet z plastikowej makiety wiało chłodem, wieczną zmarzliną i białymi niedźwiedziami. Przez chwilę palec błądził wśród bezdroży tundry, aby zatrzymać się na maleńkim czarnym punkciku.

– Zamek na Lodzie – odcyfrował Albinos – brr!

– A potem, przypuszczam, wróci do Paryża.

Rozległ się dźwięk harfy. Szpakowaty szybko pożegnał współpracowników. Musiał jeszcze pójść zdać sprawozdanie trochę wyżej.

Krajobraz był nieprzyjemny jak świt na kacu i smutny jak pogrzeb starej panny. Nie kończąca się równina tundry, jednostajnej, beznadziejnej, nieludzkiej. W przestrzeni tej nawet rachityczna brzoza, która ośmieliła się uczepić wąskiej warstewki z rzadka odmarzającej gleby, uchodzić mogła za drzewo – bohatera. Nawet w porze zwanej przez Eskimosów ironistów ciepłą życie wegetowało tylko w osłoniętych kotlinkach, niepewne jutra, tym bardziej że z ołowianych

chmur co jakiś czas sypało ostrzegawczo śniegiem. Im dalej ku północy, tym płaty śnieżne zajmowały obszerniejsze połacie, zwiastując zbliżanie się do posiadłości wiecznego lodu. Wiatr wiał przenikliwie zimny, choć w chwilach przejaśnień słupek rtęci wyzierał czujnie odrobinkę powyżej zera.

Trzech ukrytych w wygrzebanej w ziemi dziurze, otulonych w grube futra mężczyzn obserwowało za pomocą noktowizora rzadko uczęszczaną drogę, trakt ciężkich traktorów polarnych – jedynych mechanicznych bestii zapuszczających się w te strony, jeśli tajemniczy don Diavolo zdecydowałby się na wizytę w diabelskim Oksfordzie, był to jedyny szlak. Przypadkowo wybrali doskonałe miejsce na zasadzkę. Nikt bowiem oprócz grupki pracowników sekretnych służb Dobra, którzy nadali tę robotę miejscowym władzom, nie wiedział, że droga przecina właśnie tu kilkuarowy prostokąt poświęconej ziemi (ongiś był tu cmentarz banitów), ziemi, na której uda się ująć neoszatana gołymi rękami, jak ogolonego jeża.

Oczywiście trzej funkcjonariusze Straży Polarnej nie wiedzieli, na kogo się zasadzają, tak samo jak nie mogli nawet przypuszczać, że pod szyldem Stacji Meteorologiczno – Geologicznej kryje się Wszechświatowa Szkoła Upiorów. Zęby jeszcze rozszerzyć wyobrażenie o ich niewiedzy, dodajmy, że zziębnięci łapacze nie mieli pojęcia o dwóch dalszych podstawowych rzeczach. Po pierwsze – Rewizor Dołu mógł w najlepszym czasie pojawić się za cztery dni, i to pod warunkiem, że zdążyłby na odlatujący raz w tygodniu samolot, a w ciągu kwadransa przesiadł się na pociąg, który, zakładając przeciętne opóźnienie, dotarłby do końcowej stacji po trzech dniach, i wreszcie, że którykolwiek z możliwych do wynajęcia traktorów polarnych okazałby się zdatny do użytku. Po drugie – Meff Fawson, który miał na całą operację zaledwie dwadzieścia cztery godziny, znajdował się w tym czasie ponad sto mil na północ, już pozo granicą lądolodu, w bliskim sąsiedztwie Zamku na Lodzie.

Jak to było możliwe? Wystarczy przypomnieć sobie finansowe zasoby naszego bohatera. O godzinie 11.25, po czułym pożegnaniu Topielicy, znalazł się w samolocie podążającym na północ i po dwóch przesiadkach dotarł przed wieczorem do bazy lotniczej zaopatrującej wielorybników. Wyleciał z niej niezwłocznie, by wkrótce po czwartej nad ranem zostać wysadzonym prawie na samym ciemieniu globusa, na polu lodowym dwadzieścia mil od wybrzeża i dwadzieścia pięć od Stacji im. Szczęśliwych Eskimosów. Bliżej samolot nie chciał lądować za żadną cenę, trzymając się z uporem maniaka wód pozaterytorialnych.

Fawson miał ze sobą sanie odrzutowe, cudowny sprzęt, coraz częściej używany przez turystów stref podbiegunowych, i zapas paliwa na pięćdziesiąt mil. Posiadał również żagiel umożliwiający

podróżowanie, gdyby jednak benzyny zabrakło, ale wolał nawet nie wyobrażać sobie podobnej sytuacji.

Od godziny był w drodze. Sanie sunęły prawie nie dotykając lodowej kry. Z boku przesuwała się panorama wybrzeża stanowiąca czoło olbrzymiego, na kilkadziesiąt metrów wysokiego lodowca. Tu i ówdzie natrafiał na płachetki wody wolnej od lodów. Wiał ostry wiatr i do nieszczelnej kabiny wdzierało się dotkliwe zimno, dotkliwe zwłaszcza dla kogoś, kto przybywał prosto z tropików.

Jeśli Meff żałował kiedyś, że nie przebywa akurat w piekle, było to właśnie teraz. A przecież w tych okolicach zimą temperatura przekraczała również i minus czterdzieści stopni.

Około piątej rano nieoczekiwanie rozległ się warkot i wysoko, tuż pod zwałami chmur, pojawiły się światła samolotu. Fawson zastanawiał się, czy plotki o wyjątkowej podejrzliwości Kanadyjczyków znajdą potwierdzenie. Wdzierał się na kontynent bądź co bądź nielegalnie. Samolot dwukrotnie okrążył wehikuł neoszatana i nie bawiąc się w konwersację odpalił rakietę, która jednak chybiła celu (może dlatego, że cel był niewielki) i rozwaliła w pył skalny czerep wynurzający się z lodu. Pilot stwierdził najwyraźniej, że spełnił swą powinność, a może nie miał już więcej rakiet, w każdym razie odleciał. Potem niebo zasnuło się jeszcze bardziej i zaczął sypać śnieg. Widoczność zmalała do kilku metrów, Fawson poczuł się pewniej. Stacji nie powinien ominąć. Według informacji znajdowała się na lodowcu kilkaset metrów od wybrzeża. Poza tym miała być oznakowana światłami i masztami łączności. Rychło wehikuł Meffa opuścił kry, znowu bardziej spękane i ruchliwe, aby po śnieżnym jęzorze wspiąć się na grzbiet lodowca. Nie szukał długo, około siódmej wpadł nieomal na kępę chorągiewek i masztów z oświetloną tabliczką głoszącą, że właśnie tu znajduje się Stacja Badawcza numer 345.

Poza tym, jak okiem sięgnąć (mimo reflektorów daleko sięgnąć nie było można, oprócz mroku był jeszcze śnieg z deszczem), ciągnęła się lodowa gładź. Ani śladu zabudowań, hangarów, namiotów, jakiegokolwiek śladu obecności człowieka czy szatana.

– Sześć razy sześć – rzucił w zadymkę.

Nic. Bez odpowiedzi. Echo było snadź tak leniwe, że nie odbiło ani umówionym “66", ani nawet oszczędnym “33".

Były specjalista od spraw reklamy zaklął. Najwyraźniej posiadane informacje były mylne. Bazę zlikwidowano albo przeniesiono. A może przybył w złe miejsce? Obrócił się do swego pojazdu i zbaraniał. Sanie zniknęły. W pierwszej chwili pomyślał, że zapadły się w śnieg, ale jak powiedzieliśmy, był on zbyt wodnisty i rzadki, żeby cokolwiek przykryć.

Fawson rozejrzał się jeszcze raz, a kiedy opuścił wzrok, dostrzegł brodatą gębę wystającą z ziemi o pięćdziesiąt centymetrów od jego

butów.

– A wy kto? – powiedziała gęba i wysunęła się bardziej. Należała do barczystego osobnika w białym kombinezonie, stojącego na szczycie schodków wyciętych w lą – dolodzie.

– Sześć razy sześć – powiedział don Diavolo.

– Każdy może znać hasło – mruknął polarnik i podszedłszy do Fawsona zaczął go dość bezceremonialnie obszukiwać. Równocześnie z podziemnej kryjówki wynurzyło się dwóch krępych, uzbrojonych w broń krótką facecików o wyglądzie Eskimosów i około siedmiu psów rasy husky (pamiętał z Londona), które warcząc utworzyły krąg przypominający skautowskie ognisko. Brodacz nadal kontynuował macaninę, wreszcie rzucił: – Dokumenty ma?

Tego już było za wiele. Stojący w polarnej mżawce don Diavolo nie był przecież dawnym Meffem Fawsonem sprzed tygodnia, zastraszonym kurczątkiem na pograniczu industrializacji i demonologii. Czuł się Plenipotentem Dołu, dowódcą wielkiej, ciągle nie sprecyzowanej misji! Wrzasnął więc:

– A kto ty jesteś, wyskrobku Wielkiej Niedźwiedzicy, wypadłym spod ogona Gwiazdy Polarnej, że śmiesz zadawać takie pytania mnie, Agentowi Dołu? Kto cię upoważnił, szczurze lodowcowy, do stania na spocznij przed swoim jedynym zwierzchnikiem, tranojadzie zatracony? Czy nie znasz paragrafu 326 podpunkt 5 i 299 w odniesieniu do artykułu 22, z powołaniem się na dekret o Wyższej Użyteczności Zła w wypadkach szczególnych, morsie niedorobiony podczas wiosennych rekolekcji?) (Meff ku własnemu zdumieniu sypał kompletnie nie znanymi mu przekleństwami i cytatami z Dziennika Ustaw Dołu).

Polarnik zbladł. Ściągnął nogi, ręka powędrowała do kaptura. Eskimosi padli na twarz, a psy przybrały psią postawę poddania i piszcząc poczęły wymachiwać łapami

– Wybacz, Najciemniejszy! – krzyknął polarnik. – Nie poznałem od pierwszej chwili, ale człowiek powoli tumanieje na placówce tak bardzo oddalonej od metropolii.

Fawson nie podał mu ręki, tylko burknął:

– Długo tak będziemy stali na dworze?

Gospodarz zgiął się wpół, przeprosił, że pójdzie przodem i jął dreptać pilnie, bąkając coś o potrzebie czujności i fałszywych rewizorach, którzy czasami podszywają się pod prawdziwych Agentów Dołu.

– Dokąd idziemy? – spytał Meff, widząc, że oddalają się od otworu w lodzie i postępują z powrotem w stronę wybrzeża.

– Trafiliście, panie, na autentyczną stację. A ja prowadzę was bezpośrednio na Zamek.

– Nazwisko, stopień, przydział!

– Zowią mnie Belfegor i mam zaszczyt być rektorem placówki. Nasza, najprawdopodobniej zbyteczna czujność została spowodowana radiotelefonogramem z pobliskiej bazy. Lotnictwo meldowało, że ktoś nieznany, wybaczcie, Najciemniejszy, ten brak szacunku, kręci się w pobliżu. Mamy tam w bazie swojego człowieka.

– A co, miałem może przylecieć tu rządowym helikopterem?.,.

– Ależ nie. Incognito wasze było ze wszech miar wskazane. Nie mamy przecież z Kanadą stosunków dyplomatycznych. Tutejsze władze w ogóle nie wierzą w nasze istnienie, a społeczeństwo… No cóż, społeczeństwo nie ma w tej sprawie nic do powiedzenia.

Wicher od morza stał się intensywniejszy. Belfegor zatrzymał się wreszcie i uderzył parokrotnie rytmicznie w lód, wytupując pierwsze takty marsza z Aidy. Tafla uniosła się i oczom wysłannika ukazały się obszerne, wyłożone czerwono – czarnym chodnikiem schody. Ruchome zresztą. W perspektywie widać było portyki, rzeźby i attyki Zamku na Lodzie. Belfegor zrzucił maskujący kostium. Stał teraz w czarnym mechatym kombinezonie ze złocistym łańcuchem na piersi. Na kruczoczarne włosy nałożył rektorski biret, który po prostu zdjął z wieszaka.

– Proszę, Inferrnencjo.

Ruszyli.

Żeby ci Kanadyjczycy wiedzieli, co kryje się pod powierzchnią tych pustkowi – myślał Meff zjeżdżając w czeluście lodowca. Dookoła schodów rozpościerały się widoki zaiste niezwykłe. To, co w pierwszej chwili wziął za rzeźby i kolumny, było w istocie dziełem natury, z niewielką chyba tylko pomocą człowieka. Stalaktyty, stalagmity, nacieki, wszystko to iskrzyło się w świetle ostrych lamp rtęciowych. Gdzieniegdzie tylko zza naturalnego filaru wyzierał wykuty w lodzie gnom, strzyga czy inna paskudna maszkara, przypominająca, że nie jest to jednak pałac Królowej Śniegu, bliskiej znajomej Duńczyka Andersena.

Co pewien czas napotykali wykute w lodzie trzy litery: SBT. Belfegor objaśnił, że jest to skrót obowiązującej tu dewizy – Strach, Bojaźń i Trwoga, stanowiącej dla młodych adeptów horroryzmu, wampiryzmu i duchizmu wskazówkę i wytyczną w przyszłej samodzielnej działalności. W miarę zjazdu intensywniejsza stawała się woń siarki. W ogóle było nadspodziewanie ciepło, gdzieś około zera, tak że Fawson z przyjemnością pozbył się futra, czapy i nauszników. Na dole kręciło się kilka półprzeźroczystych cieni, ale i te znikły, widząc zbliżanie się Magnificencji i nieznajomego.

Nad głównym korytarzem uczelni, spełniającym zapewne rolę deptaka, dumnie prężył się transparent: “Aby groza rosła w siłę, a strzygi żyły do ostatniej kropli krwi!" Opodal widać było lodowy globus, którego najrozmaitsze punkty łączyły się czarnymi mackami z

siedzibą uczelni.

– To miejsca, które staną się rezydencjami naszych absolwentów – pysznił się rektor. – Za parę lat znów będziemy liczni jak za czasów doktora Fausta! A propos, proszę wybaczyć moją śmiałość, czy nie ma pan nic wspólnego z europejskim rezydentem Dołu, maestro Borutą?

Boruta poznał Belfegora przed około pięćdziesięcioma laty na jednym z ostatnich Kongresów Czarnej Magii w Salem (Massachusetts). Stosunkowo młody upiór, pochodzący z jednego ze starofrancuskich zamczysk, zrobił na stryju Fawsona bardzo sympatyczne wrażenie. Przyszły rektor był bezrobotny i bezdomny. Jego zamek, który kupił jeden z amerykańskich multimilionerów, został wprawdzie przewieziony w częściach do Ameryki, ale nigdy go nie zmontowano.

Tymczasem nastaje wielki kryzys. Milioner bankrutuje. Detale zamkowe zostają rozsprzedane, kamień zaś służy jako kruszywo do budowy dróg i “nowego ładu". Boruta, wzruszony losem upiora, udziela mu paru bezinteresownych rad. Radzi mu kształcić się, dorabiać czarną magią i głosować na Roosevelta. Belfegor słucha tych rad z uwagą. W czterdzieści pięć lat później już jako zamożny businessman składa starszemu panu wizytę w jego rezydencji w górach. Wspomina o pomyśle odrodzenia upiorzego fachu, mówi o młodych talentach, które spotkał podczas wędrówek po świecie, polemizuje z opiniami o ginących gatunkach i prosi o poparcie. Gospodarz obiecuje przedstawić sprawę na Dole. Biurokracja piekielna zwleka z decyzją, ale wreszcie wyraża zgodę i dostarcza funduszy. Uczelnia rusza. Rozwija się, hojnie subsydiowana przez wszystkie kręgi piekielne, i już wkrótce zacznie przynosić pierwsze efekty…

Meff wysłuchał relacji rektora, ale do pokrewieństwa się nie przyznał. Nie miał zaufania do osobnika w birecie i nie zamierzał wprowadzać go w swoje koneksje rodzinne.

– Nie mam za wiele czasu – powiedział – i chciałbym przystąpić do rzeczy. Szukam kandydatów na współpracowników… – Już miał powiedzieć, by Belfegor sam ich wytypował, kiedy przyszło mu na myśl, że lepiej będzie zaznajomić się najpierw ze wszystkimi uczniami. Może znajdzie się tam ktoś młodszy, sprawniejszy…

Belfegor jakby odgadł jego myśli. – Zaraz będziemy mieli pauzę. Zapoznam pana z naszym przychówkiem. Najlepsze upiory, demony, strachy, jakie się mogą przyśnić. Sprawni, a przede wszystkim podbudowani najnowszymi zdobyczami wiedzy. Proszę sobie wyobrazić: mam tu upiora robiącego doktorat z materializmu historycznego i wampirkę anestezjologa z drugim stopniem specjalizacji. – Widząc powątpiewanie na twarzy Meffa. dorzucił: – Wcale niełatwo było mi zgromadzić tę trzódkę. Też miałem chwile zwątpienia, gdym sądził, że wszyscy nasi kuzyni wymarli. Ale nie jest

źle, nie jest źle. A może Jego Dolność zechciałaby chwilę wypocząć. Mamy tu przyjemniutki pokoik gościnny.

– Chętnie umyję ręce.

– Doskonale, a ja tymczasem zwołam moje zuchy!

Tu Belfegor klasnął w dłonie. Jak spod ziemi wyskoczył paskudny karzeł o twarzy chytrej i czerwonej niczym zachód słońca. Bijąc pokłony zaprowadził gościa do niewielkiego pokoju w stylu eskimoskim, wyłożonego skórami z białych niedźwiedzi, wypełnionego mebelkami wykonanymi z kłów morsa i rogów narwala. Łóżko miało kształt kry i kołysało się usypiająco, całą zaś przeciwległą ścianę pokrywała płaskorzeźba, stanowiąca kopię co upiorniejszych majaków z obrazów Goi. Podświetlona trupim światłem mogła wybić ze snu nawet śmiertelnie znużonego wędrowca. Neoszatan, jak wielu ludzi żyjących intensywnie i pracujących zrywami, postanowił wykorzystać czas na kwadrans snu. To mu wystarczyło, żeby zregenerować siły nawet na pół dnia. Poszukał wyłącznika i mimowolnie dotknął ściany. Zaskoczenie! Lodowy mur, podobnie jak przerażająca płaskorzeźba, wykonane były ze styropianu… Piekielny Agent zamyślił się głęboko.

XIII.

Belfegor, z trudem tamując wściekłość, przeglądał na komputerowym czytniku dane osobowe swych uczniów i współpracowników.

– Który mnie tak urządził? – warczał, wypuszczając słowa jak krople jadu przez potężne, łopatowate zęby. – Kontrola na parę dni przed finiszem! Przypadek? – Nie, nie wierzył w przypadki. Przez pięć lat Wielki Dół dawał mu wolną rękę, zostawiał w spokoju albo przysyłał inspektorów głupszych niż noga krowy, gotowych za byle łapówkę napisać w sprawozdaniu, co zechciał, i to w dodatku wierszem. – Jeśli to Mister Priap, będzie żałował chwili, w której się urodził!

Przezwiskiem Mister Priapa, ze względu na nadzwyczajne męskie parametry, obdarzano Starszego Gnoma, zastępcę Belfegora do spraw administracyjnych. Był to sprytny półdiabeł, którego w przypływie fantazji wyhodował pewien ekscentryczny naukowiec z uniwersytetu w Uppsali, zapładniając naturalne ludzkie jajo nasieniem szatana, przechowywanym w jednym z klasztorów, który, jak głosiła legenda, był w XVI wieku nawiedzony przez diabły. Potworek z probówki zadebiutował w wieku sześciu lat, dusząc swego dobroczyńcę, co nawet w tolerancyjnej Szwecji wywołało pewną dezaprobatę. Gnoma oddano do przedszkola poprawczego w pobliżu Goteborga, skąd wykradł go snujący już wówczas dalekosiężne plany Belfegor.

– Czy ktoś mnie wzywał? – zagdakał karzeł, pojawiając się nieoczekiwanie pod biurkiem szefa.

– I bez ciebie mam dosyć zmartwień – burknął rektor.

– Może mógłbym pomóc, Magnificencjo? – Gnom usiłował nadać swemu ochrypłemu głosowi wyraz ciepła i spokoju.

– Przygotowałeś kursantów do przeglądu?

– Oczywiście. Wiedzą, co mówić, nikt z nich nie wyrwie się bez przyzwolenia i w ogóle Wasza Magnificencja może na nich polegać.

– Polegać to ja mogę tylko na sobie – westchnął z goryczą rektor i miał ochotę dorzucić “i to nie zawsze". – Żebym jeszcze wiedział, po cholerę diabli nadali tego wę – szyciela?

– Być może sam nam powie. A poza tym, sam pan mówił, wszyscy są do kupienia…

– Bywają służbiści! – Belfegor chciał powiedzieć coś więcej, ale na monitorze numer 22 zobaczył, jak czcigodny gość otworzył drzwi gościnnego igloo.

Wdusił więc przycisk dzwonka oznajmiającego przerwę, a następnie wybiegł na korytarz tak szybko, jakby obawiał się, że może go zabraknąć podczas obchodów dnia Sądu Ostatecznego. Gnom

wzruszył swym garbem. Całe życie będąc niższym funkcjonariuszem Zła od brudnej roboty, mógł tylko z oddalenia obserwować zabiegi swego szefa, pragnącego za wszelką cenę utrzymać się na eksponowanym stanowisku. Dziś jednak naszła go refleksja. Czy zaszczyty i splendory są dożywotnie? Czy nie za dużo okazywał wierności i posłuszeństwa? Czy każdy, nawet najniżej zaszeregowany gnom nie może spotkać swej życiowej szansy? Przecież gdyby wysłannik Dołu znał choć jedno z podejrzeń, które nurtowały Mister Priapa od dawna, czyż rektor pozostałby na swym stanowisku choćby godzinę? Może zostałby nawet w trybie przyspieszonym wysłany karnie do nieba?…

Owszem, przeżyli razem kilka tysięcy dni, wyjąwszy krótki okres, kiedy siedem lat temu Belfegor popadł w tak skandaliczne długi, że musiał zastawić Gnoma w lombardzie. Następne trzy sezony trzeba uznać za najciekawszy okres w życiu Mister Priapa. Z lombardu wykupił go kataryniarz i obwoził po prowincjonalnych jarmarkach, dopóki potworek nie stracił cierpliwości. Objawiło się to poderżnięciem gardła swemu właścicielowi, zbezczeszczeniem jego córki i kradzieżą większej gotówki. Po ucieczce przystał do szajki bandziorów, gdzie, wykorzystując swe talenty, wygimnastykowanie, siłę i wzrost dziecka, zasłynął podczas kilkunastu zuchwałych skoków, włamań, z których najsłynniejszymi były kradzieże korony brytyjskiej i czarnej teczki prezydenta USA, dzięki której można było wysadzić w powietrze Układ Słoneczny, gdyby ktoś chciał. A potem Priap wpadł. Kobieta, na którą zagiął parol, okazała się agentką Interpolu, tak że nawet nie zauważył, kiedy teczkę zwrócono prezydentowi, koronę królowej, a on sam znalazł się w pożałowania godnej sytuacji. Jedenaście krajów ubiegało się o jego ekstradycję, w dziesięciu wprawdzie kara śmierci była zniesiona, ale wszystko wskazywało, że Interpol (czego się w końcu można spodziewać po policjantach?) wyda go temu jedenastemu. Szczęściem o Gnomie przypomniał sobie Belfegor, który nagle przeszedł “z nędzy do pieniędzy" i otrzymawszy kredyty na założenie Szkoły Upiorów, znów stanął pewnie na kopytkach. W umiejętny sposób najpierw podtruł karła, a gdy ten już znalazł się w szpitalu więziennym, załatwił ucieczkę w transporterze brudnej bielizny. Ucieczka ta kosztowała karierę dwóch wiceministrów policji, ale Gnom, zamiast celi śmierci, dostał przyjemną jamę w Zamku na Lodzie, dokąd raz w miesiącu sprowadzano mu panienki prosto z najlepszych agencji handlu żywym towarem, tak żeby mógł do woli zaspokajać swoje zwyrodniałe chucie.

Fakt. Belfegor jest moim dobroczyńcą! – ciepła łza skapnęła z oka Mister Priapa. Wygodniej zasiadł przed monitorem. Jedną ręką poprawił kontrast, drugą zaś sięgnął po papier i długopis…

Prymusi Centralnej Szkoły Upiorów tworzyli czeredę najbardziej paskudnych.wyrzutków naszej cywilizacji. Na ich tle Drakula rzeczywiście mógł wydawać się nobliwym arystokratą. Frankenstein dzielnym oficerem, a Topielica amerykańską lady. Zbiórkę zwołano na korytarzu pomiędzy gabinetem tortur a muzeum okropności, gdzie eksponowane były między innymi: palec Kaina, pięta Achillesa i detale najwybitniejszych zabójców z lubieżności – od Landru do wampira ze Śląska. (Jak to Belfegor wszystko zdobył – kto go wie?)

Stali kolejno na baczność. Facet, który w miejscu fizys miał kawałek gładkiej skóry z dwoma niewielkimi szparkami oczu. Mogło się to kojarzyć ze wszystkimi częściami, tylko nie z twarzą. Osobnika zwano Fantomaszem. Obok niego, w krótkiej pelerynie, prężył się Hiperman, paranoiczna karykatura Supermana, coś na kształt indyczki skrzyżowanej z beoingiem 53. Tuż z tyłu, w wytartych dżinsach, z rękami cętkowanymi setką ukłuć stał Black Tiger – osobnik mogący robić wrażenie typowego narkotycznego ćpuna, gdyby nie koci pysk i mały, wiecznie ruchliwy ogonek. Dalej, cała w bandażach, czołgała się mumia, poprzedzana przez dwa czarne koty i jednego skarabeusza wielkości żółwia. Kolejna z prymusek mogła wzbudzać wyłącznie obrzydzenie. Bo proszę sobie wyobrazić suchą ośmiornicę nasadzoną na tułów gigantycznej glisty. Nazwisko Kobieta – Robal tylko w części może oddać jej oryginalną urodę.

Do konspiracji z takim wyglądem się raczej nie nadają – pomyślał Meff – ale kto wie, jakie zadania wynikną z następnego listu stryja?

– Oto najlepsi z najgorszych – pysznił się rektor – upiory, dla których nie ma nic niemożliwego. Fantomaszu, zademonstruj!

Upiór bez twarzy wystąpił krok do przodu, i wówczas jego lico uformowało się w mgnieniu oka w doskonale znajomą gębę don Diavola.

– Każdy jak w lustrze widzi w nim siebie. Sobowtór na zawołanie! Teraz ty, Gacku – pieszczotliwa odżywka skierowana była do Hipermana. Zafalowała pelerynka. Tłusty osobnik uniósł się pół metra nad ziemię i począł wydawać przenikliwe piski. – Żywa echosonda. Potrafi lokalizować obiekty, wobec których nawet radar jest bezradny.

Przyszła kolej na popis Black Tigera. Jak się okazało, nie był on bynajmniej narkomanem. Cętki stanowiły element jego kociej urody, a także były efektem sporadycznych zastrzyków z glukozy, które brał na wzmocnienie. Fawson zastanawiał się, co człowiek – kot potrafi, kiedy uchyliły się drzwi i na korytarzu pojawił się jeden z husky. Na widok panoptikum szkaradzieństw zawył i rzucił się do ucieczki. Na to tylko czekał Black Tiger. Kocim ruchem wydobył z jamy ustnej sztuczną szczękę i cisnął w ślad za psem. Szczęki z ostrym kłapnięciem zacisnęły się na krtani zwierzęcia. Rozległ się agonalny skowyt. Tiger klasnął i szczęki jak wierny sokół wróciły do miejsca stałego

zakwaterowania.

W tym czasie odwinęła się mumia. Fawsoń odczuł przyjemne ciepło. Była piękna i przypominała staroegipską rzeźbę Nefretete.

– Nikt nie oprze się jej czarowi! – uśmiechnął się rektor – ale trzeba być przynajmniej ostrożnym. Niech Infernencja spróbuje się zbliżyć.

Agent popatrzył na eskortujące koty. Wydawały się drzemać. Postąpił do przodu. Mumia cichutko gwizdnęła. Leżące na ziemi bandaże ożyły. Parę sekund starczyło, aby związany jak baleron Meff leżał na chodniku, a wielki skarabeusz śpieszył położyć się mu na twarzy, celem zatamowania oddechu.

– Starczy – zachichotała mumia. Bandaże osunęły się jak zeschłe liście.

– Teraz moja kolej – powiedziała Kobieta – Robal.

– Darujmy sobie twój popis – powstrzymał ją gospodarz – specjalnością tej damy jest trawienie w ciągu kwadransa wszelkich substancji organicznych.

– Dziękuję – mruknął gość i kątem oka dojrzał kolejne wyłażące paskudztwo. – A toto od czego jest specjalistą?

– Mam magnetyczny wpływ na kobiety – powiedział skromnie zbliżając się Mister Priap – a ponieważ nie jest pan babą, musi pan uwierzyć na słowo.

Po raz kolejny Meff pogratulował sobie w duchu. Prymusi zaprezentowali się znakomicie. A przede wszystkim bili dotychczas zwerbowanych swoją młodością. Zamierzał właśnie powiedzieć sakramentalne: “Angażuję was", kiedy z donośnym łomotem olbrzymi sopel spadł na podłogę korytarza, a za nim chlusnęło trochę wody.

– Czyżbyście mieli akurat odwilż? – zapytał z lekkim uśmiechem.

Belfegor zesztywniał.

– Wykluczone. Odnotowujemy coraz niższe temperatury roczne. Według naszych prognoz epoka lodowcowa w skali połowy globu jest nie odleglejsza niż tysiąc lat. Kroczymy jej naprzeciw. Piekło, od czasu kiedy odkryto skalę Kelvina, atakuje ludzkość tak od strony wiecznego żaru, jak i wiecznego chłodu.

– Tak, tak – dorzucił Gnom – ta koncepcja trzyma się na solidnych podstawach.

Znów rozległ się głuchy huk, coś pomiędzy stęknięciem a jękiem. Silny wstrząs rzucił rozmawiającymi o ściany. Na moment zgasło światło. Jednak nikt poza Fawsonem nie zareagował.

– Co to było? – zapytał niespokojnie.

– Nic – powiedział nie tracąc uśmiechu Belfegor. – Naturalne naprężenia wewnątrz lądolodu związane z obniżaniem temperatury.

Zrobił krok do przodu. Ale Meff o sekundę wcześniej dostrzegł to, co teraz rektor niezdarnie usiłował nakryć podeszwą. Kartkę papieru.

Fawson bezceremonialnie odsunął czarciego pedagoga i uniósł świstek ze zdaniem nakreślonym drukowanymi literami:

TU JEZD CZŁOWIEK!

Zgoła nieoczekiwanie spadł na Meffa obowiązek prowadzenia śledztwa. Oczywiście, mógł ku zadowoleniu zgromadzonych machnąć ręką na anonim, ale nie pozwalała na to ani powaga stanowiska, ani świadomość, że być może jest to jedna z tych pułapek stryja, które miały wypróbować Fawsona w działaniu. Gorączkowo przypomniał sobie kryminały Chandlera i S.S. van Dina, pragnąc uzmysłowić sobie, jak to się robi?

Tymczasem purpurowy z wściekłości Belfegor przechadzał się przed frontem swych pupili warcząc:

– Który to? No, przyznać mi się natychmiast.

Ciekawe, czy bardziej chodziło mu o zdemaskowanie człowieka w szeregach upiorzych, czy też autora złośliwego donosu.

Nikt się jakoś nie wyrywał, dopiero po dobrej chwili Gnom uniósł dwa paluszki do góry.

– Jak wszyscy wiedzą, jestem tylko półdemonem, ale chyba nie o to chodzi.

– Nikt nie wie, o co chodzi, to zwyczajna po – twarz! – krzyknął rektor.

– Sianie zamętu! – dorzucił Fantomasz.

– I wichrzycielstwo! – uzupełniła mumia.

– Ciekawe, kto za tym stoi? – odezwał się Gacek.

– I komu to służy? – bąknęła Kobieta – Robal.

– Zatem dojdźmy do prawdy i oczyśćmy atmosferę – przerwał sloganową licytację Fawson.

– Jesteśmy do pańskiej dyspozycji – rzekł Priap, nie zważając na wściekłe spojrzenia pryncypała.

Meff namyślał się przez chwilę. Najprostsza byłaby próba święconej wody, której kropelka zwalała z nóg najsilniejszą z mocy piekielnych. Ba, ale skąd wziąć ów bogobojny płyn (o wzorze H_2Ośw) w samym środku imperium ciemności. A gdyby tak test lustrzany?

Jak wie każdy, nawet początkujący demonolog, upiory, widma, diabły i wszelkie siły nieczyste nie odbijają się w lustrze, przy czym przyczyny tego zjawiska nie potrafią wytłumaczyć najlepsi znawcy optyki.

Nie odbijają się i już.

Doświadczył tego na sobie i nasz bohater. Po swym pasowaniu na diabła z dnia na dzień zauważał, jak jego odbicie w zwierciadle staje się coraz mniej wyraziste. W miarę jak diabelskość czyniła postępy w jego osobowości, kontury twarzy, rąk robiły się coraz bardziej rozmazane. Najgorzej było z poranną toaletą. Meff musiał przywyknąć

do czesania się i mycia zębów po omacku. Z goleniem było trochę lepiej, choć niezwykle groteskowo wyglądało zgarnianie maszynką piany z absolutnie pustej przestrzeni nad kołnierzykiem…

– Przynieście lustro – powiedział donośnie.

– Słyszeliście, co powiedział Jego Inferrnencja – przynaglił Belfegor.

I wszyscy się rozbiegli. Rektor ujął Fawsona pod ramię.

– Sądzę, że coś znajdą – powiedział – chociaż zapewne nie będzie to łatwe. Nie gromadzi się luster w domu, w którym się nic nie odbija. Co mógłbym jeszcze zrobić dla Waszej Inferrnencji?

– Chciałbym się przez chwilę zastanowić. Sam! – odpowiedział opryskliwie. Lokajska gorliwość gospodarza działała mu na nerwy. Czuł, że zupełnie niepotrzebnie pakuje się w sam środek personalnych rozgrywek.

Jak ludzie, jak ludzie – pomyślał z goryczą o swych kolegach po fachu.

Ponieważ rektor odszedł, a po studentach nie było nawet śladu, Meff postanowił się przejść. Skręcił z głównego chodnika, kierując się w dół po stromych schodkach wiodących gdzieś w głąb. Uszedł może kilkadziesiąt metrów, kiedy jego uszy złowiły całkiem nowe dźwięki: szmer, szum, plusk. Jeszcze parę kroków i sztuczne ściany ustąpiły miejsca naturalnym pieczarom lodowca. Tyle że wszystko tu płynęło, po ścianach sączyły się strumyczki, zmieniające się w kaskady, potoki… A wszystko dążyło w dół, gdzie ciemniała tafla nie zamarzniętego stawu. Więc tak wyglądała od spodu konstrukcja zamrożonego ponoć na kość Zamku na Lodzie. Co jakiś czas z chrzęstem osuwały się nadtopione filary.

– Że to się jeszcze wszystko trzyma – pomyślał, czując nad sobą ciężar milionów ton lodu…

I wtedy właśnie został zaatakowany. Kosmate łapy zacisnęły się mu na ciele, a kark owionął gorący oddech. Napastnikiem był biały niedźwiedź. Z potężną siłą począł wlec Fawsona w stronę stawu. Meff, choć nie był nastawiony na walkę z bestią, jakimś ogromnym wysiłkiem oswobodził jedną rękę i psiknął za siebie ogniem w sprayu. Niedźwiedź zawył jak człowiek i odskoczył. Odskakując jednak potrącił rękę Meffa, tak że zbawczy pojemnik potoczył się kilkadziesiąt metrów po lochu. Napastnik jednak nie zamierzał wykorzystywać chwilowej przewagi. Teraz widać było już wyraźnie, że w futrze misia ukrywał się człowiek. Wyciągnął on z jakiejś kieszeni pistolet. Fawson miał ochotę, się zaśmiać. Była to dziecinna zabawka. Pistolet na wodę, używany w niektórych krajach podczas obchodów “lanego poniedziałku". Niemniej kiedy pazur pociągnął za spust i cienki strumyczek dotarł do Meffa, uczuł on przeraźliwe palenie, a zarazem obezwładniający chłód.

Woda święcona! – przemknęło mu. – Jestem zgubiony, jeśli trafi mnie w twarz.

Ale niedźwiedź nie nacisnął powtórnie na cyngiel. Od strony schodów rozległy się liczne głosy. Opuścił broń i dał nura w ciemnawą rozpadlinę. Ciągle jeszcze dygocąc, na nogach miękkich jak z gąbki, Fawson zsunął się niżej i odszukał swój pojemnik. W tym momencie rozbłysły światła i czereda prymusów zbiegła na dół. W pewnej odległości za nimi dostrzegł Gnoma i Belfegora.

– Niestety, Inferrnencjo – wołali jeden przez drugiego – nie znaleźliśmy lustra. Test będzie niemożliwy.

– Nic nie szkodzi, podejdźcie na skraj wody! – odpowiedział. – Po kolei!

Pierwszy zorientował się Fantomasz. Zamarł w pół kroku. W lot pojęli inni. Uczyniła się cisza, którą odmierzał tylko plusk tysiącznych strumyków i potoczków.

– Rozkazuję wam! Stańcie twarzami nad wodą! Wszyscy!

Potwory, które po pięciu latach intensywnej edukacji miały wywoływać grozę, w tej chwili budziły ledwo politowanie. Przestraszone, niepewne, zerkały na siebie spod oka.

– No, proszę! – powtórzył Plenipotent.

– Słyszeliście, co mówi Jego Inferrnencja – zaskrzeczał Mister Priap – podchodzić do wody, kolejno!

Ruszył Black Tiger. Wolno, wolno, ale zanim dotarł do stawu, wybuchnął płaczem. Idący za nim Hiperman nie płakał, tylko w nagłym akcie odwagi wykrzyknął:

– Nie będę się obcyndalał. Jestem człowiekiem!

– I ja, i ja! – zabrzmiały nagle głosy Mumii i Kobiety – Robala, przy czym obok determinacji dźwięczało w nich zdumienie, tak jakby każdy, demaskując siebie, nie miał pojęcia, że pozostali też nie są autentycznymi upiorami. Ostatni podchodził Fantomasz. Stał w cieniu, ale kiedy wzrok Meffa zwrócił się w jego stronę, opuścił łeb, po czym zdarł twarz bez twarzy, ukazując zmiętoszone lico całkiem przeciętnego człowieka.

– Sugestia i mimika – mruknął, jakby tłumacząc swoje, zdawać się mogło, szatańskie umiejętności.

A więc wszyscy udawali, wszyscy oddawali się, grze pozorów. Dlaczego? Nawet Gnom patrzył na rozgrywający się dramat z rosnącym niepokojem. Wreszcie Belfegor nie wytrzymał.

– Ha, zdrajcy! – zaczął wykrzykiwać zbiegając w dół. – Ha, oszuści! A ja wam tak wierzyłem! Włożyłem w was tyle pracy, wysiłku, pieniędzy… Szubrawcy!

– Przecież pan od początku wiedział… – zaczął Hiperman, ale rektor zgasił go wrzaskiem.

– Nie mówcie nic, niegodziwcy! Straszna spotka was kara. Ludzie,

ludzie w mojej ostoi wiecznego lodu! – lamentował wymachując rektorskim berłem tuż nad skrajem stawu. W ciemnej tafli odbijał się doskonale i złocisty łańcuch, i przekrzywiony biret, i blada twarz pedagoga.

Zauważył to Fantomasz. Inni, włącznie z Meffem, pobiegli za jego wzrokiem. Połapał się i sam rektor. Wyzwiska uwięzły mu w gardle. Stał się mały, bardzo malutki, jakim może być tylko nagle zdetronizowany samodzierżca czy zdemaskowany oszust. Chrząknął, chciał coś powiedzieć, ale żadne słowo nie mogło wydrzeć się z jego warg.

– Baraszkował pan z białymi misiami? – zapytał Gnom, zdejmując z ramienia pryncypała jakiś ledwie widzialny gołym okiem puszek. Tylko twarz Priapa nie odbijała się w chłodnej tafli.

– Co to wszystko znaczy? – zapytał Fawson, chociaż odpowiedzi mógł się domyślać.

Języki rozwiązały się. Studenci, zdjąwszy kunsztowne nieraz przebrania, podbiegli do Meffa i na wyścigi poczęli oskarżać swego rektora. Wszyscy byli ludźmi, oczywiście o ponadprzeciętnych zdolnościach parapsychologicznych, aktorskich i iluzjonistycznych. Wyselekcjonowani przez Belfegora, zwabieni perspektywą wielkich dochodów, zgodzili się na oszukiwanie Piekła, które, jak mawiał rektor, dekadenckie i bezradne, nigdy się nie zorientuje, że ktoś robi na nim interes. Zresztą każdy sądził, że tylko on znajduje się bezprawnie w gronie “autentycznych" potworów.

– Na świecie istnieje zapotrzebowanie na grozę – powiedziała Mumia.

– Nasza siatka miała specjalizować się w terrorze, wymuszeniach, szantażu – uzupełnił Black Tiger.

Belfegor stał na uboczu i milczał. Ruina marzeń cwanego iluzjonisty i magika, który przywłaszczył sobie nazwisko znanego ongiś upiora, była aż nazbyt oczywista.

Gdzieś z głębi lodowca dobiegł odgłos kolejnego tąpnięcia.

– Chodźmy – powiedział Fawson do Gnoma – nic tu po nas.

– Nie ukarzemy ich dla przykładu? – zdziwił się karzeł.

– Nie – odparł Meff, widząc, jak na zgaszonej twarzy Belfegora pojawia się cieniutki promyczek nadziei. – Przykładne karanie i wyciąganie konsekwencji nie należy do moich zadań.

– Jak to? – wykrzyknął rektor – to Inferrnencja nie przybył tu na kontrolę?

– Skądże znowu, przybyłem zaangażować jednego z was do odpowiedzialnej misji – tu poklepał Mister Priapa, który zgiął się jak przetrącony kot w paroksyzmie rozkoszy.

– Więc to wszystko… to wszystko było nieporozumieniem? – jąkał się gospodarz lodowej uczelni.

– Mniej więcej.

– A co… co zameldujecie na Dole? Bo ja mógłbym…

– Nie wasza sprawa – zauważył cierpko Gnom. i ruszył za oddalającym się Agentem.

Fałszywe widma pozostały same. Chwilę stały w zupełnej ciszy. Ale nie trwało to długo. Belfegor z krótkim westchnieniem podniósł z ziemi strącony biret. Kątem oka obserwował, jak i jego pupile otrzepują porzucone stroje. Myśleli zapewne to co on. Wysłannik Dołu miał przed sobą daleką drogę i niekoniecznie musiał przebyć ją szczęśliwie. A poza tym…

Rektor znał doskonale urzędników Dołu. Niejeden z nich dobrze zarobił na całym przedsięwzięciu. A poza tym, czy zdemaskowanie fałszywych upiorów było na rękę komukolwiek ze świty Lucypera? Czy nie podważyłoby to i tak nadwątlonego prestiżu Piekła we współczesnym świecie? Przecież nawet podrobione potwory mogą działać z powodzeniem na rzecz grozy i zabobonu. Czy naprawdę trzeba załamywać ręce, udawać, że wszystko skończone i wycofywać się z podstawowych zasad naukowego wampiryzmu?

– Wracamy do klasopracowni!

– Tak jest, mistrzu – huknęli krótko, służbiście i bez wątpliwości.

Potem pobiegli na górę. Natomiast Belfegor szparkim krokiem zapuścił się w sobie tylko znany labirynt korytarzyków. Wystarczy, jeśli odpowiednio wcześniej znajdzie się przy odrzutowych saniach, wrzuci trochę cukru do zbiornika z paliwem i Agent oraz towarzyszący mu niecny zdrajca (nie miał wątpliwości, kto sprokurował anonim) zostaną w lodowym pustkowiu na zawsze. Biegnąc nie zwracał uwagi na coraz obfitsze strużki wody i nieprzyjemne drgania lodowej masy. Nie był zresztą glacjologiem i skąd miał wiedzieć, że jego zamek wraz z całym lodowcem cały czas powoli osuwa się w stronę wybrzeża. Że nic, nawet najlepsze zaklęcia, nie powstrzyma tego procesu i niedaleki jest dzień, kiedy kolejna porcja białej masy oderwie się od lądolodu, runie w słone fale, aby rozpocząć wędrówkę na południe, gdzie nieuchronnie czeka ją stopienie lub napotkanie jakiegoś współczesnego “Titanica". Fachowcy nazywają ten proces “cieleniem się" lodowca.

Oczywiście, mogło też się zdarzyć, że zanim szkoła upiorów roztopi się ostatecznie, jej kadry opanują świat. Takie są zasady wyścigu!

Fawson przyjął od Gnoma przysięgę wierności w marszu. Intuicyjnie czuł, że “diabeł z probówki" jest swołoczą rzadkiego gatunku, wyjątkowo przydatną do jego planów. Z kolei Mister Priap cieszył się jak dziecko z życiowej szansy, która pozwoli mu wrócić do cywilizowanego świata, sprawdzić się w złoczynieniu, a w przyszłości, kto wie… Wysłannik Piekła wydawał mu się diabłem łatwym do

wyprzedzenia na drabinie hierarchii służbowej.

– Straciłem masę czasu – mruczał Meff. – Co zrobić, żeby jeszcze dziś stanąć w Paryżu? – Dopiero teraz zorientował się, że praktycznie nie zabezpieczył sobie odwrotu. Saniami, i owszem, dotrze do wybrzeża, ale co dalej? – Ale kretyn ze mnie!

– A nie posiada pan – wtrącił Gnom – umiejętności latania? Czytałem kiedyś… -

– Latanie nie jest problemem. Wystarczy mieć miotłę. Ale obawiam się, że próba przelecenia miotłą przez Arktykę już po paru chwilach zakończyłaby się naszą śmiercią. W czasie lotu należy być nagim…

– Cholera – zmartwił się Priap. – A czy można latać wyłącznie na miotle?

– Na miotle albo innym sprzęcie służącym do sprzątania – westchnął don Diavolo, cytując odnośny punkt instrukcji.

– No, to trzeba było tak od razu mówić – zawołał nowo zwerbowany. – Idziemy!

Była może godzina jedenasta. Słońce wiszące tuż nad horyzontem przedarło się wreszcie przez zwały chmur. Dwóch z zaczajonych pracowników straży polarnej drzemało w swojej dziurze. Trzeci przytupując krążył wokół dołu, wpatrując się w bezkresność drogi zdającej się łączyć plus z minus nieskończonością. Nie skarżył się. Dość długo służył w tych stronach, żeby narzekać na nudę czy bezsenność. Ci, co ich postawili, wiedzieli, co robią, i tyle. W zasadzie w poleceniu było śledzenie traktu z południa na północ, ale co pewien czas pozwalał sobie na nieregulaminowe patrzenie w odwrotnym kierunku.

Nagle!…

Przetarł oczy i chwycił za lornetkę.

Kiedy w centrali rozległ się brzęczek alarmowy, dyżurny oficer pił właśnie kawę. Zaskoczony ostrym dźwiękiem puścił blaszany kubek i chwycił aparat.

– Co, co takiego? Powtórzcie!

Zachrypnięty głos człowieka odległego parędziesiąt kilometrów kabla meldował o obiekcie, który pojawił się na niebie od strony bazy 345. Oficer, trzymając słuchawkę barkiem przy uchu, prawą ręką usiłował zetrzeć rozlaną kawę, podczas gdy lewą uruchamiał kolejne przyciski nadzwyczajnego alarmu – radar satelitarny, samoloty wczesnego ostrzegania, czujniki naziemne i wreszcie komputer decyzyjny.

– Meldujcie jeszcze raz. To, co mówicie, nie trzyma się kupy.

– Melduję, co widzę. Na wysokości stu metrów unosi się bezszmerowo, z wyłączonym silnikiem, ciężki pług śnieżny… no, taki

przyrząd do zamiatania śniegu.,, z dwoma gołymi osobnikami w kabinie. Powtarzam…

Oficer westchnął i popatrzył w inteligentny ekran komputera.

– Co wam wynika z analizy meldunku?

W maszynie zamigotało, zaiskrzyło, po czym pojawił się napis: MELDUJĄCY JEST NIETRZEŹWY i POWINIEN POŁOŻYĆ SIĘ SPAĆ!

Lewa ręka pośpiesznie wyłączała instalacje alarmowe, wywołując tym samym zrozumiałe uspokojenie w bazach, sztabach, koszarach i na giełdzie. Prawa natomiast, odkładając słuchawkę, potrąciła nieszczęsny kubek, tak że przydziałowa kawa rozlała się do reszty.

– Ca za idiotyczny incydent! – zaklął oficer dyżurny.

XIV.

Kiedy zadajemy sobie pytanie, dlaczego resztki upiornej menażerii zachowały się nie zdemaskowane do dziś, mimo rozwoju cybernetyki, informatyki, działalności wywiadów i kontrwywiadów, nasuwa się jedyna rozsądna odpowiedź – ludzie widzą tylko to, co chcą widzieć. Zawsze znajdzie się naukowy autorytet, który powie: to niemożliwe. Podważy cudowność zjawiska, tak że nawet naoczni świadkowie po pewnym czasie dojdą do wniosku, że ulegli złudzeniu, i będą wstydzić się własnej łatwowierności.

Obok strażnika polarnej policji latający pług widziało jeszcze dwóch myśliwych, grupa drwali, pasażerowie Kolei Północno – Zachodniej, załoga statku rybackiego oraz parka zakochanych tubylców, a przecież trudno byłoby znaleźć jakąś zaprotokołowaną relację czy potwierdzoną notatkę służbową na ten temat.

Jaki naukowiec mógłby przystać na teorię, że cała najnowsza historia pełna jest incydentów, które stają się logiczne i jasne, dopiero gdy uwierzymy w interwencję diabła? Niestety, nikt nie zaryzykuje. Podejrzewam nawet, że wystąpienie publiczne przedstawiciela Piekła przed kamerami Eurowizji naraziłoby tylko całą sieć na oskarżenie o manipulację opinią publiczną za pomocą średniowiecznych akcesoriów.

Wypadki angażowania egzorcystów (przykład mieliśmy podczas polowania na Topielicę) są ciągle jeszcze sporadyczne i dotyczą jedynie paru krajów; w innych są absolutnie nie do pomyślenia. Parę lat temu w Albanii zostało znalezione w sidłach małe diablę. Okaz nie powinien budzić wątpliwości – miał różki, kosmatą sierść, ogonek. A jednak miejscowi naukowcy uznali go za atawistyczny egzemplarz człowieka, na wszelki wypadek ogolili, zoperowali rogi, amputowali ogon, dali paszport i wyprawili za granicę.

Diabełek gdzieś się zawieruszył, a nauka straciła jedyną być może okazję dokładnego zbadania przedstawiciela alternatywnego świata.

Ale nie oskarżajmy pochopnie bałkańskich medyków. Ich postępek uchronił cały przyzwoicie wyglądający gmach nauki światowej od zawalenia. Co by było, gdyby naukowo potwierdzono istnienie szatana, podano jego cechy anatomiczne i morfologiczne?… Strach myśleć!

Wszystkie te problemy były zapewne całkowicie obce Anicie Havrankovej, która owego wieczoru została w lektorium aż do zamknięcia biblioteki, studiując ciekawe opracowania i szkice dotyczące ostatnich wykopalisk w Jerycho, których wyniki cofnęły historię człowieka o dobre dwa tysiące lat wstecz. Parokrotnie zastanawiała się, czy dziś wpadnie do biblioteki tajemniczy

nieznajomy. Ale nie wpadł. Nie zadzwonił też do schroniska prowadzonego przez siostry felicjanki. (Upewniała się dwukrotnie w ciągu dnia.) Anita nie znała się na mężczyznach. Niemniej nietypowe zachowanie przystojnego cudzoziemca było co najmniej zastanawiające.

Nie chciało jej się spać. Zamiast więc grzecznie udać się do bursy, jak bywało od miesięcy, ruszyła na spacer, co w tak dużym mieście mogło okazać się ani miłe, ani bezpieczne. Parokrotnie spotkała się z zaczepką otumanionego narkotykiem emigranta, raz ku swemu przerażeniu usłyszała parę mocnych słów od wymalowanej prostytutki, i kiedy już zamierzała wracać, dostrzegła ich na tarasie kawiarni. Nieznajomy siedział i pił wino z jakąś okropną Amerykanką w wielkich okularach. Chociaż w zasadzie był Anicie obojętny, uczuła przykry skurcz, zwłaszcza gdy Amerykanka chichocząc wesoło pocałowała młodego człowieka w usta. Havrankova chciała czym prędzej odejść, ale raptownie zorientowała się, że nie tylko ona przygląda się parze na tarasie. Przestraszyła się. Jakiś osobnik stał w cieniu i palił papierosa. Był to zażywny Włoch w średnim wieku, o antypatycznej twarzy mafiosa. Zauważył jej obecność. Na usta wypłynął mu bezczelny uśmieszek. Uchylił kapelusza. Odskoczyła jak spłoszona antylopa. Dopiero gdy odbiegła kilkaset metrów, pomyślała, że jej nieznajomy wielbiciel może znajdować się w niebezpieczeństwie. Że właściwie powinna go ostrzec.

Z NOTATEK MARION

Gdybym wiedziała, w co się ładuję, nigdy bym nie weszła w układ z Meffem Fawsonem. W odróżnieniu od tych wszystkich dupeczek myślących seksem z dnia na dzień, od szmaty do szmaty, w kategoriach “co się ma, gdy się da" – postępowałam przeważnie kierując się rozsądkiem i uczuciami wyższego rzędu. Zawsze uważałam, z jakim facetem idę się kochać i co z tego wyniknie. Dlaczego z Meffem? Zabijcie, nie wiem! Poznałam go pierwszego dnia, jak wskoczył do firmy. Elegancki, młody, w sumie był taki rozkosznie gapowaty i niezaradny, aż śmiech skręca. Trzy razy można było mu coś mówić, a i tak zrobił coś innego. Chociaż pomysły też miał. i właściwe od razu wiedziałam, że się wybije, jeśli tylko będzie miał kogoś na stałe, kto będzie w niego wierzył, no i tak dalej. Początkowo nawet mnie nie zauważał. Albo udawał, że nie zauważa. Wszyscy mówili wtedy, że kręcę ze starym, ale co można kręcić ze starym, chyba tylko młynka palcami, no więc może dlatego nie próbował, a nawet jakby się mnie bał. i dopiero w zimie, jak zostaliśmy wieczorem kończyć projekt dla Exxon, jakoś tak wyszło… Moja siostra Mabel, która ma język jak bormaszyna, zawsze mówiła: “Nie kombinuj z facetami dziwnymi, normalni robią to lepiej", i dzisiaj wiem, że trafiła

w dychę. Meff był trochę dziwny. Jak garnek z przypalonym dnem. Zawsze czułam, że jest tam zaschnięta jakaś tajemnica, ale nie wiadomo jaka. Ale jak miałam się dowiedzieć, targać ten mój garnek za ucho? Do Paryża przyjechałam, bo w końcu gdy się ma trzydzieści lat i małego nietoperza pod sercem, trzeba sprawy stawiać jasno.

No i jestem w tym hotelu “Paradise", który cały wygląda jak jedna zakurzona otomana z dziurami wyjedzonymi przez myszy. Niby styl późne rokoko, ale jak dla mnie, to starzyzna i dziadostwo.

Od pierwszej chwili mój “diabełek" wydawał mi się nieswój. Kłębek nerwów z powbijanymi dodatkowo szpilami. Taka akupunktura nie wychodziła mu na zdrowie. Do tej pory nie udało mi się połapać, ale jestem pewna, że wpakował się w jakąś koszmarną aferę. Fakt, ma pieniądze, ale co mu z tych pieniędzy? Patrzy na wszystkich wilkiem, wobec mnie zachowuje się, jakby widział mnie pierwszy raz w życiu, a w łóżku… Popelina!

Nie chce nic powiedzieć o swoim zajęciu. Dzisiaj cały dzień łaził po mieście i wrócił z naręczem jakichś ziół i chemikaliów. Czyżby nagle poczuł powołanie naukowca? A ci jego asystenci. Równie paskudnych kolorowych nie widuje się nawet w Haarlemie. Małe to, pokurczone, wścibskie. Wczoraj wyciągnęłam jednego z szafki pod umywalką. Za to tutejsza bajzel – mama ma co najmniej sto pięćdziesiąt lat. Węszy za mną wszędzie. Zdążyłam zauważyć, że mają do kompletu jeszcze jedno babsko – coś w rodzaju samicy – mastodonta.

Co łączy mojego chłopa z tą podejrzaną zgrają? Narkotyki? Wywiad? i dlaczego ani przez chwilę nie opuszcza go przerażenie. W nocy śpi skurczony jak zdechły pająk, zakrywając sobie dłońmi twarz. Kiedy próbowałam obudzić go, jęknął tylko głucho po francusku: “Non, non Christine." Czyżby ukrywał przede mną jeszcze jakąś babę? Po co to robi? Wie, że jestem tolerancyjna. Aha, vis – a – vis pensjonatu stale stoi zaparkowany biały opel. Dzień i noc siedzi tam dwóch facetów – przystojniaczki z odżywki dla niemowląt. Włoski w kędziorach, cera – krew z mlekiem, przy czym jeden jest okrągły jak świński tyłeczek, drugi ma czuprynę tak białą, że mógłby ją sprzedać na brodę św. Mikołajowi. Jeśli tak wyglądają francuscy tajniacy, to gratuluję. Wydają się nie jeść, nie spać. Tylko są. Nawet papierosa żaden nie zapali. Pytałam o nich Meffa. Wzrok mu uciekł i bąknął tylko: “Nie mieszaj się w cudze sprawy!" A ja tak bardzo chciałabym pomóc.

Wczoraj wieczorem urwałam się na spacer. Przechodząc koło opla ukłoniłam się pasażerom. Udali, że mnie nie widzą. Ale kiedy wracałam, musieli widocznie dostać nowe instrukcje, bo uśmiechnęli się do mnie i pozdrowili. Myślałam, żeby z nimi pogadać, ale o czym? Więc nie gadałam.

Sądzę, że gdyby udało mi się wyciągnąć Meffa z tego przygnębiającego przybytku, doszedłby do siebie, i do mnie. Gdybym tylko wiedziała, co go tu trzyma. Pieniądze?

Wczoraj byłam świadkiem awantury. Meff sądził chyba, że go nie słyszę. Rozmowa toczyła się w przedpokoju naszego apartamentu. Jej początku nie słyszałam, dopiero podniesione głosy wzbudziły moją ciekawość. Jeden z tych kakaowców, zdaje się Ali, wyrzucał Meffowi, dlaczego nie chodzi do biblioteki.

– Nie chcę jej tam spotykać! – wołał mój biedaczyna.

– Musisz! – niezwykle poufale odpowiedział Ali – on by tak zrobił…

– Powiedzcie mi przynajmniej, po co? Kiedy się to skończył Boże…

– Milcz, człowieku!

Trzasnęły drzwi. Najwyraźniej bezczelny asystent wyszedł. Meff cofnął się do pokoju i zobaczył mnie. Na moment zaniemówił. Potem, spuszczając wzrok, pospiesznie wygrzebał jakąś książkę ze stosu czasopism.

– Diabełku – powiedziałam – czy nie możesz mieć do mnie trochę zaufania?

– Nie nazywaj mnie diabełkiem! – krzyknął i wybiegł z pokoju.

A potem przyszła noc. Podobna do poprzedniej. Próbowałam go trochę rozbawić, ale odwrócił się plecami. Zza ściany dobiegały szmery i chichoty. “Stypendyści" zabawiali się na swój sposób. Dałam spokój karesom. Nie rozmawialiśmy. Wszystkie moje próby tego wieczora natrafiały na suchy mur milczenia. Zasnęłam szybko, z tym że był to sen płytki… Gdzieś po dwóch godzinach obudził mnie jakiś odgłos. Nie wykonując ruchu otworzyłam oczy. Ciemność. Nawet z pokoju asystentów nie sączyło się żadne światło.

Obok mnie rozlegał się cichy szloch. Mój mężczyzna leżał z twarzą wtuloną w poduszkę i łkał jak małe dziecko, zgubione podczas wycieczki do lasu. Nie wiem, co mi strzeliło do głowy. Obróciłam się i bardzo delikatnie przytuliłam go do siebie jak matka. Szloch przycichł. Odczułam ciepły prąd i dreszcz, który go przeszedł. Zaczęłam go głaskać, delikatnie, choć zdecydowanie. Nie oponował. Rozpięłam pidżamę. Nadal był potulny jak mały jelonek. Nieźle. Obróciłam go bez większego oporu niczym frezer i pocałowałam. Przytulił się do mnie po dziecinnemu. Może naprawdę spał. Nie przestając go pieścić, pozbywałam się zawadzającej garderoby. Był coraz bliższy. Pociągnęłam go ruchem wioślarza. Doszedł do mnie…

– Nie, nie i – krzyknął! usiadł na łóżku. Poczułam się jak zepsuty bumerang.

– Powiedz, co cię dręczy? Co się stało w ciągu tego tygodnia? Jesteś naprawdę Inny.

– O jedno cię proszę, nie pytaj… moie kiedyś będzie inaczej…

– Ale ja ci chcę pomóc!

– Nikt mi nie może pomóc! Jestem zgubiony.

– Szantażują cię?

Nie odpowiedział, ale nie zaprzeczył.

– Grozi ci śmierć? Wzruszenie ramionami.

– A kim oni właściwie są? Gangsterzy? Terroryści? Czego chcą od ciebie?

– Już nic nie wiem. Czasami nawet myślę, że postradałem zmysły.

– Dlaczego?

– Czy wierzysz w diabły, Marion?

Jako dobra katoliczka oczywiście wierzyłam w diabły, tak jak w Trójcę Świętą i Niepokalane Poczęcie. Nie w facetów z rogami czy widłami, tylko w bezcielesne siły Zła, które są wszędzie, a głównie w nas samych.

– A masz z nimi jakieś kłopoty? – zapytałam prawie wesoło.

– Chciałbym się spotkać z księdzem…

– Katolickim? – spytałam zaskoczona.

– Oczywiście. Znaczy… może być również katolicki. Muszę się o coś zapytać, ale “oni"… mnie pilnują – przez moment angielszczyzna Meffa podszyta była silnym akcentem francuskim. – A w ogóle chce mi się spać. – Choć naciskałam go jak tubkę z ketchupem, nie wydusiłam już ani słowa.

Kiedy rano znów poleciał do miasta, wybrałam się przewietrzyć. Blondasy trwały na swym posterunku. Jeden z nich, z uśmiechem mogącym reklamować pastę do zębów, zagadał nawet:

– Piękny dzień, nieprawdaż, madamoiselle?

– Lubię takie bajery, ale po południu – odpaliłam. Musiało go to bardzo zmieszać, bo oblał się prawdziwie pensjonarskim pąsem. Czyżby glina dziewica?

Postanowiłam wreszcie udać się z moimi kudłami do dobrego francuskiego fryzjera, który od mojego stałego różniłby się zapewne głównie ceną. Dzień był przyjemny jak premia kwartalna. Czułam się nadspodziewanie optymistycznie, gdy nagle nieomal wpadłam na wysokiego szczupłego mężczyznę w sutannie, o śniadej twarzy i pałających oczach Iberyjczyka.

Przeprosiłam i chciałam go minąć, gdy przypomniała mi się prośba Meffa. Teraz, w świetle dnia, miała posmak groteski, nie otworzyłam więc ust, ale sługa boży, jakby odczytując moje myśli, powiedział:

– Słucham, córko, mów, co chcesz mi wyznać…

– Mam cholernie dużo grzechów na sumieniu – było to jedyne zdanie, jakie przyszło mi do głowy.

– Ale chcesz rozmawiać przede wszystkim o swoim narzeczonym

– powiedział ksiądz.

O kurczę, jasnowidz! – przeleciało mi przez myśl.

– Chodźmy do parku – stwierdził duchowny w sposób nie pozostawiający mi żadnego wyboru…

Szpakowaty z zamyśleniem bębnił palcami po blacie stołu. Łysy śledził to perkusyjne solo z pewnym niepokojem.

– Czyżbyśmy popełnili błąd?

– Ojciec Martinez, który rozmawiał z panną Marion i dwukrotnie obserwował Fawsona, wydał niepodważalny werdykt. To nie diabeł! Mamy do czynienia z osobnikiem uzależnionym przez szatańską paczkę, wykorzystywanym przez nich do gromadzenia określonych danych z magii i alchemii, nie wiem zresztą, po co; jednostką skażoną jakimś bardzo ciężkim grzechem, ale zdecydowanie człowiekiem.

– Czyli?…

– Dział analiz nie wyklucza, że od początku źle postawiliśmy diagnozę. Więcej, być może, podsunięto nam tego Amerykanina celowo, żeby odwrócić naszą uwagę…

– Na jakiej podstawie uznano Meffa Fawsona za diabła? Na tej, że wezwał go do swej górskiej siedziby stary Boruta.

– Intuicjoniści nie wykluczali możliwości pokrewieństwa. Jego rodzice byli wprawdzie nie wyróżniającymi się zjadaczami chleba, ale o dziadkach nasze archiwa milczą. Wygląda, jakby cała dokumentacja dotycząca ich rodziny została zniszczona jakieś czterdzieści lat temu.

– Co nie wyklucza hipotezy, że uczyniono to, aby nas zmylić.

Łysy skinął głową.

– A ten drugi? – spytał szef.

– Już wylądował w Paryżu. Do Nowego Jorku towarzyszył mu karzeł (w naszej kartotece oznaczony symbolami VX 128 – bardzo niebezpieczny typ). Później się rozstali

– Co z karłem?

– Zgubili go, niedojdy. Ale don Diavolo jest pod ścisłą kontrolą. Prawdopodobnie kontaktował się telefonicznie z hotelem “Paradise".

– No i To jest wiadomość, i co dalej?

– Hotel znajduje się pod stałą obserwacją. Niestety, nie ma żadnego sposobu, żeby tam wkroczyć. Formalnie nie zostało popełnione żadne przestępstwo. Poza tym Marion i Fawson nie mogą ucierpieć.

– Trzeba zorganizować im ucieczkę.

– Ja bym jeszcze poczekał. Na razie ojciec Martinez prosił dziewczynę, aby nie wspominała narzeczonemu o ich rozmowie. Dostała również telefon Surete.

– Gra jest ryzykowna!

– Ale nie możemy jej przerwać, zanim nie dowiemy się, co

naprawdę knują! Co przekazał Boruta przed swą dematerializacją, dlaczego pan Diavolo dokonał objazdu wszystkich diabelskich niedobitków, po czym wszyscy ci piekielni aktywiści opuścili swe pielesze i jak jeden mąż zakonspirowali się w całkiem nowych kryjówkach? Co się za tym kryje?…

– Intuicjoniści przestrzegają. Za cztery dni Ziemia wejdzie w niebezpieczny układ planet. Tylko spokój może nas uratować.

CIĄG DALSZY NOTATEK MARION

Ksiądz okazał się bomba facetem. Dał mi medalik, który ma uchronić Meffa od wszelkiego złego.

– Jeśli pani narzeczony będzie trzymał go cały czas na szyi, żadna moc nie będzie miała do niego dostępu, chyba… Chyba że sam dokona śmiertelnego grzechu. Teraz! Ale bądź dobrej myśli, córko…

Oczywiście po całej rozmowie nie wybebeszatam się przed Meffem. O medaliku powiedziałam, że kupiłam go przed Notre – Dame. Założył go na szyję i, trzeba przyznać, od razu wpadł w świetny humor. Może nie na tyle świetny, żeby puścić farbę o swych kłopotach, ale wystarczająco, by zaproponować wspólną kolację w mieście. Śmieszna gapa z tego mojego chłopa. Pod dobrym wpływem można by ulepić z niego anioła, ale pod złym… Strasznie jest miękki wewnętrznie. Chociaż ja mam słabość do takich żyjątek.

Bijąc się z myślami Anita przeszła jeszcze trzysta metrów, zanim wewnętrzny głos sumienia kazał jej mimo wszystko zawrócić. Nie bez powodu siostra Imelda uznała lokatorkę bursy za najporządniejszą panienkę żyjącą pod dachami nowego Babilonu. Anita kochała zwierzęta, przyjaźniła się z gołębiami, rozmawiała z bezdomnymi kotami, ba, nawet do rzeczy martwych miała stosunek głęboko przyjacielski. Gdy otwierała drzwi, mogło się wydawać, że wchodzi słońce i dobro. Skarb nie dziewczyna, i na dodatek absolutnie, jak dotąd, nie interesowała się mężczyznami. Czasem odprowadzał ją jakiś kolega ze studiów, ale trzymała go absolutnie na dystans – zresztą mieszkalną część bursy otaczała ścisła klauzura. Siostra Imelda miała poważne powody, by żywić nadzieję, iż po skończeniu studiów zakon zyska pełnowartościową nowicjuszkę. Chociaż, jak dotąd, Havrankova zastrzegała się, że nie odczuwa powołania.

Wracając w stronę kafeterii, stale przyspieszała kroku, tak że na taras dotarła w pełnym biegu. Stolik był pusty. Nad popielniczką kłębił się jeszcze dymek z papierosa. Mimowolnie spojrzała w stronę wnęki w murze. Po antypatycznym południowcu też ani śladu.

– Czy ci państwo dawno wyszli? – zapytała kelnera.

– Przed sekundą – odpowiedział opróżniając popielniczkę – Francois wzywał dla nich taksówkę.

Wystarczyło zamienić parę słów z portierem. – Miałem mały kłopot, bo chodziło o daleki kurs po nocy. Hotel “Paradise"…

– A może pan i dla mnie zamówić taksówkę? Skinął głową. A gdy odchodziła, pomyślał z goryczą, że świat jest chwilami niesprawiedliwy, jeśli tak piękna i świeża dziewczyna może tracić głowę dla takiego mydłka, i to w dodatku najprawdopodobniej żonatego.

Notatki Marion urywają się na opisie wczesnego popołudnia. Później już nie miała okazji, aby prowadzić je dalej. Czas upłynął całkiem przyjemnie. Lesort po raz pierwszy od dłuższego czasu odprężył się i grał Meffa Fawsona z takim przekonaniem, że lepiej nie zrobiłby tego sam neo – szatan. Zresztą czarni jakby rozluźnili kuratelę. Od wczesnego popołudnia pijani – zły nawyk wynikły z dłuższej służby u Boruty, który przesiąknął wszystkimi wadami mieszkańca Europy Środkowej – absolutnie nie interesowali się aktorem ani Marion. Z pokoju dobiegały tylko śmiechy i odgłosy świadczące o intensywnym rozmnażaniu. Dwójka ludzi mogła wymknąć się z pensjonatu niepostrzeżona. Opla również, rzecz ciekawa, nie było na normalnym posterunku.

Lesort wybrał niewielką kawiarenkę w Dzielnicy Łacińskiej, w której bywał systematycznie, w czasach kiedy miał jeszcze opinię młodego, dobrze zapowiadającego się amanta.

Marion paplała nieprzerwanie o najrozmaitszych sprawach, głównie komentowała najnowsze ploteczki z kręgów konsorcjum. Na szczęście do uszu Andre, który umiał doskonale się wyłączać, dolatywał tylko melodyjny szmerek. Wypili dwie butelki wina, ale umysł dublera pracował jasno, precyzyjnie. Tego wieczora powie Marion wszystko – całą prawdę o swej roli sobowtóra. Nie zatai epizodu z Christine. A potem niech się dzieje co chce! Samo powzięcie decyzji sprawiło, że poczuł się lżej, swobodniej…

– Co to za facet? – zapytała, raptownie ściszając głos, dziewczyna. Uniósł wzrok i zdrętwiał. Po drugiej stronie zaułka z wnęki wychylała się postać Matteo Diavolo. Jego charakteryzacja dokonywana była wprawdzie w ciemnawym meblowozie, ale Lesort widywał go od tej pory kilkakrotnie w snach i rozpoznałby nawet pod ziemią. Fałszywy Sycylijczyk uśmiechał się bezczelnie.

– Kto to? – powtórzyła Marion.

– Nie znam człowieka – Andre skłamał naprędce i dodał – chyba musimy już iść…

– Tak wcześnie? Obiecywałeś, że wpadniemy jeszcze do kabaretu…

– Jutro – rzucił krótko i korzystając, że Marion skręciła do toalety, dopadł barku i strzelił dwie szybkie podwójne whisky. W połowie

drogi był już tęgo nietrzeźwy.

– Nie wiedziałam, że masz słabą głowę – westchnęła dziewczyna. – Powiedz, dlaczego się tak zdenerwowałeś? Czy ci coś grozi ze strony tego faceta?

Nie odpowiedział. Popatrzyła na medalik. Dyndał spokojnie na łańcuszku po zewnętrznej stronie swetra.

Fasada hotelu “Paradise" tonęła w mroku. Jak zwykle. Poza ekipą Fawsona nikt nie mieszkał w tym przestarzałym obiekcie. Marion zapłaciła taksówkarzowi i z przyzwyczajenia spojrzała na stałe miejsce postoju opla. Pusto.

Nie wiedzieć czemu pomyślała, że lepiej by się stało, gdyby był. Drzwi zastali nie zamknięte, hali oświetlała jedna żarówka. Właścicielka gdzieś zniknęła. Marion sama wzięte klucz i popychając wstawionego przyjaciela, skierowała się do apartamentu. Dubler nucił pod nosem frywolne francuskie melodyjki i, nie wiedzieć czemu, nazywał ją Lucille W korytarzu panował mrok, ktoś, chyba przez oszczędność wykręcił żarówki.

Zawsze nieprzyjemne jest wejście do ciemnawego pomieszczenia. Nic dziwnego, że Marion błyskawicznie odszukała kontakt i zapaliła światło. Potem zaświeciła jeszcze pozostałe kinkiety i lampki nocne. Od razu zrobiło się bezpieczniej i przytulniej. Przez uchylone drzwi zajrzała do pokoju “asystentów". Panował tam zadziwiający ład, jakby cała podejrzana ferajna ulotniła się raz na zawsze. Czyżby sprawił to medalik? Serce dziewczyny wypełniła radość. Meff wysłuchał jej opinii z dość otępiałym wyrazem twarzy i stwierdziwszy: – Chce mi się spać – zagrzebał się w poduszkach.

Marion pomyślała jeszcze o dziwacznym facecie widzianym w zaułku i pokonując lęk wyjrzała przez okno – nikt jednak nie czaił się na wyludnionej ulicy. Tylko przy rogu, tam gdzie znajdowało się wejście do części gospodarczej pensjonatu, czerniała bryła jakiejś furgonetki, stojącej ze zgaszonymi światłami.

Dziewczyna postanowiła się wykąpać. Odkręciła oba kurki nad ogromną wanną, wlała trochę płynu do kąpieli. W tym momencie dostrzegła brak ręczników. Najwidoczniej wzięto je do prania. W ciągu dnia widziała garbatą pokojówkę, która brała czystą bieliznę z szafy na korytarzu. Marion postanowiła kontynuować samoobsługę. Wyszła, na korytarz, podłoga za każdym krokiem skrzypiała przeraźliwie, szczęściem szafa znajdowała się w miejscu, w którym docierało co nieco światła z hallu. Nie była zamknięta. Energicznym ruchem otworzyła drzwi…

Nogi ugięły się pod nią. Na stercie kolorowych ręczników siedział ogromny szczur. Na jej widok, kiedy, zbaraniała, nie była zdolna do kroku lub krzyku, szczur usłużnie zeskoczył z bielizny. Cofnęła się gwałtownie i chciała pobiec do pokoju, ale gryzoń szybkim

smyrgnięciem minął ją i zajął miejsce w centralnym punkcie korytarza, przybierając pozę bramkarza oczekującego na rzut karny. Rozejrzała się bezradnie za jakimś ciężkim przedmiotem, ale korytarz był goły jak plaża naturystów.

– Meff! Meff! – zawołała, ale gardło miała tak potwornie ściśnięte, że rozległ się tylko słabiutki szepcik.

Szczur wyszczerzył ząbki jak nutria i wolniutko ruszył w jej kierunku. Zaczęła się cofać. Wpierw wolno, potem pędem. Zbiegła do hallu.

– Proszę pani! Na pomoc! – wołała.

Chciała wskoczyć na kontuar, ale szczur był szybszy. Rzuciła się ku drzwiom na ulicę. Nie zdążyła. Ogromna żelazna sztaba, umocowana normalnie w pozycji pionowej, nie tknięta niczyją ręką, z głuchym łoskotem zabarykadowała wejście. Gdzieś w głębi korytarza huknęły drzwi. Może zatrzasnął je przeciąg? W tym samym momencie ciężkie żaluzje opadły na okna. Marion rzuciła się ku drzwiom wiodącym do jadalni. Szczur puścił się za nią. Nie, nie atakował, nie rzucał się, przeciwnie, stale zachowywał dystans około metra. Zagradzał drogę, obiegał. Jakby prowadził.

Wtem skoczył pod jakiś mebel i zniknął. Minęła sekunda, dwie. Niemal rozrywana miechem własnego serca, dziewczyna oparła się o stolik. Cisza! Tylko zegar tykał dziwnym, przyśpieszonym jak puls chorego rytmem, i naraz gdzieś tuż obok rozległ się wysoki, przeraźliwy krzyk, a zaraz potem głośny rechot. Zmartwiała.

“Mauretańscy stażyści" znajdowali się w pobliżu! W mgnieniu oka zapomniała o szczurze – naganiaczu. Chciała zawrócić, ale nie mogła. Jakaś siła ciągnęła ją w głąb mrocznej jadalni. Minęła zakręt i dostrzegła jaskrawe światło. Na palcach zbliżyła się do uchylonych drzwi. Ze środka kuchni dochodziły śmiechy i odgłosy przypominające mecz bokserski. Przycisnęła się do ściany i zajrzała.

Wolałaby nigdy tam nie zajrzeć.

Na samym środku stołu masarskiego leżała odrąbana ludzka głowa.

Psychologowie nazywają podobne reakcje paradoksem stresu. Jeśli trwogę podbić jeszcze większą grozą, może dojść do tego, że lęk relatywnie ulegnie zmniejszeniu. Coś podobnego musiało przytrafić się Marion. Przez moment osłupiała; po paru sekundach poczęła trzeźwo rejestrować obraz.

Kobieta, której głowa spoczywała na blacie, została najwyraźniej poćwiartowana. Rozszarpały ją chciwe szpony upiornej czwórki, kawały ciała.znikały w wygłodzonych pyskach Kolego, Li, Bety. Równocześnie krążył między nimi puchar pełen gęstej, ciemnoczerwonej cieczy. Naraz Ali zaśmiał się głośno, podbiegł do głowy, chwycił ją za włosy i wykonując zamach doświadczonego

kręglarza cisnął przed siebie.

W tym momencie Marion dostrzegła szczura, stał na koszu z suchym chlebem. Na widok pędzącego pocisku uskoczył zwinnie i pokazał Alemu długi mrówkojadzi język.

– Kto ma jeszcze zbywający kawałek wątroby? – spytała Beta.

Dźwięk ludzkiej mowy całkowicie ocucił dziewczynę. Cichuteńko, starając się nie poruszyć żadnego sprzętu, przebiegła jadalnię i korytarze. Udało się. W hallu podbiegła do telefonu i wykręciła numer podany przez ojca Martineza.

– Policja? Mówię z hotelu “Paradise" – z trudem wyrzucała z siebie słowa.

– Morderstwo? Zaraz tam będziemy – skomentował jej meldunek całkiem spokojny głos z drugiej strony.

– Co ty wyprawiasz? Marion!

Poderwała się. Mówiącym był rozchełstany, ale przytomny Fawson, który trzymając się poręczy schodził wolno w jej kierunku.

– Dzwoniłam do starej przyjaciółki – powiedziała mając nadzieję, że nie słyszał rozmowy. – Obudziłeś się? – nie chciała go w nic wtajemniczać przed przybyciem policji.

– Woda zaczęła się przelewać z wanny – burknął opryskliwie. – Musiałem zakręcić.

– Miałam właśnie się kąpać – rzekła pośpiesznie.

– No to na co czekasz. Cholera, kiedy wreszcie wkręcą te żarówki?!

XV.

– Cóż za pech – wzdychała Anita, drepcząc nerwowo wokół latarni i co chwila zerkając na nogi wystające spod maski wozu – długo to jeszcze potrwa?

– Szczerze powiedziawszy, nie wiem – odpowiedział gdzieś spod podwozia głos kierowcy – paskudny defekt.

Ulica była pusta, wyludniona, żadnych baraków lub bistro, ani śladu choćby budki telefonicznej.

– A daleko jest do tego hotelu “Paradise"?

– Niedaleko. Może kilometr.

– Pójdę pieszo – zdecydowała Havrankova – tylko jak ja tam trafię?

– Cały czas prosto, potem przy wiadukcie w lewo skosem przez lasek i jest pani na miejscu. Chce pani zobaczyć na planie?

– Jakoś trafię – powiedziała rezolutnie.

Kilometr okazał się trzema, a przyjemny spacer – zwłaszcza gdy przyszło przedzierać się przez zarośla – mordęgą. Właśnie pokonała ostatnią przeszkodę terenową w postaci jakiegoś rowu, gdy z paru stron dobiegło ją wycie syren wozów policyjnych. Kilkanaście suk pędziło jak sto tysięcy diabłów. Zdążały z różnych kierunków i zatrzymywały się wokół ciemnawego budynku w ogrodzie. Oprócz wozów służbowych z bocznej uliczki wytoczył się biały opel i przezornie zatrzymał się nieco z tyłu.

Przybyłam za późno – pomyślała Anita.

Marion, ukrywając narastające podenerwowanie, wsunęła się do łazienki i przekręciła klucz. Nareszcie poczuła się bezpiecznie. Przerażające obrazy z dołu przytłumiła nadzieja, że zaraz wszystko szczęśliwie się skończy. Mimo to, rozpinając ubranie, stwierdziła, że drżą jej posiniałe z przerażenia palce. Żeby się uspokoić, włączyła stojące na półce radio i wesołe nuty w stylu Pod dachami Paryża przemieszały się z parą i zapachem lasu.

Piętro niżej Beta odrzuciła kawałek mięsa.

– Starczy tej trupiny – powiedziała – wsadźcie resztę do lodówki i idziemy na górę.

Spełnili polecenie bez ociągania. Z cienia wyłoniła się wiedźmowata gospodyni. Od dawna była w zmowie z szatanem, a mimo to na jej pomarszczonej twarzy malował się niepokój.

– Czy ta inscenizacja była na pewno konieczna? – zwróciła się do Li.

– Taki jest rozkaz – odparł żółto – czarny. – A poza tym nie ma innego sposobu, żeby ich sprowokować do działania.

– Jak dotąd, wszystko idzie według planu. Policja będzie mniej

więcej za kwadrans – dorzucił Kali.

– Zatem pośpieszmy się! – padło zdanie najbardziej smagłoskórego z półdiablątt.

Andre Lesort osuszył butelkę coca – coli. Był wściekły na siebie. Przesadził z tym piciem whisky duszkiem. Czy pojawienie się prawdziwego Fawsona nie było najlepszym sygnałem, że gra zmierza ku końcowi, że wkrótce otrzyma sowitą zapłatę? Wydadzą mu film o śmierci Christine i raz na zawsze zapomni o całej sprawie. Dali przecież słowo…

Czarni wtargnęli do pokoju bez pukania. Od razu zrozumiał, że jest źle.

– Zdradziłeś – wycedziła ubrana w czerń Beta. – Ty psie!

– Ja, nie… ja – bełkotał przywierając plecami do ściany i marząc, by się z nią stopić.

– Nieważne, kto sypnął, ty czy ta amerykańska pinda! Koniec z tobą. Bierzcie go, chłopaki!

Lesort, który jako aktor umierał kilkaset razy na scenie i parokrotnie w filmie, pojął, że jest to finał, i wtedy przypomniał sobie o medaliku. Chwycił go w ręce. Zmierzający szparko “asystenci" stanęli jak wryci i odwrócili głowy. Poczuł nadprzyrodzony przypływ siły.

– Dalej, chojracy! – zawołał chrapliwie – no, który podejdzie?

Kręcili się, jak gdyby wstrzymywani niewidzialną ścianą.

– Twoja kolej! – zawołała Beta i wypchnęła gospodynię. W twarzy wiedźmy nie było ani kropli krwi. W jej ręku srebrzyła się brzytwa.

– Nic mi nie zrobisz. Nic mi nie zro…

Błysk metalu. Chłodne dotknięcie i ból. Rozcinając pidżamową kurtkę, stal musnęła pierś Andre, pozostawiając krwawą bruzdę, nie naruszając jednak medalika.

Zostałem oszukany – przemknęło aktorowi.

– Ona jest człowiekiem – zaśmiała się Beta – człowiekiem jak ty i amulety przeciw niej nie działają. Dalej, pokaż, stara, kunszt cyrulika!

Zdołał tylko wyszeptać:

– Nie zabijajcie!

– Nikt nie zamierza cię zabijać, jeśli tylko będziesz rozsądny – stwierdziła Beta.

– Będę rozsądny! – zawołał skwapliwie.

– I wykonasz wyrok na zdrajcy?

– Wy… wykonam – w jego głosie brzmiała szczera gorliwość – ale kto nim jest?

Kall milcząc wskazał zamknięte drzwi łazienki.

– Nie… ja, nie… tylko nie ją – wyjąkał dubler. Gospodyni podwinęła kieckę i jęła ostrzyć brzytwę o sczerniałą wewnętrzną stronę uda.

– Zrobię wszystko, tylko nie to – jęknął Lesort.

– Żądamy tylko tego!

Li z rozmachem rzucił na stół rolkę filmu. Kali rozsypał woreczek ze złotymi luidorami, wśród których jak cytryna w herbacie pływała książeczka czekowa. Ali dorzucił paszport wystawiony na cudze nazwisko.

– Oto jest twoja wolność!

Z łazienki sączyła się muzyczka Renę Claira. Andre uniósł się na krześle i bezwładnie opadł ponownie.

– Nie mogę tego zrobić. Zabijajcie! – jęknął.

– To przecież dla ciebie obca osoba – kusiła Beta – dupa Fawsona, przez podobieństwo z którym wpadłeś w te wszystkie tarapaty. Co cię ona obchodzi? Na drugiej szali wisi twoje życie.

Brzydząc się sobą, przyznał jej w duchu rację.

– A poza tym czyn cię wyzwoli, zamknie klamrą okres twej słabości. Znów będziesz mężczyzną – zachichotał Li.

Ogarnęła go fala gorąca. Poczuł ogromny przypływ wściekłości na Marion, stanowiącą szczupłą zaporę przed jego wyzwoleniem.

– Będę wolny? – upewnił się jeszcze raz.

– Od wszystkiego! – zakrakał chór.

Marion myła plecy i myślała tylko, jak opanować nerwy. Zaraz koszmar się skończy. Ktoś zapukał do łazienki. Zadrżała i upuściła gąbkę.

– Otwórz, kochanie! – usłyszała dziwnie chrapiący głos narzeczonego.

– Zaraz skończę – powiedziała walcząc z trwogą, która uniosła jej włosy niczym nabrzmiały elektrycznością bursztyn.

– Otwórz natychmiast!

Skuliła się w wodzie. Nie rozumiała nic z tego, choć czuła wszystko. Jedyne okienko było wąskie i zakratowane Lesort uderzył ramieniem przegrodę raz, drugi.

W tym momencie wzrok Marian spoczął na wężu od natrysku. Rozkręciła wrzątek na pełny regulator. Z sitka wykwitł snop wody i pary. Drzwi chwiały się, trzeszczały, wreszcie padły. Uniosła swój oręż. W tym momencie mocna struga zwiędła jak kwiat podlany trucizną. Wyłączono wodę. Zamknęła oczy, zanim jeszcze mogła dostrzec, jak broczący posoką mężczyzna o twarzy nabrzmiałej desperacją wpada do łazienki.

Silne ramiona wepchnęły ją w aromatyczną wodę Sparaliżowana, nawet się nie broniła. Ostatkiem świadomości, kiedy czuła wlewającą się do jej płuc “Amazonkę", przypomniała sobie gmach konsorcjum i biurko w gabinecie szefa.

Może był to ostatni, może przedostatni gest. Ręka kurczowo czepiająca się gładkiej krawędzi wanny natrafiła na niewielki

przedmiot zawieszony na łańcuszku. Zacisnęła się na nim kurczowo. Urwała! – Wybacz mu, Panie!

– Gratuluję – uśmiechnął się Kali – fachowa robota.

Lesort uniósł się znad wanny i zwymiotował. A potem nagle poszukał medalika, i zrozumiał. Pojął, że popełniając morderstwo pozbawił się ostatniego puklerza i wydał się na łaskę i niełaskę Zła.

Rozległ się tupot bardzo małych nóżek. Wszyscy odwrócili głowy.

Na progu stał słupka wielki szczur. Trwało to jedynie przez mgnienie oka. Prawie natychmiast gryzoń zaczął ogromnieć, ogromnieć i już po chwili obok wyłamanych zawiasów stał don Diavolo w całej okazałości. – Zadanie wykonane – meldował Ali. Wysłannik Dołu podszedł do leżącej wśród piany Marion, bladej i spokojnej. Do kobiety, z którą żył tyle miesięcy, matki swego dziecka (o czym wcale nie wiedział). Dziwny chłód ogarnął jego wnętrze. Nie odczuwał nic złego. Chociaż powinien odczuwać. Ba, rozpierała go nawet swoista radość, jaką daje dobrze wykonane zadanie. Proces szatanizacji, który zaczął się w chatce z siporeksu, dobiegał końca. Z osobowości dawnego Fawsona pozostało bardzo niewiele.

– Brawo – rzekł krótko i wyniośle, a potem dorzucił żartobliwe – czeka nas jeszcze trochę roboty.

Głową wskazał na zewnątrz. Cisza nocna poczynała pękać pod naporem policyjnych sygnałów.

– Otaczają nas – pisnęła gospodyni.

– Cicho, suko – zgromiła ją Beta – widocznie tak być powinno.

Komisarz Surel rozlokował swych ludzi w ten sposób, że policyjny pierścień zacisnął się jak obroża na pensjonacie “Paradise". Wiadomość otrzymana od mówiącej po angielsku dziewczyny dawała szansę przystąpienia do dawno zaplanowanej akcji. Doniesienia o podejrzanej grupie indywiduów od pewnego czasu niepokoiły francuskie organa. Brakowało jednak dowodów, choćby pretekstu. Komisarz od lat współpracował z pewnym łysym osobnikiem, o którego powiązaniach nie wiedział nic, a który często był źródłem tak niezwykłych informacji, że Surel przywykł traktować go jako osobistego anioła stróża. Dziś Łysy osobiście uczestniczył w akcji, choć komisarz zdawał sobie sprawę, że taka praktyka jest co nieco na bakier z regulaminem.

Z cywilów towarzyszyło im jeszcze dwóch osobników w oplu, którzy dostarczyli przed chwilą wiadomość, że osobnik legitymujący się paszportem na nazwisko Matteo Diavolo przybył do hotelu parę minut po amerykańskiej parze.

– Mamy komplet – cieszył się Albinos – trzej pół – szatani, strzyga Beta, wiedźma właścicielka, tajemniczy don Diavolo – czas kończyć zabawę.

Łysy dodatkowo nalegał na uczestnictwo w akcji pewnego hiszpańskiego księdza' o nadzwyczaj przydatnych umiejętnościach, ale Surel zdecydowanie odmówił. Za księżmi nie przepadał, a mieszanie do awantury cudzoziemca groziło aferą międzynarodową.

Policjanci nie zdołali jeszcze zająć dobrze stanowisk za drzewami, a komisaYz unieść mikrofonu od nagłośnienia (zamierzał wezwać oblężonych do poddania), kiedy z okien półpiętra zagrały serie z broni automatycznych. Rudy Paul zsunął się ścięty na ziemię, a jego kumpel Armand zwinął się z sykiem trafiony w przedramię.

– Mam dwóch! – zaśmiał się Kali wywracając białka oczu.

– Utrzymuj ich na dystans! – huknął Ali, zajmując stanowisko ogniowe w pokoju vis – a – vis. W ten sposób kontrolowali fasadę i tył,,Paradise'u". Boki budynku były ślepe. Automat spuścił żelazne żaluzje na okna hallu. Resztę otworów zabezpieczały solidne kraty. Można było się bronić długo, choć nie w nieskończoność. Beta, która nie znała dalszej części planu, chciała zapytać, do czego wszystko zmierza, kiedy Meff wręczył jej broń i kazał zająć stanowisko na poddaszu. W tym samym czasie Li kończył charakteryzację Lesorta. Aktor zachowywał się biernie. Przyjął do wiadomości, że charakteryzacja na don Diavola dopomoże mu w ucieczce.

– A ja, a ja, co będzie ze mną, ja przecież nie jestem nieśmiertelna? – dopytywała się właścicielka.

Fawson nie reagował na te skamlenia, tylko karmił oczy jej przestrachem. Od jakiegoś czasu cudze cierpienie, bojaźń lub spodlenie sprawiały mu coraz większą uciechę. O ileż Zło było bardziej zajmujące od Dobra!

Tyczasem ukryci za drzewami i samochodami policjanci poczęli wystrzeliwać granaty z gazem (chlubny wynalazek cywilizowanego społeczeństwa), ale starczyło krótkie zaklęcie neoszatana, a pojemniki, zataczając pełny łuk, wracały i eksplodowały w miejscu wyrzutu.

Meff powtórzył sobie w duchu instrukcje z piątego listu stryja. Jak dotąd, wszystko się sprawdziło. Spojrzał na zegarek. Północ. Wyciągnął aerozol i siknął ogniem w stronę łóżka, szafy i grubych kotar. W mgnieniu oka stanęły w płomieniach.

– Nie, nie – wrzasnęła starucha. – Niech pan tego nie robi! Na ten hotel moja rodzina pracowała przez trzy pokolenia! – Jak pijawka uczepiła się jego ramienia i wlokła po podłodze, podczas gdy pociski z zewnątrz siekały dębowe boazerie. – Precz stąd, szatany!

Z pełną premedytacją skierował wylot pojemnika w jej brzuch. Nacisnął. Widział, jak ogień wyżarza w niej otwór z precyzją palnika acetylenowego. Wiedźma wydała przerażający okrzyk. Jej siwe włosy ogarnęły płomienie. Choć pozbawiona wnętrza, dziurawa na przestrzał jak rzeźba Zad – kine'a w Rotterdamie, żyła ciągle. Dopadła okna balkonowego, teraz nie posiadającego szyb, i wypadła na zewnątrz,

ciągnąc za sobą, niczym kometa, ogon dymu i ognia.

Pożar rozprzestrzeniał się, ogniste węże biegły korytarzami z szybkością lontu. Z głuchym buchnięciem, jak polany benzyną, stanął w ogniu hali.

– Co tam się dzieje? – zdumiał się Surel i wrzasnął do radiotelefonu. – Wstrzymać ostrzał! Chyba musieliśmy trafić w zbiornik jakiegoś paliwa.

– A może walczą między sobą – podsunął Łysy, spoglądając w stronę gazonu, z którego dymiły szczątki właścicielki.

– Gdzie jest straż? – wrzasnął komisarz przez radiotelefon.

– Nie będziemy gasić pod kulami – odpowiedział mu flegmatyczny głos komendanta pożarników.

Czerwonozłote jęzory ognia zamieniły parter i podziemie w szalejące piekło. Purpurowa łuna rozlewała się na pół nieba. Mieszkańcy okolicznych domów, przeważnie emeryci, gromadzili się struchlali na trotuarach zapytując, czy jest to już koniec świata?

Jakimś niepojętym zrządzeniem losu włączył się neon nad wejściem i pulsował teraz granatem i czerwienią wśród oszalałej pożogi. Z hukiem runęły schody. Kanonada ucichła. Tylko ze strychu dolatywały pojedyncze strzały. Czyżby oblężeni potracili głowy?

– Wychodźcie, to wasza ostatnia szansa! – Surel wrzeszczał przez megafon, mając nadzieję, że jego głos przebije się ponad huk pożaru. Ogień sięgnął tymczasem poddasza*. Natomiast, ciekawa rzecz, nie ruszał drzew, których gałęzie dotykały w wielu miejscach drewnianych okapów. Łysy domyślał się dlaczego, ale wolał nie komentować.

Na strychu Beta opróżniała magazynek za magazynkiem.

– Powinniśmy już dać nogę, szefie! – powiedziała na widok Fawsona, który osmolony wynurzył się spośród płomieni, ciągnąc zmienionego do niepoznania Lesorta.

– Róbcie swoje – odpowiedział piekielny Agent.

Po raz pierwszy Becie przemknęło przez myśl, że sprawa i dla niej nie wygląda wesoło. Jeśli cała akcja miała polegać na zatarciu śladów, zrobili swoje i należało znikać. Jak dotąd, nie użyli przeciwko policji nawet połowy swoich możliwości. Mogli spopielić wozy, opętać dowódców, zakłócić łączność, ba, nawet skłonić do walki ze sobą. Wobec starożytnych technik diabelskich nowoczesne akcesoria – radar i laser, noktowizory i maski gazowe – musiały okazać się bezradne. A jednak nie zrobili tego. Czyżby Fawson popełniał błędy? A jeśli nie były to błędy? Co miało stać się z nią, z “samotrzeciem"?… Zaklęła potężnie.

Olbrzymia pochodnia – paliły się na równi podłogi, jak cegły, i tylko dziwnym zrządzeniem losu miała ocaleć łazienka z ciałem Marion – dawno uczyniła z nocy dzień. Strzały zamilkły. Policjanci

jeszcze nieufnie, ale podnieśli się ze swych stanowisk. Było na co popatrzeć.

Uchyliła się klapa prowadząca na dach i spośród płomieni wynurzyła się nieduża korpulentna sylwetka. Machając rękami biegła krawędzią dachu, jakby wzywając ratunku. Surel uniósł lornetkę. Nie było wątpliwości, sam don Diavolo znajdował się w cholernych tarapatach.

– A jednak i piekielnikom zdarzają się pomyłki i – zacierał ręce Łysy.

Za Diavolem na dachu pojawiły się cztery postacie. Prawie nie tykając podłoża, biegły za nim, bardziej pokracznym cieniom podobne niż żywym ludziom.

– Nie strzelać – polecił komisarz. – Oni chyba zwariowali!

Don Diavolo dobiegł do krawędzi dachu, poniżej znajdował się gęsty gąszcz krzaków. Mimo wysokości istniały więc pewne szansę przeżycia upadku. Cudzoziemiec obejrzał się, a widząc wyciągnięte pazury prześladowców, skoczył.

I stała się rzecz niewiarygodna. Wir powietrza ogarnął go i wessał z potężną siłą do płonącego wnętrza, które zapadło się natychmiast, tłumiąc śmiertelny krzyk. Czwórka na dachu, oszołomiona, stanęła na moment jak wryta.

– Prędzej, drabiny! Niech twoi ludzie rozpostrą płótno awaryjne – zawołał komisarz do szefa straży.

Strażacy śpieszyli już i bez tej komendy. W krzakach, przypatrująca się iście memlingowskiemu widowisku, Anita gorączkowo odmawiała litanię za konających.

Półdiablętom nie zostało zbyt wiele czasu. Jeszcze nie wierzyli, nie chcieli wierzyć, że ich ziemska kariera dobiegała końca, że czeka ich, w końcu niepełnych szatanów, bliżej nie określona przyszłość.

Z hukiem pękały łamiące się krokwie. Przez moment piekielni funkcjonariusze wahali się, czy nie przyjąć zaofiarowanej pomocy, ale gdzieś z głębi palącego się pensjonatu dobiegł ich kategoryczny głos: “Rozkaz!"

Jeszcze raz zbili się mocniej w jedność. Na oczach ogłupiałych Francuzów powstała dziwaczna kula ciał, która smagana dymem poczęła się toczyć ku środkowi dachu.

Nadwątlona konstrukcja nie wytrzymała. Dach pękł na dwoje jak storpedowany supertankowiec, a żywa kula z wrzaskiem piekielnym i rechotem runęła gdzieś w głąb bardziej bezdenną, niż można sobie wyobrazić. Zwabieni w sobie tylko wiadomy sposób dziennikarze pracowali bez ustanku, pstrykały aparaty i warczały kamery. Nikt jednak nie przypuszczał, że jest to robota jałowa, już nazajutrz wszystkie błony miały okazać się prześwietlone.

Dziwna siła działała wokół pensjonatu “Paradise". Ledwo ścichł

wrzask piekielnej czwórki, a z przepołowionego budynku strzelił w górę gejzer ognia wysoki na kilkaset metrów, wielobarwny i bezgranicznie cuchnący. A potem nagle wszystko się skończyło.

Oczom przywykłym do żaru wydało się, że zgaszono światło. To tylko zniknęły płomienie. Równie szybko, jak się pojawiły. Gdy na polecenie komisarza rozbłysły reflektory, oczom policjantów i gawiedzi ukazał się wypalony szkielet pensjonatu, osnuty dymem i trupim smrodem.

– Udało się – Łysy uścisnął Surela.

– Nie ma w tym mojej żadnej zasługi – westchnął komisarz.

Ogień nie tknął wprawdzie drzew i krzewów, ale pochłonął również karawan zaparkowany obok pomieszczeń gospodarczych. Był to pojazd, o którego kradzieży, włącznie ze zwłokami pewnej – kobiety, meldowano Surelowi po południu. Na zegarkach dochodziła godzina pierwsza. Gdzieś w oddali odezwał się rozbudzony przez łunę kogut.

Mokra od łez Havrankova skończyła modlitwę. Podobnie jak inni obserwatorzy usiłowała zrozumieć, co się właściwie stało. Naraz parę kroków od niej coś się poruszyło. Ktoś od spodu usiłował podważyć klapę studzienki kanalizacyjnej. Pomogła. Z otworu wysunęła się najpierw osmalona ręka, a później szczupła twarz, cała w sadzy.

– Anita – usłyszała znajomy głos.

– Pan żyje?… – wyszeptała.

– Jakoś mi się udało – Fawson wyczołgał się ze studzienki. Był najwyraźniej ledwie żywy.

– Sprowadzę pomoc – zaofiarowała się dziewczyna.

– Nie ma potrzeby, mój wóz zaparkowałem dwie ulice dalej. Tutaj masz, dziecko, adres kliniki. Oddasz mnie doktorowi Chastellainowi… to przyjaciel. A potem… Potem zawiadomisz policję. Na razie potrzebuję trochę spokoju.

– Gratuluję! – Szpakowaty ściskał dłonie swym współpracownikom: Łysemu, Pucołowatemu, Albinosowi – nie sądziłem, że tak dobrze to się skończy.

– Strasznie żałuję, że nie udało mi się ocalić Marion – westchnął Łysy.

– Podsumujmy zatem wszystkie fakty. Co zeznał ten biedaczyna Fawson na policji?

– Mam ksero protokołu – powiedział bezwłosy.

– Chodzi mi tylko o podstawowe fakty. Co wie policja?

– No więc przyznał, że będąc w długach otrzymał od bliżej nie znanego osobnika ofertę pożyczki (dla naszej informacji – propozycję przedłożył niejaki Boruta). Fawson przyjął, a następnie, gdy nie mógł się wypłacić, został wciągnięty do szajki, przy czym jego rola miała

polegać na zakupie dziwnych preparatów, studiowaniu ksiąg i ogólnie pozostawaniu na widoku…

– Tak jak myśleliśmy, żeby nas zmylić – zauważył Cherubinek. Szpakowaty skarcił go wzrokiem, nie lubił, jak ktoś przerywa innym.

– Początkowo usiłował nawet uciekać swym mocodawcom, później jednak im uległ. Nie znał celów bandy, ale przypuszczał, że chodzi tu o narkotyki i udział w międzynarodowej mafii przestępczej. Obserwował też spory 'narastające w szajce między osobnikiem o nazwisku don Diavolo a szefową podgrupy, niejaką Betą. To oczywiście pseudonimy. Prawdziwych nazwisk bandytów nie rozszyfrowano. A odszukane szczątki nie nadają się do identyfikacji. Fawson twierdzi, że jego prześladowcy porozumiewali się między sobą nie znanym mu językiem, stąd trudności w ustalaniu większości faktów. Wczoraj po powrocie z kawiarni został uwięziony w piwnicy – udało mu się z niej wydostać po odkręceniu płyty kryjącej właz do tunelu instalacyjnego. Tak się uratował, natomiast Marion wezwano do Diavola. Nie zna kulis jej śmierci, ale przypuszcza, że uczynił to sam Sycylijczyk, mszcząc się za powiadomienie policji. Przypuszcza też, że właśnie na tle tego morderstwa wybuchła sprzeczka między gangsterami. W wymianie strzałów zginęła właścicielka pensjonatu. Potem przez krótki czas solidarnie banda walczyła z siłami porządkowymi, a później… koniec znamy z autopsji. Policja przypuszcza, że wszyscy zginęli, my wiemy, że wrócili tam, skąd przyszli.

– A Fawson? – spytał szef.

– Oparzenia okazały się powierzchowne i już rano udał się na policję, aby złożyć zeznania. Trochę ich ten fakt zaskoczył, nie mieli pojęcia, że ktokolwiek uratował się i pożaru – informował Albinos. – Pan Meff zamierza wkrótce opuścić Francję i wrócić do domu. Jest niezwykle przejęty śmiercią Marion, a fakt, że była w ciąży, okropnie nim wstrząsnął.

– Ale chyba panna Havrankova szybko pomoże mu się otrząsnąć – dorzucił Pucołowaty – rano dzwoniła dwa razy do szpitala pytając o jego zdrowie. Po południu on z kolei telefonował do niej z komisariatu. Sympatia od pierwszego wejrzenia.

– No i dobrze – powiedział Szpakowaty i zawiązał pękatą teczkę.

– A zatem – zauważył Łysy – na trzy dni przed niebezpiecznym terminem mamy sprawę zamkniętą. Ojciec Martinez stwierdził już wcześniej, że Fawson nie jest szatanem, diabelski kwartet przepadł, a piątka niedobitków organizowana przez don Diavola znajduje się w rozproszeniu i bez dowódcy. Oczywiście, nasze służby nadal będą uważać, czy ktokolwiek z nich nie wychyli nosa ze swych kryjówek. Reasumując: przez kilkadziesiąt lat, do nowej niebezpiecznej konfiguracji gwiazd, mamy spokój.

– Chyba tak – zgodził się Szpakowaty, a kiedy drzwi zamknęły się za ostatnim z pracowników, powtórzył w zamyśleniu, przeciągle – chyba…

XVI.

Klinika doktora Chastellaina, położona na uboczu, ukryta wśród gęstych szpalerów drzew, nie cieszyła się najlepszą reputacją w paryskich kołach medycznych. Istniały nawet złośliwe pomówienia o niedozwolone zabiegi czy tajemnicze praktyki. Zresztą sam Chastellain nie pragnął popularności. Miał zaledwie kilkunastu pacjentów i bliżej nie określone źródła dochodów.

Kiedy blond piękność zjawiła się w środku nocy, przywożąc ofiarę pożaru, doktor osobiście wyszedł do samochodu. Nikt ze zwyczajnego wypadku nie trafiał do jego zakładu. Jeden rzut oka wystarczył, żeby stwierdzić, że pacjent jest tylko osmalony, a oparzenia to dzieło kunsztownej charakteryzacji. Mimo to Chastellain nie wyraził zdziwienia.

– Będzie żył? – nieco drżącym głosem odezwała się Havrankova.

– To pani mąż? – spytał lekarz.

– Znajomy – odpowiedziała – ale prosił, żebym przywiozła go do pana.

– W takim razie wracaj do domu, drogie dziecko. Ja się nim zajmę. Nie sądzę, żeby stan był bardzo ciężki.

Ledwo przeniesiono go do wnętrza lecznicy, Meff uniósł głowę i bąknął tak, żeby nie usłyszał żaden z pielęgniarzy: – Sześć razy sześć.

Chastellain znał hasło. Według zaleceń Meffa założył mu opatrunki i wystawił odpowiednie świadectwo. Nie pytał o nic, choć z nocnego programu radiowego musiał słyszeć o wielkim pożarze na przedmieściu stolicy.

– W czym mogę być pomocny? – spytał po prostu, ukończywszy żmudne wypisywanie całkowicie zbytecznych recept. (Nasz szatan był absolutnie ogniotrwały, zwłaszcza na płomienie własnej produkcji).

– Przesyłka – wycedził jedno słowo Fawson.

Chastellain w milczeniu podszedł do sejfu i z samego dna wygrzebał sześć niewielkich, zapieczętowanych czarnymi pieczątkami pudełek.

– Nie wiem, co zawierają – powiedział.

– Zabieram jedno, to ze złotym emblematem – rzekł Agent. – Pozostałe wyśle pan za pośrednictwem pierwszych lepszych stewardes, 'koszty się nie liczą, do tych miast – tu podał kartkę. – Na lotniskach, zawsze przy wejściu na miejscową pocztę, czekać będą odbiorcy…

– Rozumiem. Hasło stare?

– Nie, tym razem czekający wymówi słowo “Babilon", a stewardesa ‹ma odpowiedź “Dziesięć razy byłam już w Bagdadzie". Aha, przesyłki muszą tam dotrzeć jeszcze dzisiaj. Listę miast po nauczeniu się na pamięć należy spalić. Stewardesom może pan

bajdurzyć, że są to lekarstwa dla pańskich pacjentów. Leki na jakąś dyskretną chorobę. Zresztą przy odpowiedniej gratyfikacji nie będą o nic pytać.

Meff miał jeszcze ochotę dodać, że owe doraźne listonoszki zostaną po spełnieniu misji zlikwidowane, ale ugryzł się w język. Wiedział przecież, że i sam doktor Chastellain, wracając z lotniska miejskim autobusem, ulegnie nieoczekiwanemu atakowi serca…

– Zatem wszystko jasne? – spytał dla formalności.

– Tak jest! – doktor skinął głową zadowolony, że pozbywa się kłopotliwego depozytu. Od czasu kiedy przed trzydziestu laty podpisał w obecności Boruty cyrograf – co zapewniło młodemu lekarzowi, zagrożonemu utratą praktyki lekarskiej, powodzenie i pieniądze – była to zaledwie trzecia okazja rewanżu. Kontrakt okazał się zatem bardzo korzystny. Co się zaś tyczy przykrej konieczności pójścia do piekła, po pierwsze, lekarz był ateistą, a po drugie, wierzył, że dobry fachowiec nawet w piekle załatwi sobie niezłą praktykę.

A poza tym i tak czeka nas wojna atomowa – pocieszał się w chwilach zwątpienia.

Po krótkim odpoczynku na leżance Meff poczuł się jak świeżo wykiełkowany pierwiosnek. We własnym mniemaniu pokonał najtrudniejszą próbę.

Pozostawał ostatni akt.

Piąty list stryja przeczytał jeszcze w samolocie, do którego przesiadł się po porzuceniu pługa śnieżnego. Odczytał i następnie zjadł go, zbulwersowany jego treścią.

Drogi mój – pisał staruszek szatan – w kręgach Wielkich Kotłów, nazywanych w slangu Dołu "Walcownią na Ciepło", krąży od tysiącleci powiedzonko: "Dobry początek ma dobry koniec, chyba że środek jest zgniły". Dlatego też udzielam Ci ostrożnej pochwały, ale nie wbij się w pychę, zwłaszcza przed końcem akcji, ponieważ pycha to grzech dobry dla ludzi, a dla nas zbyteczny luksus, gdyż jak wiadomo, i tak jesteśmy najlepsi. Pod słońcem i pod ziemią.

Ponieważ posiadasz już wykonawców, do wielkiego celu potrzebne są jeszcze dwa elementy: konspiracja i łączność. O finanse się nie kłopocz. Jak mogłeś się przekonać, kwota, którą powierzyłem Ci w mojej skromnej siedzibie, ma tę właściwość, że niezależnie od wszelkich wydatków zawsze jest taka sama, a nawet rewaloryzuje się wraz z galopującą inflacją.

– Ale nie znam ciągle celu – wymamrotał Fawson.

Oczywiście możesz się jeszcze kłopotać, że nie znasz celu przedsięwzięcia. Ale dla Ciebie to nawet lepiej. Śpij spokojnie, wszystkiego zaś dowiesz się już za dwa dni. po złamaniu pieczęci na ostatniej kopercie. Zatem skoncentruj się na dwóch sprawach: konspiracji i łączności. Jak zapewne wiesz, nasza odwieczna konkurencja, Biali, depczą Ci stale po piętach. Wiedzą już, że twój dubler jest zwyczajnym człowiekiem, choć nie

mają pojęcia, że jest tylko sobowtórem. Co zrobić, aby Meff Fawson odzyskał pełną swobodę ruchów w swojej tradycyjnej postaci? Jak pozbyć się kostiumu don Diavola, którego zabiegi na czterech kontynentach postawiły w stan gotowości służby przeciwnika? Trzeba będzie wykonać manewr pozornego oddania pola i poświęcenia wszystkich pionów, aby wprowadzić do gry figury.

Tak, oznacza to wyrok na tego biedaczynę Lesorta, być może Twoją Marion, ale teraz chyba Ci na niej nie zależy. Związek z nią dla diabła o Twojej pozycji byłby doprawdy mezaliansem…

To Marion jest w Paryżu?

Twoja, ośmielę się stwierdzić, była narzeczona przebywa w Paryżu i spędza noce w ramionach sobowtóra!

Dziwka!

Dziewczyna może oddać nam jednak nieocenioną usługę, prowokując najście policji na "Paradise", co umożliwi likwidację Lesorta w kostiumie don Diavola i Twój powrót do własnej twarzy…

Dalej następowało kilkanaście linijek szczegółów, które znamy już z przebiegu rozegranej partii, jak wszystko wskazuje – zwycięskiej; przejdźmy więc od razu do następnej części.

Sprawa łączności. Wiesz, złociutki jak fałszywy pieniądz Bratanku, że w zasadzie jestem tradycjonalistą i przekładam zdrowe widły nad promienie gamma i płynną siarkę nad stos atomowy, aliści w naszym przedsięwzięciu tradycja nie wystarczy. Potrzebna jest superbroń! A w tych dziwnych laickich czasach taką bronią jest informacja i łączność. Amerykanie wygrali bitwę o Midway nie dzięki dzielności swych pilotów; batalia została rozstrzygnięta na ziemi, kiedy ich szyfranci złamali kod japoński. Wniosek nasuwa się oczywisty – kto posiądzie środek łączności niedostępny dla przeciwnika, musi wygrać. Dysponujemy takim środkiem. On właśnie pozwala mi pisać na kartce, którą w tej chwili trzymasz w ręku, odległy ode mnie o tysiące mil i parę wymiarów. Jest to jakby najnowsza forma dawnego dalekopisu.

Wynalazku tego dokonał japoński naukowiec, profesor Kozaki, który w zupełnej tajemnicy prowadził badania od lat czterdziestych naszego stulecia. Jego problem polegał na tym, że nie bardzo wiedział, komu ma swe dzieło przekazać. Własny rząd wydawał mu się zbyt liberalny, Amerykanów uważał jednak za przeciwników, Chińczyków było za dużo. Gryzł się więc ze swoim wynalazkiem jak wąż zjadający własny ogon, a gdy wreszcie dowiedział się, że jego wnuczek wstąpił do ruchu antyatomowego, zniszczył swe laboratorium, wszystkie wyniki badań, a na końcu popełnił harakiri…"

No to chyba nie ma sprawy?

Ale jak sądzisz, dokąd trafił ów Żółtek po śmierci? Do nas. i tu znalazł wreszcie partnera, któremu mógł bez oporów przekazać płód swej

myśli naukowo – technicznej. Według przekazanych projektów wykonano prototypy, a po udanych próbach przekazano je na ziemię. Obecnie znajdują się u naszego starego kolaboranta, niejakiego doktora Chastellaina, który wyda je pierwszemu znającemu hasło…

Szczegółów było bardzo dużo i naprawdę trudno obecnie odtworzyć cały list, tym bardziej że został on przez Meffa zjedzony. Nastąpiło to w momencie, gdy samolot siadał na podparyskim lotnisku. Zbliżała się stewardesa. Meff przeżuł papier, nie zauważywszy, że u dołu strony pod ostatnim zdaniem: “Tylko bardzo Cię proszę, uważaj…", znajduje się wypisane drukowanymi literkami słówko VERTE. Może zresztą nie znał łaciny.

Przesłuchanie w komisariacie Fawson zniósł mężnie. Zresztą komisarz Surel traktował Amerykanina niezwykle wyrozumiale, nieomal po ojcowsku, ubolewając nad losem Ma – rion, współczując z powodu ciężkich przeżyć i zadowalając się podpisem pod protokołem, który zamykał sprawę. Okazał się również tak uprzejmy, że pozwolił skorzystać z telefonu. Fawson naturalnie zadzwonił do Anity.

Dziewczyna była zdumiona, ale i ucieszona jego błyskawicznym powrotem do zdrowia. Meff kuł żelazo, póki czuł, że dysponuje magnesem.

– Muszę się z panią zobaczyć, choćby po to, żeby podziękować za powtórne uratowanie życia. A poza tym, myśmy właściwe nigdy ze sobą dłużej nie rozmawiali…

Zgodziła się nadspodziewanie łatwo. Prosiła tylko o spotkanie wczesnym popołudniem, wieczorem miały z koleżanką wykupiony lot do Szwajcarii. Planowała spędzić tydzień na nartach, korzystając z – obfitych opadów śniegu w wyższych partiach gór. Fawson zaproponował pewien barek przy lotnisku.

– Cóż za zbieg okoliczności, ja również zamierzałem wyjechać – powiedział zgodnie z prawdą. A potem, nie mogąc się opanować, zatarł ręce, co może dla człowieka pogrążonego w głębokiej żałobie było gestem cokolwiek przedwczesnym.

Pożar hotelu “Paradise" spełnił jeszcze jedno doniosłe zadanie. Był sygnałem dla ekipy Meffa. Czerwono – złota żagiew, acz z przyczyn wiadomych nie utrwalona na taśmach filmowych, została rozreklamowana za pośrednictwem massmediów w najdalszych nawet zakamarkach globu. Dziwny, ogromny pożar, ofiary w ludziach, likwidacja przestępczej szajki, cudem uratowany Amerykanin – to stanowczo musiało się znaleźć na pierwszej stronie.

Upiory, zgodnie z ustaleniami, odebrały to jako cynk, że czas nadszedł, trzeba udać się na umówione lotniska i dalej postępować według instrukcji.

Drakulę wiadomość zastała w Kioto, starej cesarskiej stolicy Japonii. Wampir, zmieniony nie do poznania – czaszkę pokrywała

gęsta siwa czupryna, oczy skrywały ciemne okulary, a usta wypełniał pełen garnitur normalnych plastikowych zębów – posługiwał się teraz nazwiskiem doktora Popovici, emerytowanego rumuńskiego hematologa, spędzającego dwa tygodnie na wczasach w Kraju Kwitnącej Wiśni. Była to dobra metoda konspiracji. Dokumentami doktora Popovici Książę posługiwał się z powodzeniem już parokrotnie w czasie swych tajnych wypadów do ojczyzny, gdy gnębiony nostalgią, nie zważając na ryzyko, zapuszczał się w góry Siedmiogrodu, aby krążyć po leśnych ścieżkach i oddychać powietrzem swojej młodości, a czasem patriotycznie łyknąć parę mililitrów zdrowej wiejskiej juchy! A jeśli idzie o specjalizację naukową, na hematologii znał się jak mało kto.

Wilkołak wolał trzymać się mniej uczęszczanych ścieżek. Ogolony i uczesany na jeża zadekował się w schronisku górskim niedaleko Katmandu, gdzie jakoby trenował przed udziałem w boliwijskiej wyprawie na Annapurnę.

Ciekawe, co powiedzieliby o aktualnej kondycji Frankensteina jego starzy koledzy, Borman, Heidrich czy choćby Canaris? Wychodząc z założenia, że pod latarnią najciemniej, niemiecki arystokrata udał się na tygodniową wycieczkę do Izraela. W paszporcie kanadyjskim pod fotografią można było odczytać: “Frank N. Sztajn, zam. w Montrealu". Po wielu operacjach plastycznych nie obawiał się rozpoznania, poza tym jako urodzony służbista z ochotą wypełniał rozkazy, choć mimo upałów zmuszony był nosić obuwie o potrójnej podeszwie. Ziemia Święta paliła go w stopy.

A Topielica? Od paru dni przebrana w męskie szaty koczowała z grupą “czcicieli piachu" na pustyni Mohave. Miała jednak nadzieję, że zanim przyjdzie pora, aby kolektywnie zakopać się w ziemi, otrzyma sygnał rozpoczęcia akcji. Dzień i noc nie rozstawała się z małym tranzystorowym radyjkiem na słuchawki i natychmiast po otrzymaniu sygnału o pożarze wyruszyła do Mexico City, którego port lotniczy wyznaczono na jej punkt kontaktowy.

Analogicznie Drakula skierował się do Tokio, Wilkołak do Delhi, a Frankenstein na słynne z masakry dokonanej ongiś przez terrorystów lotnisko Lód.

A Mister Priap, czy dziś, jak kto woli, Aldo Tortini, nadal tkwił w Nowym Jorku, zgubiwszy swych ewentualnych tropicieli w metrze. Już następnego dnia przepoczwarzył się w beznogiego kalekę i rozpoczął karierę grajka i malarza portrecików od ręki na jednej z ruchliwych ulic Bronxu.

Samolot z Paryża wylądował o 18.20. Wspaniały, do ptaka podobny, Concorde. Dla Brigitte był to pierwszy lot na tej linii, nie miała więc wśród załogi ani bliskich koleżanek, ani żadnego pilota, z

którym mogłaby spędzić noc i dzień odpoczynku przed powrotem. Poza tym należało wywiązać się ze zlecenia. Staruszek, który na lotnisku prosił ją o grzeczność, był tak przejęty, tak zależało mu, aby lekarstwa dotarły na czas, że ledwie znalazła się na ziemi, niezwłocznie ruszyła na poszukiwanie poczty. Przy szklanych drzwiach natknęła się na automatyczny wózek na kółkach ozdobiony napisem “Inwalida Brudnej Wojny", na którym jakiś kaleka wygrywał na organkach Yanfcee Doodle, melodyjkę znaną jej z audycji Głosu Ameryki. Mijała go, gdy nagle przestał grać i rzucił skrzekliwie:

– Przepraszam, mademoiselle, ale czy była pani kiedykolwiek w Babilonie?

– W ruinach Babilonu raz. ale dziesięć razy byłam w pobliskim Bagdadzie.

– A może pani wesprzeć biedną ofiarę ekspansjo – nistycznego militaryzmu i cynicznego pogwałcenia praw człowieka…

Otworzyła torebkę, wyjęła nieduży pakuneczek i rzuciła w fałdę koca.

– Niech panią los w dzieciach wynagrodzi, niech pani szlaki będą wysokie, a loty śmiałe – podziękował inwalida.

Brigitte spiesznie odeszła, jakby czując, że najlepiej będzie szybko zakończyć sprawę. Przesyłkodawca dał jej pięćset dolarów. Trzeba to było wydać. Przez chwilę zastanawiała się, jak najłatwiej dotrzeć z lotniska J. F. Kennedy'ego do miasta.

Tymczasem Aldo Tortini odjechał również szybko sprzed poczty i niebawem z tarasu mógł przyglądać się stalowemu ptakowi ze znakami “Air France". Przyglądał się długo, mamrocząc słowa nie pochodzące z żadnego ludzkiego języka.

Wycieczka na Manhattan zaczęła się pechowo. Taksówka kierowana przez ryżego Irlandczyka na jednym ze skrzyżowań omal nie zderzyła się z ogromnym cadillakiem. Taksówkarz uniknął kolizji, ale zjeżdżając na bok zawadził o latarnię. Poszła szyba…

– Serdecznie przepraszam – tłumaczył się kierowca cadillaca, szybko otwierając portfel i wciskając banknoty spienionemu szoferowi. – Mam nadzieję, że bardzo pani nie przestraszyłem – zwrócił się do Brigitte,

– Mnie nie tak łatwo przestraszyć – powiedziała stewardesa, która wyszła z wozu i oglądała uszkodzenia – ryzyko jest poniekąd moim zawodem.

– Moim też – powiedział winowajca – jeśli pani pozwoli, odwiozę panią gdziekolwiek bądź, choćby na Ziemię Ognistą.

Przyjrzała się uważnie mówiącemu. Mogło być gorzej. Wysoki, barczysty, o ogorzałej twarzy wilka morskiego czy zawodowego organizatora safari. Pomyślała, że właściwie nie ma nic do roboty, a

nieznajomy nie wyglądał na mężczyznę, z którym można się było nudzić.

– Przyjmuję propozycję zadośćuczynienia, nazywam się Brigitte Leblanc.

– A ja Larry Bell – uścisnął jej dłoń mocno, ale z wyczuciem.

Śmieszna, wesoła, postrzelona Brigitte, o szczupłych nogach, małych piersiach i szelmowskim uśmiechu. Czasami dobrze być nierozsądną. Czy mogła przypuszczać, jedząc kolację na Piątej Alei w hotelowym barku, że w tym samym czasie jej koleżanka Babette leży martwa w kostnicy Tel – Awiwu razem z piątką ofiar bomby, która detonowała pod mikrobusem zdążającym z lotniska do miasta?

Czy tańcząc z Larrym we włoskiej knajpie i pałaszując rozmaite frutti di marę pomyślała o smagłolicej Antoinette, którą w pięć minut po wejściu do pokoju w delhijskim terminalu ukąsiła królewska kobra? Bell opowiadał ze swadą o tajnikach żeglowania na ryczących czterdziestkach, a tymczasem Antoinette była w agonii. Prawdopodobnie dałoby się ją jeszcze uratować, ale nie wiedzieć czemu, solidne drzwi zostały zamknięte od zewnątrz, telefon wyłączono, instalacja alarmowa nie działała, a okno, jak to bywa w klimatyzowanych wnętrzach, było nieotwieralne i nie do rozbicia. Kiedy po kilku godzinach do pokoju stewardesy zajrzała hinduska pokojówka, na ratunek było już za późno.

Szampański wieczór! Ostatni w życiu Simone, szczupłej i drobnej jak Edith Piaf. Cóż podkusiło ją, aby zaraz po przybyciu do Mexico City nurkować samotnie w pustym o tej porze basenie hotelowym? Nagły, niespodziewany kurcz, rozpaczliwe bicie dłońmi o wodę…

W tym samym czasie roznamiętniona pocałunkami samotnego żeglarza Brigitte, we wspaniałym apartamencie dla nowożeńców, niepomna skrupułów ani zobowiązań wobec narzeczonego niedojdy, do ostatka powtarzająca “non, non!". uległa. A gdy nastał ranek i słońce zajrzało do hotelowej sypialni, z lekkim zażenowaniem dostrzegło na wpół dziecinną buzię stewardesy na szerokich piersiach morskiego wilka…

Po przeciwległej stronie globusa, w tokijskiej klinice umierała na skutek zatrucia wysoka jak drabina Mirelle – stały obiekt przyjacielskich docinków koleżanek z “Air France".

Tymczasem panna Leblanc miała sny kolorowe, fajne, beztroskie. Parę razy w nich pojawił się jej Larry. Nie ma co, ten facet był wspaniały. A ile znał wesołych sztuczek i kawałów. Potrafił jeden banknot trzymany przez nią w ręku rozmnożyć na sześć identycznych, nieoczekiwanie wyjął barmanowi kieliszek z nosa, a pstryknięciem palców potrafił zmienić koniak w zamkniętej butelce w coca – colę, co zmusiło kelnera do trzykrotnego udawania się do barku.

Ten wspaniały człowiek miał tylko jedną rzecz nieprzyjemną –

ręce. Cały dzień nie zdejmował rękawiczek, w kawiarni panował półmrok, tak że w całej okazałości Brigitte zobaczyła je bardzo późno. Były czerwone, brzydkie.

– Skutek odmrożeń – wyjaśnił Larry Bell – cena przygody w Arktyce.

Prosił, aby opowiadała mu jak najwięcej o sobie. O swej pracy, przeżyciach. Szczegółowo pytał o ostatni lot. Może zdarzyło się coś ciekawego?

– Nie, wszystko było w porządku – odpowiadała Brigitte zamykając mu usta pocałunkiem. Czuła się autentycznie zakochana. No, może za mocne słowo, urzeczona Nigdy w życiu nie natrafiła na równie wspaniałego mężczyznę. Inna sprawa, że o przesyłce i spotkaniu z kaleką nie opowiedziałaby nawet rodzonej babci.

Bell nie spał od dłuższego czasu. Czując słodki ciężar na piersi, myślami był bardzo daleko. Zastanawiał się, wysilając całą swoją inteligencję – co przesłał przed swą śmiercią (jeśli wierzyć opowieściom prasy o pożarze) don Diavolo swemu wspólnikowi i nielojalnemu prorektorowi Szkoły Upiorów o przezwisku Mister Priap?

Przekonanie Fawsona, że rozgrywka z Anitą nie będzie trudna, a mecz zakończy się wynikiem wysokobramkowym, wynikało z dwóch przesłanek: przeświadczenia, że jego walory zewnętrzne zrobiły na dziewczynie oszałamiające wrażenie i ponadto z informacji, że jest to istota skromna, nie zepsuta, a więc z ogromnymi nie wykorzystanymi zasobami uczucia, które przy umiejętnym podejściu będzie można do woli eksploatować niczym kopalnię odkrywkową. Meff nie zakładał szybkiego szturmu i bezwarunkowej kapitulacji, chciał pobawić się w wojnę oblężniczą. Zamierzał rozkochać dziewczę, omotać je, a potem dopiero, jak wytrawny pająk, przystąpić do konsumowania ofiary.

Poza tym obecny Meff nie był już tym samym niewyżytym podrywaczem z lotniska Orły, który po raz pierwszy skierował wzrok na Havrankovą. Wówczas zachwycił się nią naturalnie, samczo, zapragnął jej jak najwspanialszej zabawki, i to na stałe. Obecnie, nasiąknięty diabelstwem jak alkoholik wódką, marzył przede wszystkim o rozkoszach psychicznych, jakie może dać deprawacja niewinności, zbezczeszczenie dobra.

Anita pociągała go, ale drażniła zarazem swą szlachetnością i bezinteresownością. Chciał przedrzeć się przez tajemnicę jej pięknej buzi, dotrzeć do ciemnych komórek na dnie jej świetlanej duszy (musiały być takie) i wywlec je na światło dzienne. Marzył o występku z Havrankovą. W snach jawiły mu się erotyczne obrazy, przy których Emmanuelle musiałaby ujść za bajeczkę dla grzecznych chłopców.

– Proszę sobie wyobrazić, jadę sama – powiedziała piękna

Czeszka, gdy usiedli przy stoliku lotniskowej kawiarenki.

– Czyżby coś się stało? – zapytał Meff.

– Sylwia przed trzema godzinami złamała nogę. Dzwoniła do mnie i opowiadała. Jest okropnie zmartwiona i zszokowana. Mówiła, że podcięło ją coś niewidzialnego, gdy schodziła ze schodów…

– Nie ma rzeczy niewidzialnych – uśmiechnął się Meff.

Popatrzyła na niego swymi ogromnymi, wilgotnymi oczami i powiedziała poważnie:

– A błogosławione duchy?

– Duchy, a zwłaszcza błogosławione, nie podcinają nóg panienkom udającym się na narty. Co zamówimy, koniaczek?

– Poproszę lody – powiedziała, ślicznie wyginając kształtne usta.

– W takim razie ja również lody. Z owocami.

A potem rozmawiali. Głównie o archeologii. Havran – kova opowiadała o ostatnich wykopaliskach w Jerycho, gdzie jak dotąd nie natrafiono na jakiekolwiek obiekty różniące się od domów mieszkalnych; nie było ani pałaców, ani świątyń.

– Czyli jest to dowodem, że wiara i kult religijny to rzeczy późniejsze, nabyte, produkt ludzkiej alienacji w procesie rozwoju sił wytwórczych – zauważył Fawson.

– Niekoniecznie, może wtedy każdy miał Boga w sercu.

Później mówili o rodzinie i Meff czujnie sprzedał informację, że jak dotąd jest kawalerem, co zazwyczaj podnosiło jego wartość w oczach przyzwoitych panienek (przeciętnie o około 72%). Anita opowiedziała mu trochę o sobie. Rodziców nie znała, umarli w dzieciństwie wkrótce po przybyciu do Francji, wychowywała ją ciotka, a gdy umarła, Havrankova miała wtedy około dziesięciu lat, zajęły się nią zakonnice. Parę lat przebywała na południu Francji. Kiedy miała siedemnaście lat, nieoczekiwanie odnalazła ją daleka kuzynka Sonia, stale mieszkająca we Włoszech. Wówczas po raz pierwszy opuściła na dłużej klasztor i spędziła trzy cudowne miesiące w Italii. Florencja, Rzym, Neapol, Capri… Gdy mówiła o tej podróży, w oczach można było dostrzec cały esencjonalny błękit włoskiego nieba. Sonia koniecznie chciała dobrze wydać ją za mąż. Sama zamężna (małżonek dobrze sytuowany architekt) – uważała, że jest to jedyny rozsądny rodzaj kariery dla przyzwoitej kobiety. Anita była innego zdania. Pompeja i Forum Romanum rozbudziły w niej namiętność do antyku. Chciała studiować. Po rocznym pobycie na uniwersytecie w Rzymie uznała jednak, że lepiej będzie przenieść się na Sorbonę.

Meff wywnioskował, że stosunki z Sonią, a ściślej mówiąc jej mężem Carlem, zdecydowanie się popsuły. Anita przyjęła w formie pożyczki niewielką stałą pensję od kuzynki i przeniosła się do Paryża. Było to pół roku temu. Pensja starczała na opłacenie bursy i zapewniała skromne utrzymanie. Jako wybijająca się studentka

otrzymała stypendium, a ponadto dorabiała trochę tłumaczeniami z włoskiego. Niekiedy decydowała się również na pracę w charakterze baby – sitter.

Havrankova opowiadała o sobie dość długo, aż wreszcie zerknęła na zegarek.

– Muszę jeszcze sprzedać bilet Sylvii – powiedziała przepraszająco.

– Z tym nie ma najmniejszego kłopotu – stwierdził Meff – ja go kupuję.

Popatrzyła na niego z pewnym zdziwieniem:

– Pan też wybiera się do Szwajcarii?

– Nie mam akurat nic do roboty.

– A umie pan jeździć na nartach? Ja trochę trenowałam, w Pirenejach…

– Próbuję.

Wstali. Havrankova mimo protestów Fawsona zapłaciła za siebie.

– Ale przecież pan poza teczką nie ma żadnych bagaży! – zauważyła zaskoczona, gdy zmierzali w stronę kontroli celnej.

– Jedyny mój bagaż to ja sam. A i to dość kłopotliwy.

Całe długie życie marzeniem Belfegora było zostać podwójnym agentem. Czując, że jego gra z Piekłem może któregoś dnia zakończyć się ciężkim poparzeniem, zawczasu przygotował sobie wyjście awaryjne. Usiłował flirtować z konkurencją. Inna sprawa – Biali nie byli najlepszymi kontrahentami. Uważając Belfegora (i słusznie) za zakamieniałego grzesznika i wyrzutka społeczeństwa, nawet słyszeć nie chcieli o angażowaniu go do regularnej służby wywiadowczej. Owszem, przyjmowali jego nierzadko cenne informacje, ale zawsze nieodpłatnie i nie prosząc o więcej. Kiedy rektor dopominał się przynajmniej o wyrazy uznania, okręgowy administrator Białych odpowiadał: – Kiedyś będzie ci to policzone.

Zatem choć inwestycja była małoprofitowana, fałszywy czort uważał ją za przyszłościową.

Afera z don Diavolem, któremu udało się mimo wszystko opuścić Zamek na Lodzie, sprawiła, że nawet za kołem polarnym zaczęło się Belfegorowi robić gorąco. Czuł, że pora czmychnąć. Marzył o zemście na Gnomie. Przeczuwając jednak, że wydarzenia w uczelni są tylko fragmentem większej łamigłówki, wpadł na pomysł zabawy w detektywa. Zniszczyć Priapa i zarazem rozgryźć całą grę. Po takim prezencie – uważał – Biali pomimo wszelkich doktrynalnych uprzedzeń musieliby go wziąć do siebie, i to nie na szeregowca!

Stację polarną opuścił całkiem chytrze. Po prostu nadał telefonogram o epidemii, która wybuchła w bazie, co już po paru godzinach spowodowało przysłanie helikoptera. Rektor załadował

paru uczniów, którym wcześniej zaaplikował porcję zarazków zapalenia opon mózgowych, i konwojując ich, udał się w cieplejsze strony. W centrali wziął zaległy urlop i wnet mógł poczuć się wolnym człowiekiem. Z piekłem wolał nie szukać kontaktu, niepewny, czy Diavolo przesłał jakiś raport czy też nie.

Nawiązał natomiast rozmowy z konkurencją. Biali tradycyjnie z uwagą wysłuchali jego relacji; nie skomentowali ich, a jedynym, co zdołał z nich wycisnąć, była informacja, że ślad Gnoma został zgubiony w Nowym Jorku.

Rektor ogolił brodę, wyjął z dawna przygotowane dokumenty na nazwisko Larry Bell i podążył na wschodnie wybrzeże.

Poszukiwanie Priapa metodami tradycyjnymi było niewykonalne, a poza tym wymagało ludzi i czasu. Larry (bo tak będziemy go teraz nazywać) nie dysponował ani jednym, ani drugim.

Przejrzał utrwalone na mikrofilmie dossier Priapa. Chytry karzeł miał szerokie, choć charakterystyczne emploi! Sztuki cyrkowe, udawanie kaleki, nienormalnego dziecka, kukiełki, zapadanie w sen zimowy, praca w charakterze poprawiacza losu w mechanizmach maszyn losujących i stołów z ruletą. Inne zawody możliwe to człowiek – pająk, człowiek – mucha, inspektor urządzeń kanalizacyjnych, pirotechnik, sutener, rzecznik prasowy, eksponat w ogrodzie zoologicznym…

Belfegor dokonał szybkiej analizy – większość wymienionych zajęć wymagała pewnego czasu wdrażania, z dnia na dzień najłatwiej było zostać kaleką (Priap nawet nie musiał nim zostawać) albo zapaść w sen zimowy. Tyle że sen wykluczał udział w dalszym spisku. Zatem kaleka.

Ile może być kalek w czternastomilionowej aglomeracji? Dużo. W tej sytuacji rektor postanowił zdać się na wypróbowaną Grę Swobodnych Skojarzeń. Nastawił w swym zegarku budzik, cofnął wskazówkę o kilkadziesiąt sekund i po skoncentrowaniu zaczął kojarzyć:

– Priap – bożek, bożek – szef, szef – prezydent, prezydent – Kennedy… Piiiik! – przeciągły dźwięk elektronicznego budzika przerwał ciąg skojarzeń. Belfegor zamyślił się. Czyżby chodziło o jakiś zamach? A może Gnom ukrył się w dzielnicy irlandzkiej?

Znów cofnął wskazówkę i spróbował jeszcze raz:

– Mister – Uniwersum, Uniwersum – Świat, Świat – Ziemia, Ziemia – Powietrze, Powietrze – Lot…

Piiiiik!

Cholera, co mogło łączyć prezydenta z lotem albo lataniem? Może ostatni wyjazd do Dallas… Nagle wzrok jego padł na mapę Nowego Jorku. Już wiedział. Nie mogło być pomyłki! Intuicja podpowiadała mu lotnisko im. J. F. Kennedy'ego.

Trafił w dziesiątkę.

Dostrzegł Priapa prawie od razu. Gnom mocno się zmienił, ale Larry poznałby go i pod ziemią. Było to w momencie, gdy zgrabniusieńka stewardesa rzuciła mu jakiś datek. Ale było coś w tym geście zastanawiającego. Choć logika nakazywała iść za Gnomem, Bell, przystojny i na oko młodszy, o około czterdzieści lat od siebie, skierował się za dziewczyną. O wydarciu karłowi przesyłki w tłumie ludzi nie miał co marzyć, poza tym półdiabeł w bezpośrednim starciu nie dałby żadnych szans najlepszemu nawet iluzjoniście. Poszedł za Brigitte, i nie żałował tego.

XVII.

Jeśli wynalazek profesora Kazaki zostanie kiedykolwiek upowszechniony, stanie się niewątpliwie tym dla wieku XXI, czym dla naszego stulecia były odkrycia Becquerela i małżonków Curie. Być może zresztą dojdą do niego, niezależnie od genialnego Japończyka, uczeni innych krajów. Może już im się to udało, ale przezornie wolą się z tym nie ujawniać.

Możliwość istnienia fal biologicznych dopuszczana była od dosyć dawna, z tym że szukając istoty zjawiska, usiłowano łączyć je z elektromagnetyzmem czy promieniowaniem przenikliwym. Kazaki jako pierwszy założył, że fala biologiczna, której przejawami są: telepatia, porozumiewanie zwierząt i okultyzm, ma bardziej metafizyczny niż materialny charakter.

Fala szybsza od światła, absolutnie przenikliwa – nie odkryto dotąd zapory mogącej ją powstrzymać – czy można sobie wyobrazić coś równie niesamowitego!

Znane powszechnie doświadczenia z królikami mogłyby potwierdzić koncepcję Kazakiego. Tyle że prowadzący eksperymenty nie wyciągnęli z nich odpowiednich wniosków. Choć samo doświadczenie było ciekawe. W opuszczonym na dno morza batyskafie automat zabijał młode króliczęta, których matka, odległa o tysiące kilometrów, miała wszczepioną w czaszkę elektrodę. W momencie śmierci potomstwa następowała gwałtowna reakcja w mózgu królicy Porównanie czasu dowodziło, że reakcja następowała szybciej, niż mógłby dotrzeć do matki impuls pędzący z prędkością światła.

Nie miejsce i pora tłumaczyć szerzej teorię Kazakiego, która obok korzeni naukowych sięgała głęboko istoty wierzeń wschodnich z niebłahym udziałem zasad reinkarnacji. Fakt, że na Dole znaleziono sposób na jej wykorzystanie. Polegał on na tym, że w odpowiednich pojemnikach umieszczono długowieczne szczepy nadzwyczaj wrażliwych bakterii, mogących na biologiczny impuls kuzynów z drugiego pojemnika kurczyć się lub rozkurczać z szybkością miliona razy na sekundę. Starczyło więc znaleźć stymulator, który byłby zdolny powodować takie działania drobnoustrojów, oraz rejestrator, który przetwarzałby reakcje bakterii na informacje przesyłane poprzez fale biologiczne w normalne impulsy elektryczne.

Ot i wszystko. Tajemnicze pudełka, które otrzymał do dyspozycji Fawson, były po prostu urządzeniami nadawczo – odbiorczymi, a zarazem przystawkami do telewizorów, dzięki czemu impulsy odbierane i wysyłane przez żyjące wewnątrz bakterie mogły przybierać kształt obrazów na ekranie i dźwięku w mikrofonie, będąc w locie całkowicie nieuchwytnymi dla tych, którzy nie dysponowali

podobnym urządzeniem.

W ten sposób, zaopatrzywszy aparaty w 10 – woltową baterię płaską i włączywszy wtyk do gniazdka anteny byle odbiornika, mógł Meff Fawson porozumieć się z piątką swych agentów, niezależnie czy znajdowaliby się na dnie Rowu Mariańskiego, na biegunie południowym czy na Księżycu. W wypadku kontaktu dźwiękowego niepotrzebny był nawet dodatkowy odbiornik.

Meff przypuszczał optymistycznie, że wianek Havrankovej zostanie zgubiony w pewnym sympatycznym hotelu w Bernie i w tym celu nie szczędził odpowiednich wysiłków.

Wybrał wariant liryczny. Zaprosił Anitę na kolację, nie szczędził komplementów, opowiadał o swej młodości na rancho u wuja hodowcy, o pracy projektanta, unikając jednakże męsko – damskich drażliwości. Dziewczyna wydawała się chłonąć jego opowieści z rozszerzonymi zainteresowaniem oczami, z policzkami lekko zaróżowionymi na ów słynny łososiowy kolor, który zapewnić może jedynie autentyczne dziewictwo albo pudry najwyższej marki.

Zamówił szampana. Niestety, Anita okazała się abstynentką. Wypił sam. Zaproponował taniec.

– Nie umiem tańczyć – powiedziała rozbrajająco.

I faktycznie nie umiała. Odprowadził ją do pokoju, ale żadna z czytelnych aluzji na temat możliwości kontynuowania rozmów nie została snadź prawidłowo odczytana, bo dziewczyna zdecydowanie pożegnała go na progu. Usiłował ją pocałować, otrzymał wydzieloną strefę na czole odległą od rejonów jego zainteresowań jak Grenlandia od dżungli Konga.

Starzeję się czy co – pomyślał wściekły. Przez cały czas sympatycznej konwersacji w żaden sposób nie udawało się mu skrócić dystansu. Wokół Havrankovej rozpościerał się jakby pęcherzyk ochronny, którego nie potrafił przebić. Brał ją za rękę i miał do czynienia z ciepłym lodem, patrzył w jej oczy i tonął beznadziejnie, bez możliwości odbicia się od dna.

Przez moment zastanawiał się, czy w środku nocy nie przeniknąć przez ścianę, ale po pierwsze, pokoje wyłożono jakimś dziwnym, odpornym na przenikanie antychrystów tworzywem, a po drugie, bał się, by nie spalić wszelkich mostów. W wypadku gdyby mu się teraz nie udało…

Na moment przed zaśnięciem ujrzał oczyma wyobraźni twarz Marion i jej ręce rozpaczliwie bijące pianę, ale odgonił ten obraz.

Ciągle jeszcze jest we mnie za dużo człowieka! – pomyślał i wyciągnął z zanadrza ostatni list stryja. Znał już technikę czarciego dalekopisu. Papier nasączono roztworem z martwymi bakteriami, podatnymi jednak na falę biologiczną swych współplemieńców – ich emisja powodowała charakterystyczne czernienie papieru. Nic

skomplikowanego. List będzie czytelny rano – najpóźniej więc rano dowie się celu tej niewesołej zabawy, w której przydzielono mu rolę ni to demiurga, ni bezmyślnego narzędzia. Zdążył tę funkcję polubić.

Ile lat miał Belfegor? W zasadzie siedemdziesiąt osiem, ale wszystko wskazywało, że trzydzieści sześć. Za pierwsze dotacje z Dołu przebył gruntowną kurację geriatryczną, w której najważniejszym elementem było otrzymanie hormonów od pewnego kameruńskiego goryla, co podniosło atrakcyjność jego magnificencji wobec płci pięknej w pięćnasób. Zachwyty Brigitte nie były czymś wyjątkowym. Iluzjonista łączył erotyczny kunszt starszego pana z młodzieńczą witalnością, kulturę pieszczot z żywiołowością, gruntowną wiedzę z pomysłowością szczeniaka.

Tego jednak poranka nie karesy były mu w głowie, choć ciepłe, wtulone weń ciało stewardesy dawało TTIU tyle rozkoszy, ile nie przyniosłaby nawet najlepsza japońska poduszka elektryczna.

Larry myślał. Myślał i wyciągał wnioski. Być może jakiś mocodawca don Diavola, w momencie gdy ten wykonał swą misję, stwierdził, że sycylijski czart jest już niepotrzebny i w swoisty sposób “odwołał" go z ziemskiej placówki. Natomiast stewardesa posłużyła jako bezwiedny łącznik do nawiązania kontaktu ze zwerbowanym. Zaraz! Ale przecież ze słów Agenta wynikało, że nowo zaangażowanych było więcej. Brigitte spotkała się tylko z Priapem. Wniosek – inni znajdowali się w różnych miastach. Tak zafascynowała go ta myśl, że wysunął się z łóżka, przeszedł do sąsiedniego pokoju, spełniającego funkcje recepcyjne, i zadzwonił do “Air France". Nie do nowojorskiego przedstawicielstwa – wprost do centrali. Sympatyczny młody człowiek już po pierwszych słowach, słysząc, że cudzoziemiec zamierza pytać o stewardesy, wykrzyknął:

– A daj pan spokój! Jakbyśmy mało mieli nieszczęść.

Bell z najwyższym trudem od panienek na służbie wyciągnął informację, że zdarzyło się kilka nieszczęśliwych wypadków. Po godzinie rozmaitych telefonów obraz się wypełnił. Larry wiedział o Babette w Tel – Awiwie, Antoinette w Delhi, Simone w Mexico City i Mirelle w Tokio. Same nieszczęśliwe przypadki.

Interesujący rozrzut – pomyślał i zajrzał do śpiącej Brigitte. Jak te młode dziewczyny potrafią mocno spać, chociaż dookoła dzieje się tyle ciekawych rzeczy!

Jeśli jego rozumowanie było prawidłowe, świeżo upieczonej kochance groziło śmiertelne niebezpieczeństwo. Dziwne, że w ogóle jeszcze żyła. Przez moment Bell zastanawiał się, czy nie powiadomić o swych wnioskach Białych, ale doszedł do wniosku, że to w niczym nie pomoże. Zawsze lepiej umieli propagować Dobro, niż efektywnie walczyć ze Złem. Nie, doprowadzi sprawę do końca sam! Tym bardziej

że wiedział, na co stać Gnoma. Telefonicznie zamówił do pokoju śniadanie i gdy zostało dostarczone, zanim jeszcze czułym pocałunkiem obudził Brigitte, wlał parę kropel pewnego specyfiku do filiżanki z białą kawą. Zamieszał…

Concorde startował o szesnastej. Natłok przewozów o tej porze roku skłaniał towarzystwa lotnicze do sezonowego skracania czasu przerwy dla załóg. Kapitan Melleray z niepokojem zerkał na zegarek. Ciągle do pełnego stanu brakowało jednej stewardesy. Tej nowej.

– No nie – powiedział do drugiego pilota – tylu ludzi nie będzie czekać z powodu jednej kobitki. Startujemy.

Kiedy srebrzysty ptak wzbijał się ponad Atlantykiem, nikt z załogi i pasażerów nie przypuszczał, że za półtorej godziny wszystkich pokryją fale oceanu. Cóż za trudność dla Mr. Priapa, mając opanowaną praktyczną niewidzialność, wrzucić do luku bagażowego odrobinę wybuchowego plastiku ze starannie nastawionym zapalnikiem czasowym.

Brigitte obudziła się dopiero wieczorem. Była zrozpaczona i przekonana, że straciła pracę.

– Dlaczego mnie nie obudziłeś – krzyczała na Larrego – ja się chyba zabiję!

Nic nie mówiąc pociągnął ją do radioodbiornika. Po raz kolejny donoszono o jednej z największych katastrof lotniczych. Pobladła. Potem podsunął jej wycinki i teleksy o losie jej pięciu koleżanek.

– Czy teraz nie będziesz już miała przede mną żadnych tajemnic? – spytał.

Kiwnęła głową i wybuchła dziecinnym płaczem.

Ostatni to mój list, Drogi Bratanku, i gdy przeczytasz go, łacno pojmiesz, że nie może być następnych. Na wstępie proszę Cię o zimną krew. To, co przeczytasz, trwoży nawet mnie, chociaż jestem całego zamysłu autorem. Napisałem Ci już, że do nas należeć musi ostatni ruch na geoplanszy. Ten świat ginie, ale, do krocset, nie pozwolimy, żeby było to zasługą marnych ludzi! My zrobimy koniec świata. Jutro!

Meff na moment przerwał czytanie i przymknął oczy. O parapet okna w berneńskim hotelu bębnił jesienny deszczyk, z dołu dolatywał zwykły jazgot ulicy. Fawsonem wstrząsnął dreszcz i choć znał odpowiedź, jeszcze raz dla porządku zadał sobie w myśli pytanie: Czy ja śnię?!

Nie, Ty się dopiero budzisz. Budzisz się do ostatniego etapu misji, i zaprawdę powiadam Ci, nie żałuj tego świata, bo nie udał się on, oj, nie udał! Maluczko, a sam się unicestwi. Pisałem Ci już o tym – od pewnego czasu ani my. ani Szanowna Konkurencja nie posiadamy najmniejszego wpływu na jego losy. Spróbuj zaprzeczyć. Powiesz, że są jeszcze regiony żarliwej wiary, bastiony dobra i środowiska mniej zepsute. Możliwe, ale po

pierwsze, przeważnie kwitnie tam wiara płytka, stanowiąca ekwiwalent niedostatków w innych dziedzinach, a jeśli nawet jest głęboka, to okolice zdrowsze stanowią ledwie niewielkie enklawy, ba, dalekie peryferie globu. Nie tam znajdują się główne teatry wydarzeń, a przede wszystkim nie tam pisze się scenariusze dziejów współczesnych. Oczywiście, wykonanie końca świata pozostawimy im samym, ludziom, ale nastąpi to z naszej inspiracji – my podamy czas i metodę. Zaś Twoi wypróbowani współpracownicy stanowić będą pięć zapalników detonujących beczkę prochu, którą jest nasza poczciwa Kula. Powiem Ci jeszcze, dlaczego decydujemy się na to teraz. Niewykluczone, że instynkt samozachowawczy mógłby w jakimś momencie skłonić ludzi do rozsądku i odsunąć miecz Damoklesa. Może się też zdarzyć (w co osobiście wątpię) jakiś wielki zryw, odnowa moralna gatunku, masowe nawrócenia. Są i dziś zakątki o takowej tendencji. Słyszałeś choćby o Nowym Mahdim, Proroku, który od paru lat zdumiewa nie tylko wyznawców islamu. Obecnie liczba tych, którzy musieliby zostać potępieni, w porównaniu z gremium zbawionych, jest dla nas niesłychanie korzystna, a nie masz pojęcia, jak oni tam, na Dole, lubią statystykę, chociaż w tym, co podsuną Lucyperowi, liczba potępionych wyniesie niezależnie od wszystkiego i tak 99,9°/o.

Koniec świata! Tylko w pierwszej chwili brzmi to tragicznie. Mam przecież na myśli zagładę świata ludzi, świat duchów pozostaje, ba, nie posiadając materialnych obciążeń, prosperować będzie znacznie lepiej. A poza tym, mówmy otwarcie. Nasz czyn ma wszelkie cechy samoobrony. Gatunek ludzi z oporami, ale się rozwija. Wprawdzie naszym agentom (zresztą na tej płaszczyźnie solidarnie współdziałaliśmy z Białymi) udawało się jak dotąd tak stymulować rozwój nauki, że wepchnęliśmy fizykę w ślepą uliczkę atomu i kosmosu, skutecznie blokując wszelkie kanały mogące doprowadzić do odkrycia innych wymiarów, które przecież są w zasięgu wyciągnięte; ręki. Odkrycie Kazakiego było jednym z pierwszych wyłomów w tzw. naukowym światopoglądzie. Ale przyszły i następne. Parę lat temu, chyba o tym słyszałeś, doszło do fali samobójstw w pewnym zespole badawczym uniwersytetu w Princeton – musieliśmy to zorganizować, byli o krok od zdarcia ostatniej zasłony. Na nasz karb trzeba też położyć parę katastrof samochodowych wybitnych biochemików, ale przy szczupłości kadr nie możemy upilnować wszystkich. Zresztą sam poznałeś te kadry. Pełnym diabłem jesteś tylko Ty, reszta to półszatany, a więc istoty przynajmniej częściowo śmiertelne, coraz słabsze… A wyobrażasz sobie, co by się stało w momencie wynalazku transprzestrzennika (urządzenie do dowolnego zmieniania wymiaru) i eliksiru życia? Co się zwykle ze sobą łączy. Ludzie, mało że nieśmiertelni, a w każdym razie bardzo długowieczni, staliby się od nas całkowicie niezależni, co więcej, mogliby wdzierać się bezkarnie do naszego świata. Rozdeptaliby Piekło tysiącami turystów, więcej, mogliby uwolnić wszystkich znajdujących się tam potępieńców.

Ale co tam Piekło. Osiągnąwszy władzę nad wymiarami, ludzka tłuszcza wdarłaby się i do Nieba. Czego już w ogóle sobie nie mogę wyobrazić! Masz pojęcie, Bratanku, kochany jak królowa brytyjska przez swych poddanych?!

Święty Piotr w charakterze obsługi kasy biletowej. Błogosławieni jako przewodnicy albo sprzedawcy napojów rzeźwiących. Horribile dictu!

No, ale dość, bo mój list zmienia się powoli w notatnik agitatora. A powinien być tylko rozkazem Najniższego Dołu, który, chcesz czy nie chcesz, musisz wypełnić!

A gdybym nie chciał?

A gdybyś nie chciał? No cóż, mimo całej sympatii dla Ciebie jako najbliższego krewnego prawo jest surowe. Umarłbyś niezwłocznie i, odarty z diablego immunitetu, jako szeregowy potępiony (swoją duszę sprzedałeś wszak za ów milion "zielonych"), poszedłbyś na samo dno, do ognia, siarki i innych tak wymyślnych męczarni, że dobre wychowanie nie pozwala na ich wymienienie…

Meff lekko zaniepokojony głębiej zaczerpnął powietrza. Gardło miał suche jak nora pustynnego lisa.

Ale nie mówmy o rzeczach przykrych, gdy w istocie czeka nas pyszny fajerwerk. Owszem, nie stać nas na inwazję potworów w skali apokaliptycznej. Piekło podlega takim samym prawom jak kosmos, gdzie gwiazdy gasną, a galaktyki rozpraszają się. Starzejemy się, posiadamy coraz mniej energii, temperatura spada. Oczywiście, starcza ognia dla potępieńców, natomiast podróże powrotne na ziemię, tak łatwe ongiś, dzisiaj są prawie niepodobieństwem. Energia, którą obecnie zużywam na przekazanie listu, powoduje wyłączenie kilkuset kotłów i niedogrzanie tyluż następnych. To wyczerpywanie się energii stanowi jeszcze jeden powód rozpoczęcia akcji! Naszej samoobronnej akcji!

Jak już powiedziałem, ludzie ludziom sami zgotują ten los. Oczywiście będzie ważna, bo jakżeby inaczej. Trzecia, ostatnia, definitywna! Nasi eksperci uważają, że przy obecnym naprężeniu stosunków międzynarodowych wystarczy sprowokować tylko uderzenia wstępne, potem już poleci samo, aż do ostatecznego wyczerpania się magazynów, co sprawi, że trzecia planeta układu stanie się bardziej jałowa niż Księżyc i nie zdrowsza od Wenus.

Jak uczynić to, dysponując zaledwie pięcioma nie pierwszej młodości fachowcami? Po pierwsze, potrzebny będzie punkt dyspozycyjny. Kryjówka. Najlepiej gdzieś w wysokich górach, w kraju, który nie stanie się bezpośrednim celem pierwszych uderzeń. Co umożliwi Ci kontrolę sytuacji i ewentualne poprawki, gdyby doszło do zahamowania eskalacji zagłady. Następnie Twoi ludzie dokonają pięciu superprowokacji. Podczas popołudniowego seansu łączności odczytasz dalszą część listu kolejno Drakuli, Frankensteinowi etc. Nadajniki są tak skonstruowane, że Ty możesz kontaktować się z każdym z nich, oni tylko z Tobą, i to wyłącznie

gdy Ty tego zażądasz. Ba, możesz obserwować ich w działaniu, zwłaszcza gdy są w zasięgu mikrokamerki umieszczonej przy nadajniku. Poza tym chciałem Ci zwrócić uwagę na parę niebezpieczeństw…

Rozległo się pukanie do drzwi. Szybko schował nie doczytane kartki. Do pokoju wpakowała się pokojówka i dość bezceremonialnie włączyła odkurzacz.

Jeśli takie obyczaje zalęgły się w Szwajcarii, nic i tego świata już nie będzie – pomyślał Meff, wziął telefon i skrył się w łazience, żeby zadzwonić do Anity. Pomysł wyjazdu w góry razem z nią z minuty na minutę uznawał za lepszy. Jeśli jeszcze ktokolwiek go śledzi, będzie musiał stracić wszelkie podstawy do podejrzeń. Któż wybiera się na akcję z panienką do oddalonego od centrum świata wysokogórskiego kurortu? Cieszył się również, że wybrał położony w osłoniętej dolinie Zermatt. Idealne miejsce na kierowanie akcją.

Opowieść Brigitte była krótka i szczera. Larry otrzymał dokładny rysopis doktora Chastellaina, mógł obejrzeć ciągle nie wydane pięćset dolarów i zapoznać się z hasłem.

– Czy oni będą chcieli mnie zabić? – zapytała stewardesa.

Poważnie skinął głową. – Ratuj mnie, Larry! Uścisnął ją serdecznie.

– O niczym innym nie marzę, a poza tym mam z tymi gośćmi własne porachunki.

– Przede wszystkim nie powinni się nigdy dowiedzieć, że żyję.

– Znam faceta, który to zrobił, jest bardzo metodyczny. Na pewno sprawdzi listę ofiar. A potem cię poszuka!

– Boże!

– Ale to bardzo dobrze. Poszuka cię. i ja tylko na to czekam. Muszę go dostać żywego!

– Lepiej będzie zawiadomić policję.

– Nic bardziej naiwnego. Ten cwaniak poradziłby sobie z całą policją tego miasta. Tu trzeba sposobu!

– A masz sposób?

– Mam! Przede wszystkim koniec z głupstwami. – Wskazał wzrokiem łóżko. – Pójdziesz do spowiedzi i komunii. To cię uodporni…

– Ale ja od dawna nie praktykuję.

– To zaczniesz.

– Ale dlaczego? Co ma wspólnego moje życie religijne z jakimś okropnym mordercą! Czy ten człowiek?…

– W tym sęk, że nie jest to człowiek.

Obróciła się do niego z twarzą wyrażającą jedno wielkie zdziwienie.

– A kto?

– Diabeł!

Korzystając, że trwała niema i osłupiała, ciągnął:

– Po kościele zadzwonisz do swojej firmy, złożysz wymówienie i opowiesz bajeczkę o zatrzaśnięciu się w windzie czy coś w tym rodzaju. Tymczasem ja zorganizuję umieszczenie tego zdjęcia, pechowej szczęściary, w gazetach, obok wiadomości o katastrofie. A potem będziemy czekać.

Parogodzinna jazda wynajętym samochodem przez Alpy mogłaby dostarczyć niezwykłych wrażeń wzrokowych; jeziora, malownicze doliny, szczyty pokryte śniegiem, serpentyny i tunele, a zwłaszcza kilkudziesięciokilometrowy dystans między Kandersteg a Goppenstein, który samochody pokonują na platformach kolejowych – wszystko to pozostawia w turystach niezatarte wspomnienia. Oczywiście w zwykłych turystach, a nie w Pierwszym Pirotechniku Ziemi. Anita, zachwycona i co chwila entuzjastycznie reagująca na kolejne uroki przyrody, zauważyła zmianę, jaka zaszła w nastroju Fawsona.

– Czy coś się stało? – pytała pełna chęci pomocy lub wsparcia.

– Miałem rozmowę z szefem, kłopoty w pracy – odpowiedział i nie bardzo skłamał.

– Ale teraz chyba jesteś na urlopie?

– Tak, jestem i nie mówmy o tym więcej.

Zresztą w miarę jak posuwali się w głąb masywu Alp, nastrój Meffa ulegał zmianie. Miejsce człowieczego zatroskania wypełniała szatańska pycha. W końcu w jego ręku znajdowały się losy paru miliardów osobników homo sapiens. Jak najsurowsza Parka trzymał w ręku nożyce mające przeciąć cywilizacyjną wstęgę, zamienić wszystko, co dziś ważne, co składa się na krzątaninę w ludzkim mrowisku, w bezczasową, bezcielesną wieczność.

– Największe wydarzenie od stworzenia człowieka, i ja, Meff Fawson, mam tego dokonać. Rewelacja!

W Tasch zostawili samochód na parkingu. Piekielny Rewizor zapłacił tylko za dwie doby, nie zamierzał bowiem marnować pieniędzy, nawet jeśli za dwadzieścia cztery godziny miały się one okazać czymś absolutnie zbędnym. Przesiedli się w kolejkę i już wkrótce, wdychając rześkie górskie powietrze, mogli rozkoszować się majestatyczną panoramą Matterhornu, który akurat wyjrzał z chmur, oświetlany dodatkowo pełnym blaskiem popołudniowego słońca.

– Boże, dzięki Ci, że mogę oglądać Twą potęgę ucieleśnioną w takim pięknie! – zawołała Havrankova.

– Już niedługo – mruknął pod nosem Fawson.

W czasie drogi, w miarę jak szczyty górskie mroziły się w surowej lodówce nieba, zdawało się topnieć serce dziewczyny. Pozwoliła otulić się ramieniem, w momentach zachwytów sama chwytała go za rękę.

Dobrze idzie – cieszył się neoszatan – tylko tak dalej!

W pensjonacie prowadzonym przez dobroduszną jejmość stanęła oczywiście sprawa zamieszkania. Meff miał ochotę na dwupokojowy apartament ze wspólną łazienką, Anita wybrała dwa sąsiadujące ze sobą pokoje na poddaszu, bliskie, ale z zachowaniem pełni pozorów i dobrego tonu. Potem dziewczyna usiłowała namówić Fawsona na krótką wycieczkę, żeby posmakować śniegu. W pobliżu był wyciąg, ale Meff wykpił się bólem głowy, zresztą zbliżała się pora wyznaczona na pierwszy seans łączności. Havrankova ubrała się w śmieszny kolorowy sweterek i wybiegła na dwór.

Chyba już wiem, jak napoczniemy ten specjał – pomyślał Fawson, po czym wyciągnął z walizki pudełeczko i połączył kabelkiem z telewizorem. Przed wciśnięciem włącznika dla pewności wyjrzał na korytarz. Nikogo, jeśli nie liczyć trójki Skandynawów taszczących narty do pokoju w drugim końcu korytarza. Wyciągnął list. Końcówka części porannej była już niestety niewidoczna, natomiast porcja popołudniowa czerniła się lepiej niż pierwszorzędna pasta do butów.

Frank N. Stein siedział w fotelu i z nudów oglądał program telewizji jordańskiej, jak zwykle przedstawiającej materiały o Nowym Mahdim.

Jedna z najniezwyklejszych karier naszej doby rozpoczęła się przed kilkunastu laty, kiedy Muhammad Idrisi, docent na uniwersytecie w Kairze, z dnia na dzień wzgardził doczesnością, rozdał majątek żebrakom i poszedł na pustynię rozmyślać i głosić Słowo Boże. Nie wnikamy, czy powodem była śmierć rodziców i narzeczonej w katastrofie samochodowej, czy własna ciężka choroba, faktem jest, że przez następne lata szlakami karawan i nitkami saharyjskich dróg wędrował były naukowiec, obecny derwisz, utrzymujący się z jałmużny, głosząc rychły kres świata, upadek królestw Coga i Magoga i nastanie nowej ery.

Renesans atrakcyjności islamu nie jest zjawiskiem nowym, wraz z bronią naftową i wzrostem siły krajów arabskich zwyżkowało wydatnie samopoczucie potomków Proroka. Idrisi różnił się jednak od większości “biczów bożych" swego okresu. Był przeciwieństwem Chomeiniego, nigdy nie wymówił słowa “święta wojna", lecz przeciwnie, starał się występować jako anioł dobroci i miłosierdzia. Ganił podział na szyitów i sunnitów, nauczał o jednym Bogu, miłosiernym i wyrozumiałym jak Bóg chrześcijan, który radzi zwyciężać nieprawość cnotą, ateizm cierpliwością, a alienacje solidarnością.

Żadnych wojen! Modlitwa, posty, jałmużna! “Jeden Bóg, Allach, Jedyny i Niezmienny. Nie zrodził nikogo i nie został zrodzony. Nikt nie jest mu równy ani podobny" – oto i całe kredo Muhammada ibn

Alego.

Tolerancja bywa często uznawana za słabość, zwłaszcza gdy posuwa się do stwierdzenia, że wszelkiej maści chrześcijanie i Żydzi są zbłąkanymi braćmi, którzy być może dostąpią odkupienia i już po śmierci dozwolone będzie im wymówienie formuły: “Nie ma Boga prócz Allacha, a Mahomet jest jego prorokiem", co jak wiadomo stanowi przepustkę do raju. Muhammad miał jednak dość osobistej mocy przekonywania, żeby jego tolerancyjność była znakiem siły. Zachowali o niej wspomnienie saharyjscy nomadzi, neofici z Nigerii, pielgrzymi tysiąca szlaków od Mekki do Timbuktu, których Idrisi leczył (był wspaniałym lekarzem, mówiono – cudotwórcą) i nauczał.

Byli i niechętni. Pierwsza próba głoszenia wiary pod Wielkim Meczetem w Mekkce omal nie skończyła się ukamienowaniem. Tępili go urzędnicy, biurokraci odmawiali paszportu. Kilka miesięcy spędził w więzieniu w Oranie z oskarżenia o włóczęgostwo. Był również internowany w Isfahanie za szerzenie pacyfizmu, zawsze jednak znaleźli się tacy. których serca kruszały, i przed prorokiem otwierały się drzwi więzień i kordony granic. Chociaż nadal był jednym z wielu.

Przełom przyniósł pamiętny ramadan zeszłego roku, kiedy jeden z generałów władający państwem arabskim nakazał wydalenie Idrisiego, poprzedzone chłostą. Prorok mu wybaczył, nie wybaczył Allach. Tego samego dnia, gdy biczowano Muhammada, ambitny polityk padł rażony apopleksją na spotkaniu z zagranicznymi dziennikarzami.

Z dnia na dzień otoczyła Idrisiego fala popularności, poczęto spisywać jego cuda, wspominać słowa, które się sprawdziły, ktoś nazwał go Nowym Mahdim.

Były docent, obecnie mąż Boży w skromnej szacie, nie potakiwał ani nie zaprzeczał – gdy udzielał wywiadów, w jego głosie brzmiała słodycz i naiwność. Choć naiwnym nie był. W ciągu minionego roku służył radą i dobrym słowem politykom, a w swych transmitowanych przez mass – media wystąpieniach (osiadł w drewnianym barakowozie w pobliżu Głównego Meczetu w Mekkce) niósł posłanie miłosierdzia i braterstwa, przy czym nie żądał ani zasłon dla kobiet, ani drakońskich kar dla grzeszników. “Allach waży wszelkie uczynki, nie ludziom je oceniać".

Ze swoim różańcem z pestek (subna), w którym każdy z paciorków przypominał jedno ze stu najpiękniejszych imion Allacha, drobny, prawie kruchy, wsparty na pielgrzymim kiju, promieniował mocą, która, mogło się zdawać, nie ma prawa obywatelstwa we współczesnym świecie.

I dlatego Frank N. Stein wcale się nie zdziwił, gdy w pewnym momencie, po serii ostrych zakłóceń na ekranie telewizora sprzężonego z bioprzekaźnikiem, pojawiła się twarz Meffa Fawsona odczytującego polecenie Dołu, aby jutro o świcie zastrzelić proroka w

czasie modlitwy na centralnym placu świętego Miasta.

Harmonogram akcji, która miała się zacząć za półtorej doby, został opracowany z precyzją szwajcarskiego zegarka. Pierwszy około godziny piątej nad ranem czasu Greenwich (w Mekkce byłaby akurat siódma) – miał zginąć Wielki Derwisz, co musiało wywołać szal krajów arabskich i natychmiastową blokadę naftową zachodniego świata, zwłaszcza gdy pojmany Frankenstein zezna, że działał na polecenie władz NATO.

Siedem godzin później przyszłaby pora na Mister Priapa. Z bombą atomową własnego wyrobu miał zamknąć się na szczycie jednego z wieżowców Manhattanu i wystosować ultimatum do rządu, domagając się rozwiązania Unii Amerykańskiej, oddania sześciu stanów południowych Murzynom i jednostronnego rozbrojenia, grożąc wysadzeniem miasta ładunkiem stukrotnie silniejszym od tego, który spopielił Hiroszimę.

Na wschodnim wybrzeżu byłaby akurat godzina szósta rano. Dwie godziny później, żeby nie dać wytchnienia opinii publicznej, do akcji wkroczyłaby Topielica – Susy Waters. Już wcześniej nawiązałaby hipnotyczny kontakt z pilotem promu kosmicznego, aktualnie przebywającym czwarty dzień na orbicie okołoziemskiej, zdobywając nad nim władzę i praktycznie wchodząc w jego osobowość. Najpierw zniszczyłaby łączność z Ziemią, uniemożliwiając kontakt z Ośrodkiem Kontroli Lotów w Houston czy gdziekolwiek indziej, a następnie winna przystąpić do własnej akcji na orbicie, polegającej na zbieraniu sztucznych satelitów, należących do konkurencji i stanowiących, jak wiadomo, oczy i uszy ich systemu zaczepno – odpornego.

Prawie w tym samym czasie na północy Pacyfiku Drakula wypuściłby z wynajętego stateczku znaczną ilość ptaków, które poszybowałyby w stronę amerykańskich baz na Aleutach. Niby nic specjalnego, poza tym, że pióra ptasząt miały zostać pokryte metalicznym proszkiem, co na ekranach radarów sprawiłoby złudzenie zbliżającej się eskadry…

– Ale skąd ja wezmę tyle ptaków? – jęknął Książę z Karpatów,

,, – Byliśmy przezorni – odczytał Meff odnośny akapit – od piętnastu lat pewien ornitolog pod Sapporo ma stale pełny kurnik polarnego ptactwa i czeka cierpliwie, aż będzie potrzebny. Hasło znacie!"

– Znam – mruknął wampir.

Alarm powinien nastąpić około dziewiątej czasu nowojorskiego i postawić w stan gotowości cały system obronny USA. Siły zbrojne Chin, Indii i ZSRR dzięki woluntarystycznej działalności promu byłyby w fazie alarmu kilka kwadransów wcześniej.

Teraz Meff zwrócił się do Wilkołaka, który zdążył powrócić już w

zacisze nepalskie. Kajtek nie ucieszył się z polecenia. Jego zadanie było najtrudniejsze: musiał przebyć Himalaje i na północ od Lhasy wedrzeć się do najbardziej strzeżonej bazy chińskiej, od niedawna wyposażonej w broń balistyczną. Następnie, korzystając z trwającego alarmu, wystarczy spowodować odpalenie paru rakiet, z których jedna obrałaby kurs na bazę Diego Garcia, aby ugodzić flotę amerykańską, druga na Taszkient lub Nowosybirsk, trzecia na miasto Bombaj. W Europie byłaby to pora wieczornych dzienników telewizyjnych.

– Ależ to wywoła wojnę światową! – wykrzyknął osłupiały Kajtek.

– I o to chodzi! – zimno zabrzmiał głos Fawsona. – Czy wszyscy pojęli swoje zadania?

Podawał kolejne informacje, obserwując mocno zbulwersowane twarze współpracowników – udzielał dodatkowych wyjaśnień, przedstawiał sposoby, oczywiście nie zdradzając jednym, jakie zadania otrzymali inni.

Nie rozwodził się szczególnie nad finalnym skutkiem akcji – było to chyba dla wszystkich jasne. Nikt też nie wyraził zaskoczenia ze zmiany szefa z don Diavo!a na Meffa Fawsona. Ustalono kontakt co sześć godzin.

– Mam jedno pytanie – powiedział Frankenstein – co będzie, jeśli z jakiegoś powodu uniemożliwiony zostanie kontakt kanałem biologicznym?

– Odszukam was środkami tradycyjnymi. Póki co, działają telefony i komunikacja…

– Jasne!

O to samo dopytywał Gnom. Odpowiedź Meffa wyraźnie go nie zadowoliła.

– A jeśli nie będziecie mogli wydać poleceń osobiście?… wypadki chodzą po ludziach.

Agent Dołu zamyślił się. Rzeczywiście, pracował sam. A przecież nie można wykluczyć nagłych korekt w trakcie akcji. W zamyśleniu podszedł do okna. W perspektywie zamajaczył mu kolorowy sweterek. Włączył równoczesny przekaz do piątki swych agentów.

– W razie absolutnej awarii posłużę się tą małą głupiutką Anitą. – Skierował na nią oczko mikrokamery – dziecko nie wie o niczym, tym łatwiej może występować jako posłaniec.

– W porządku – dobiegł go głos z paru kontynentów oraz czyjeś lubieżne mlaśnięcie. Puścił je mimo uszu.

– A zatem do dzieła, kochani kolaboranci! Za sześć godzin usłyszymy się ponownie. Zachowajcie ostrożność do ostatniej chwili. Nie zajmujcie się niczym innym, i – zakończył patetycznie – wesołej Apokalipsy!

XVIII.

Wywiad ze stewardesą, która, uwięziona rzekomo w windzie, nie zdążyła na własną śmierć, pokazano w wieczornych wiadomościach. Priap dowiedział się, że sfuszerował. Ponieważ kontakt z szefem miał wyznaczony na godzinę dziesiątą czasu nowojorskiego, postanowił “wyczyścić" teren wcześniej, by móc zameldować o wykonaniu zadania w stu procentach. Niestety, dopiero nad ranem ustalił, w którym hotelu zatrzymała się dziewczyna. Odszukał odpowiedni telefon. Przedstawiwszy się jako reporter “Paris Matcha", zdołał umówić się na wywiad w samo południe w barku na hotelowej antresoli. Miał ze sobą świetną, szybko działającą truciznę, kuzynkę słynnej kurary, wywołującą objawy ataku serca i niewykrywalną tradycyjnymi metodami hematologicznymi. Po seansie łączności i otrzymaniu wszelkich informacji – pomysł z bombą atomową uznał za najlepszy z happeningów, w jakim udawało mu się uczestniczyć – postanowił zlikwidować Brigitte najpóźniej do pierwszej. Następnie miał w planie złożenie wizyty Geraldowi Blake, sfiksowanemu fizykowi, który od czasu rozstania z żoną i Instytutem mieszkał w brzydkiej willi w New Jersey, hodując kwiaty i żyjąc z bombą. Nie, nie z seksbombą. Z bombą atomową. Blake był naukowym geniuszem i schizofrenikiem, co zresztą często chadza w parze. Skonstruowaną własnoręcznie bombę posiadał od paru lat, otaczał ją czcią i szacunkiem, nikomu nie pokazywał i raczej nie miał zamiaru użyć. Starczało mu poczucie władzy nad życiem i śmiercią kilkunastomilionowej aglomeracji.

Gnom nie miał złudzeń, że Blake odda mu swój skarb dobrowolnie, ale nie przewidywał większych komplikacji. Po opuszczeniu rudery, w której koczował (nie była to aż taka rudera, żeby nie posiadać kasy pancernej, zdolnej ukryć biologiczny nadajnik), jako mała garbata staruszka wskoczył do pierwszej z brzegu taksówki, wymieniając nazwę pewnego niezbyt drogiego hotelu na Manhattanie.

Spędziwszy tam kilkanaście minut w damskiej toalecie, wyszedł ku zgorszeniu innych klientek już jako stuprocentowy mężczyzna, wprawdzie garbaty, ale odziany światowo, z mnóstwem sprzętu, który przedtem starannie ukrywał pod spódnicą – z kamerą, fotoaparatem, magnetofonem, notesem. Pozostało najprostsze. Spotkać Brigitte i ją zabić!

Przez cały wieczór i noc Larry Bell zwijał się jak w ukropie. Zatelefonował do szpitala, gdzie zostawił Fantomasza, Hipermana, Mumię i Black Tigera. W ich stanie zachodziła szybka poprawa. Za

parę dni, twierdził lekarz, będą mogli wstać. Parę dni. Długo! Instynkt podpowiadał Belfegorowi, że liczy się każda minuta. Gdyby uczniowie byli zdrowi, wyprawiłby ich na cztery strony świata do miejsc, w których zginęły stewardesy, aby wytropić pozostałych wspólników zaangażowanych przez nieboszczyka Diavolo. Tak musi stracić jeszcze co najmniej czterdzieści osiem godzin… No trudno. Zaopatrzył się natomiast w rozmaite akcesoria, mogące być użyteczne w niebezpiecznej rozgrywce – nabył kawałek poświęconej kredy prosto z Rzymu, uzupełnił pojemnik świeżą porcją święconej wody, postarał się o osi – nowy kołek i o różaniec pewnej błogosławionej zakonnicy.

Uzbrajając się metafizycznie, nie zaniedbał działań na wskroś materialistycznych. W sklepie niedaleko Central Parku nabył komplet broni, którą można by było wyposażyć mały oddział Ojca Chrzestnego, zdobył również komplet charakteryzacyjny, pozwalający przepoczwarzyć się przy odrobinie wysiłku w sobowtóra Mister Priapa.

Rano detektyw telefonicznie zaangażowany w Paryżu poinformował Bella, że lekarz odpowiadający rysopisowi podanemu przez Brigitte najprawdopodobniej nazywał się Chastellain i zmarł poprzedniego dnia na nagły atak serca. Było to poniekąd potwierdzenie trafności podejrzeń. Larry polecił sprawdzić wszystkich ostatnich pacjentów doktora i dzwonić z najmniejszymi nawet informacjami.

Belfegor błogosławił przezorność nakazującą mu od lat połowę kwot przekazywanych przez Piekło na Centralny Zakład Naukowy umieszczać na swym prywatnym koncie. Teraz się przydały, był niezależny i miał dość środków na prowadzenie śledztwa. Co się tyczy śmierci czterech stewardes, żadne świeże informacje nie nadeszły, wszędzie łatwowierna policja uznała incydenty za przykre, ale jednak wypadki.

W ciągu nocy Larry spał może pół godziny. Brigitte nie tknął, mimo że ochotę mieli oboje. Nad ranem, pokrzepiając się potężną dawką kawy, przypominającą beczkowóz z płynnym asfaltem, jeszcze raz podsumował posiadane informacje.

Wiedział, że akcję podjętą przez Dół cechuje duży rozmach, a jej wykonawcy nie cofną się przed niczym. Poza tym musiało to być zadanie zakrojone nie na skalę jednego miasta lub kraju – agenci rozrzuceni zostali po świecie jak kulki rtęci z potłuczonego termometru. Do czego jednak zmierzali?

Spróbował swej starej gry skojarzeń.

– Pułapka – mysz, mysz – ser, ser – Anglik, Anglik – brydż, brydż – kontra, kontra – kontra, przeciw – przeciw, za… i w tym momencie przerwał mu zegarkowy brzęczyk. “Za"? To niewiele. Spróbował jeszcze raz:

– Przynęta – ryba, ryba – piła, pilą – ma katza, katz – kot, kot – gładzić…

Piiiik!

Był w kropce. Co ma wspólnego głaskanie z przeciwieństwem słowa “kontra"?… Albo zestarzał się na tyle, że jego intuicja wybierała się na emeryturę, albo nie potrafił wyciągnąć odpowiednich wniosków.

Natomiast Brigitte nie potrzebowała nawet sekundy, powtórzyła tylko oba słowa: ZA i GŁADZIĆ!

– Chyba chodzi o jakąś zagładę – stwierdziła. Aż podskoczył.

– Kobiety potrafią być genialne!

– Ale o jakiej zagładzie może być mowa? – zaniepokoiła się stewardesa.

– Priap bawi się w rolę archanioła śmierci, ale nie – doczekanie…

– Mówisz spokojnie o tak strasznych rzeczach – oburzyła się dziewczyna. – Czy wy, znaczy oni, nie widzą, co robią? Po to, żeby zatrzeć ślady, zabija się kilka niczemu nie winnych dziewcząt i jakby tego było mało, żeby pozbyć się mnie, skazuje na śmierć samolot pełen nieświadomych szarych ludzi.

Belfegor tylko się roześmiał.

– Dziecko! Na jakim ty świecie żyjesz? Czy gdziekolwiek kiedykolwiek ktoś naprawdę przejmował się szarymi ludźmi? Co to w ogóle są szarzy ludzie! Mięso armatnie, frekwencja wyborcza, statystyka zbawionych albo potępionych. Któż by się z tym liczył! Od Adama i Ewy naprawdę istotna jest wyłącznie władza! Zaraz po zejściu z drzewa ludzie podzielili się na rządzących i rządzonych, wymierzających lub obrywających razy. Decydujących i ubezwłasnowolnionych. Już casus Kaina i Abla udowodnił, że racja jest po stronie silniejszego. Szarzy ludzie? Hołota, motłoch bez znaczenia! Ciągle gadający o swych prawach, a w rezultacie biernie znoszący jarzmo albo pozwalający wpychać sobie wędzidło, i jeszcze cieszący się, gdy wpychający powie im “Smacznego".

– A demokracja?

– Demokracja to też wędzidło, tyle że trochę bardziej luksusowe i o smaku gumy do żucia. Per saldo tam też rację ma bogatszy, silniejszy…

– Albo większość – nie ustępowała Brigitte. Larry skrzywił się z niesmakiem.

– Nie lubię mówić o demokracji, bo demokracja jest słaba. Nieuczciwa zmowa hołyszów przeciwko silnym. Patrz zresztą, co twoje wspaniałe demokracje robią z ludźmi czynu, przedsiębiorczych łamią podatkami, utalentowanych uśredniają, wielkim tak ograniczają kompetencje i tak krępują, że nawet tytan nie może przedsięwziąć niczego z rozmachem. A później, gdy u bram ich rozdyskutowanego

polis staje barbarzyńca z dzidą, bezlitosny najemnik czy brodaty koczownik, demokracje rozkładają się przed nimi jak ciało trędowatego, niezdolne nawet zjednoczyć się w obronie swoich wspaniałych wartości. Pfuj!

– Jeśli wiesz, że grozi zagłada, powiedz o tym ludziom. Razem znajdziemy sposób…

– Pozwolisz, że tę rozgrywkę poprowadzę sam. A teraz uważaj! Został nam mniej więcej kwadrans…

Po pięciu minutach czekania w barku Mister Priap poczuł niespokojne swędzenie w miejscu, w którym szanujące się diabły mają ogon, a on jako dziecię z probówki dysponował ledwie kikutem. Do tej pory nie przewidywał w ogóle możliwości zasadzki. Zresztą kto, u licha, mógłby przygotować na niego zasadzkę. Przeszedł do portierni i zapytał o pannę Leblanc.

– Jest u siebie w pokoju 1081.

Gnom pomyślał, że to się znakomicie składa, zawsze lepiej jest załatwić w cztery oczy to, co gdzie indziej mogłoby wzbudzić niezdrową ciekawość, przysporzyć niepotrzebnych świadków. Wszedł do windy.

– Proszę wejść! – powiedział głos Brigitte, gdy Priap zapukał do biało – złotych drzwi na jedenastym piętrze. Wszedł i prawie natychmiast chciał zawrócić. Nie zdążył. Z miejsca przygwoździł go ostry strumień święconej wody, cieczy parzącej, nienawistnej, która rodowitego diabła mogłaby unicestwić, a jego, namiastkę czarta, jedynie obezwładniła, poraniła, upokorzyła.

– Znowu się spotykamy, Priap! – powiedział Belfegor, wyłączając magnetofon z nagranym głosem Brigitte. Przezornie umieścił ją w zupełnie innym apartamencie. – I tym razem moje jest na wierzchu. – Kopniakiem odtrącił upuszczoną teczkę i korzystając z zamroczenia Gnoma, zabrał pistolet i sztylet. Przy okazji zamknął drzwi. Były prorektor nie protestował. Jak worek kartofli pozwolił posadzić się na dywanie, tarł jedynie pobrużdżoną czerwonymi pręgami twarz, a z jego gardła dolatywało astmatyczne charczenie.

– Doigrałeś się, diabełku – szydził Larry. – Ten się śmieje, kto się śmieje ostatni! No, a teraz grzeczniutko mów wszystko po kolei, bo znowu psiknę…

– Proszę cię, nie ładuj się w to, Magnificencjo – stęknął pokonany – nie masz szans. Ja tu jestem tylko pionkiem.

– Wiem wszystko, nawet o twoich kumplach z Tokio, z Meksyku… – zaśmiał się Bell.

– Skoro wiesz, to po co pytasz?

– Kto jest twoim szefem? Co było w paczce przekazanej przez Brigitte, jaki Jest cel całej akcji, a jakie twoje zadanie? – każde słowo

padało z siłą nokautującego ciosu.

Priap pokręcił głową i natychmiast zawył trafiony strużką między oczy.

– Za chwilę stracisz wzrok, bądź rozsądny – rzekł Larry.

Dość długo Gnom nie zdradzał najmniejszej ochoty do rozmowy, wiedząc, że póki nie powie prawdy, Belfegor nie będzie mógł go zgładzić, i Bell począł tracić nadzieję, że cokolwiek z Priapa wydobędzie, tym bardziej że po kolejnej, serii dyngusa półszatan zaczął tracić przytomność, i nagle wpadł na pomysł: brutalnie rozciął mu ubranie i wydobył na światło dzienne ów przedmiot dumy karła i powód zawiści kolegów w Zamku na Lodzie.

– Tego nie rusz! tego nie rusz! – zapiszczał Gnom. – Wszystko powiem.

– No to mów!

– O szesnastej mam kontakt audiowizualny z szefem. Małe czarne pudełeczko w sejfie, szyfr 678 – 66, trzeba patrzeć prosto w świetliste oczko, wtyczkę wsadzić do gniazdka anteny w telewizorze. Sam zapytasz go o wszystko. Ja nic więcej nie wiem.

– Sprawdzimy, ścierwo!

Wydusiwszy jeszcze adres kryjówki, energicznym gestem wrzucił Priapa do olbrzymiej, stylowej (acz wykonanej z tworzywa sztucznego) szafy, wokół zakreślił kredą krąg, którego najpotężniejszy diabeł nie jest w stanie przekroczyć, nawet jeśli umie fruwać lub zapadać się pod ziemię, tąże kredą napisał parę wielkich zaklęć na drzwiach, tak że nie dźwignęłoby ich i sześciu książąt ciemności, a na dodatek zawiązał drzwi różańcem.

– Siedź, bratku, dopóki nie wrócę.

Teczka ze strojem staruszki i zawodowy ekwipunek dziennikarski znalazły schronienie pod łóżkiem, pistolet Larry schował do kieszeni. Na drzwiach umieścił wywieszkę: NIE PRZESZKADZAĆ. A potem poszedł do pokoju Brigitte i kochali się zawzięcie mniej więcej przez pełną godzinę lekcyjną, przekonani, że żaden grzech nie może już im zaszkodzić.

Zdenerwowanie Łysego rosło z godziny na godzinę. Placówka w Nowym Jorku donosiła o wzmożonej aktywności

Belfegora, który natrafił widocznie na jakiś ważny ślad działalności czarcich służb specjalnych, ale nie uważał za wskazane podzielić się z kimkolwiek swymi rewelacjami. Parę innych oddziałów terenowych donosiło o niepokojących znakach na niebie i ziemi. W południowej Francji spadł krwawy deszcz, Brazylię nawiedziła niespotykana plaga węży, które wdzierały się nawet do centrum miast, w Kongo objawiło się dziwaczne zwierzę mówiące ponoć ludzkim głosem, wybuchło parę nieczynnych od lat wulkanów, a na portrecie

Giocondy w Luwrze wystąpiły krwawe wybroczyny. Z kolei Hiszpanię nawiedziła dziwna fala mgieł, połączona, zwłaszcza w regionach przemysłowych, z niezwykle silnym smogiem. Smog ów wciskał się w oczy i nozdrza, wywołując masowe choroby dróg oddechowych. Z Australii donoszono o olbrzymiej pladze szarańczy. Jedna z mniej słynnych wróżek paryskich opłaciła pięciominutowy występ w telewizji, twierdząc, że ma coś niezwykle ważnego do powiedzenia swym rodakom, ale zmarła w tajemniczych drgawkach w hallu TV Centre. W tym samym czasie zbożowe regiony ZSRR nawiedziła katastrofalna wręcz inwazja myszy, interpretowana przez jednych jako zapowiedź długiej zimy, przez innych jako ogólny objaw lęku w świecie zwierząt. Na Seszelach zmarł najstarszy żółw świata. W kaplicy Sykstyńskiej bez najmniejszych wstrząsów zarysował się nagle słynny Sąd Ostateczny Michała Anioła. Natomiast na wodach arktycznych samobójstwa wielorybów osiągnęły nie notowane rozmiary.

Ale spośród wszystkich zjawisk Łysego najbardziej denerwowało co innego, jego szpakowaty szef, snadź uradowany zagładą hotelu “Paradise", wziął kilkudniowy urlop i wyjechał na grzyby, nie zostawiając kontaktu ani adresu.

Mimo protestów Brigitte Larry zdecydował się wysłać ją do Bostonu i zakazał wytykać stamtąd nosa, zanim SIĘ wszystko nie skończy. Obiecywał dzwonić codziennie, tłumacząc, że najgorsze mają za sobą. Potem wziął niewielki bagaż stewardesy i zamierzał wyjść, kiedy zadzwonił telefon.

– Tak, a to pan?! Ładną pogodę macie w Paryżu? Świetnie… No właśnie. Co z tymi pacjentami? Niemożliwe. Meff Fawson?!!! A nie wiecie, gdzie przebywa? No, to musicie natychmiast się dowiedzieć! Niech pan zadzwoni o piątej, powinien do tego czasu wrócić! Cześć!

Odwrócił się do Brigitte chłonącej rozmowę.

– Wyobraź sobie, że jednym z ostatnich pacjentów Chastellaina, tego lekarza, który dał ci przesyłkę, był pan Meff Fawson, według gazet ów nieszczęśnik przetrzymywany przez gangsterów związanych z don Diavolem. Jedyny, który ocalał z tajemniczego pożaru. Niewiniątko. Wszyscy mu tak współczuli.

– Co to znaczy?

– To znaczy, że owo niewiniątko być może jest istotnym szefem bandy, tajnym zwierzchnikiem, który komenderuje indywiduami z gatunku Mister Priapa. Być może też likwidacja don Diavola nie była wynikiem rywalizacji, tylko zamierzonym posunięciem w grze.

– Albo ten Fawson jest właśnie don Diavolem – podpowiedziała Brigitte, której zwykła kobieca przenikliwość mogła spokojnie rywalizować z grą potoku skojarzeń.

– I na niego przyjdzie kolej – uśmiechnął się Larry.

Wyszli przed hotel. Prawie natychmiast znalazła się taksówka. Jak oni w Nowym Jorku to robią, że zawsze mają pod ręką wolne taksówki?…

– Pojadę z tobą, boję się – szeptała panna Leblanc – mam złe przeczucia.

– A ja dobre – uciął Bell.

W pół godziny później zgrzytnął klucz w zamku pokoju io8i. Weszła drobna, czarnowłosa sprzątaczka, która zwykła nie przejmować się wywieszkami na klamce. Już po pierwszym rzucie oka zdenerwowały ją kredowe znaki na szafie i kręgi na podłodze. Popluła i dziarsko zaczęła ścierać, psiocząc na gości, którzy jak zapłacą za apartament, to uważają, że wszystko im wolno. Potem dostrzegła różaniec na drzwiach szafy. Chwilę pomstowała na bezbożników, po czym rozsupłała go delikatnie.

W tym samym momencie drzwi rozwarły się i coś niewielkiego, szybkiego i nieprawdopodobnie silnego skoczyło jej na klatkę piersiową. Nie zdołała krzyknąć. Nad naturalnie muskularne ręce zacisnęły się na jej krtani, a kolana poczęły z furią łamać żebra.

W ciągu sześciu godzin od pierwszego seansu, z wyjątkiem Mister Priapa, który zapoznał się przede wszystkim z dusznym brzuszyskiem szafy, wszyscy uczestnicy akcji, czyli, można rzec, akcjonariusze Apokalipsy, mocno zaangażowali się w realizację planu.

Frank N. Stein via Kair udał się do Mekki, zmieniając po drodze dokumenty, narodowość i wyznanie. Był teraz zamożnym obywatelem brytyjskim wyznania muzułmańskiego, Selimem ibn Husseinerri, który, gnany pobożnością, opuścił swój sklepik w Londynie, aby udać się z pielgrzymką do Miasta Proroka. Arystokratyczny ubermensch czuł się nieszczególnie w skórze przedstawiciela odmiennej rasy, ale przełknął cierpką pigułkę dla dobra sprawy. Obecnie zamknął się wraz z przenośnym telewizorkiem w toalecie na lotnisku w Kairze i czekał na kontakt.

Doktor Popovici (vel Drakula) przybył tymczasem do Sapporo. Tamtejszy ptasznik nie zawiódł oczekiwań. Kilkadziesiąt klatek pełnych żywych producentów guana zostało przetransportowanych do portu, gdzie natychmiast udało się wynająć kuter, który niezwłocznie wziął kurs na północ. Władze dobrodusznie przyjęły do wiadomości, że miłosierny cudzoziemiec nabył skrzydlaty ładunek tylko po to, aby na wodach północnego Pacyfiku zwrócić ptakom wolność.

Nikt nie poznałby teraz Wilkołaka. W białym futrze, a mimo to dygocący z zimna, ów mieszkaniec krajów południowych przedzierał się przez szalejącą zadymkę. Przełęcz, na której wylądował po spadochronowym skoku z turystycznej awionetki, znajdowała się

zaledwie o kilka kilometrów od chińskiej bazy, położonej w tak niedostępnym regionie Tybetu, że aż dziw, że Chińczycy sami potrafili ją odnajdywać. Kajtek przeklinał pośpiech, z którym ogolił swoje własne futro. Dwa cudze, które miał na grzbiecie, nie rekompensowały straty. Znalazłszy w jakimś załomie osłonę od wiatru, wyciągnął z plecaka telewizorek, cięższy z każdym przebytym metrem, i czekał na łączność, żeby zameldować, że jak na razie wszystko w porządku.

Baza numer siedem. System bunkrów wkomponowanych w dziki pejzaż Nowego Meksyku. Jedna z głównych baz dyspozycyjnych promu kosmicznego “Pensylwania". Obiekt strzeżony i zastrzeżony, ale jednak nie do tego stopnia, by nie przyjąć w czasie szalejącej burzy wycieńczonej turystki, której koń padł o pół mili na południowy zachód. Komendant, pułkownik Rawlings mógł oczywiście, mimo złych warunków atmosferycznych, wezwać helikopter i nakazać odtransportowanie samotnej kobiety, jednak jej uroda, dostrzegalna mimo zmęczenia, sprawiła wrażenie na oficerze od pewnego czasu żyjącym w celibacie. Postanowił załatwić transport, kiedy pogoda się poprawi, natomiast panną Susy Waters (bezczelna Topielica nie zmieniła nawet nazwiska) zajął się osobiście. Miał sporo czasu, z promem nawiązywał kontakt co kilkadziesiąt minut, kiedy pojazd okrążający ziemię wkraczał w jego strefę.

Susy bardzo szybko doszła do siebie. Umyła się, zjadła, poczęstowała piwem i zgodziła obejrzeć całą bazę, oczywiście na prośbę Rawlingsa, charakteryzującego się łatwowiernością możliwą jedynie u komendantów ściśle tajnych obiektów na zachodniej półkuli.

Utkwiony w nim wzrok panny Waters dowódca brał wyłącznie za wyraz szczególnego zainteresowania. Bardzo mu to odpowiadało, i ani się spostrzegł, jak myśli jego poczęły tracić suwerenność, impulsy stały się kontrolowane, a świadomość Topielicy zagnieździła się w jego jaźni niczym robak w jabłku, podporządkowując sobie wolę, zmysły i inteligencję.

Po paru godzinach był już właściwie tylko skafandrem dla osobowości Topielicy. To, że jej osłabione ciało odwieziono do prywatnej kliniki w Albuquerque, nie miało znaczenia. Lekarze nie potrafili dać żadnej diagnozy. Panna Waters wydawała się być całkowicie pozbawiona siły witalnej, zawieszona między życiem i śmiercią, choć nie sposób było ustalić charakteru jej schorzenia.

Komendant natomiast, przeciwnie, zdawał się zdrowszy niż kiedykolwiek, może, stwierdzali pracownicy, był tylko bardziej skupiony, małomówny. Za każdym nawrotem promu intensywniej wpatrywał się w twarz majora Briana Scotta. Psychika kosmonauty była dość oporna na telepatyczny wpływ, otwierała się powoli, poszczególne zakątki świadomości broniły się przed

podporządkowaniem cudzej woli. Brian skarżył się swemu koledze, że odczuwa bóle głowy, paraliż niektórych mięśni. Współtowarzysz proponował zwrócenie się z prośbą o zgodę na wcześniejsze lądowanie. Scott odmówił.

Telepatyczna interwencja postępowała dalej. A gdy przyszła pora łączności, Topielica obleczona w ciało Rowlingsa (nadajnik biologiczny został w bazie) mogła zameldować o pomyślnym zakończeniu pierwszego etapu.

Starą czynszówkę w jednej z dzielnic ongiś zamieszkałych przez klasy średnie, później przez Murzynów, a obecnie koczowisko rozmaitej nędzy – Portorykańczyków i Wietnamczyków – Larry Bell odnalazł nie bez trudu. Ucharakteryzowany na Priapa (trudno było mu się kurczyć, ale w końcu należał do magików dużej klasy), nie wzbudził większego zainteresowania śpiącego na schodach narkomana i dotarł do zapuszczonego mieszkania na pierwszym piętrze. Zachowywał ostrożność i czujność. Brał pod uwagę możliwość zasadzki. Nawet kombinację cyfrową w kasie nakręcał patykiem, z dystansu, bojąc się eksplozji czy wystrzału zamontowanego wewnątrz samopału. Nic takiego jednak nie nastąpiło. Już po chwili trzymał w ręku niewielkie czarne pudełeczko. Larry podejrzewał, że jest to jakiś nie opatentowany gatunek przekaźnika, ale wolał nie grzebać w środku urządzenia. Czekał na godzinę 16 (według Greenwich 22.00). Zęby nie tracić czasu, dokładnie przeszukał mieszkanie. Poza pewną ilością kostiumów, pojemnikiem z truciznami i sporą ilością broni nie znalazł niczego, co mogłoby wzbudzić zainteresowanie. Na koślawym stoliku leżał czysty notes, z którego powydzierano przeszło połowę kartek. Niemniej Larremu, dzięki popiołowi z papierosa, udało się odcyfrować ostatnią notatkę, która, kreślona energicznie, odcisnęła się na następnej stronie “Gerald Blake, New Jersey…" Nazwa ulicy była trudniejsza do odczytania.

A potem czekał, co pewien czas zerkając na zegarek. Miał już jakiś obraz całości. Fawson i jego szajka przygotowywali wszechświatową zagładę. Czy całej ludzkości, czy tylko wybranych jej części – tego chwilowo nie wiedział. Możliwe, że Piekło miało jakąś nową koncepcję narodów wybranych. Bell był przekonany o jednym: akcja ta nie mogła się udać. Wystarczy przecież, że upewni się co do podejrzeń, przekona, czy szef jest Fawsonem (zdjęcie Fawsona wyciął sobie z reportażu o pożarze), a potem będzie mógł tylko przekazać informacje Białym i czekać na dalszy rozwój wydarzeń wraz z zasłużoną nagrodą. Może zresztą już teraz powinien powiadomić konkurencję o swych osiągnięciach. Nie, lepiej, jak dostaną na tacy całości

Belfegor całe swe długie życie był graczem, uwielbiał pokera, co

zresztą przy umiejętnościach iluzjonistycznych stanowiło dziecinną zabawką, Przepadał za stawianiem wszystkiego na jedną kartę, zwłaszcza gdy karta ta była znaczona. Owszem, przy drobnych rozgrywkach zachowywał jak najdalej posuniętą ostrożność, jednak w momencie gdy można było jednym rzutem zgarnąć całą pulę, nie wahał się nigdy. Tak działo się, gdy postanowił naciągnąć Piekło na Szkołę Upiorów, tak było i teraz, kiedy ruszył w prywatną grę na szachownicy o niepoliczalnej liczbie pól pomiędzy Czarnymi i Białymi, dysponując jedyną tylko figurą – sobą.

Była za minutę szesnasta, poprawił się na fotelu vis – a – vis telewizora, gdy nagle usłyszał za sobą skrzypnięcie podłogi.

Nie miał czasu sięgnąć po wodę święconą czy jakąkolwiek broń, ba, nie miał czasu nawet zerwać się z fotela, starczyło jedynie, żeby pomyśleć: “Jak to się stało?"

Cios karate nieomal odrąbał jego czerep od tułowia. Gnom sturlał bezwładne ciało w kąt pokoju, zachichotał i szybko zajął miejsce w fotelu. Iskrzenia przelatujące przez ekran świadczyły, że zdążył w ostatniej chwili.

W ciągu nocy śnieg pokrył całą dolinę. Mogło się wydawać, że biel sczołgała się z wierchów, aby zatrzeć drogę, którą przybył Agent Dołu.

Wygląda to niczym ołtarz ofiarny – pomyślał Fawson i jęknął. Myślenie sprawiało mu kolosalny ból. Kocio – kwik gigant! i wszystko przez Anitę, która śmigała teraz na zboczu gdzieś powyżej linii lasów. A przecież miniony wieczór zapowiadał się niezwykle romantycznie. Meffowi wydawało się nawet, że przekroczył jakiś kolejny prożek intymności, skrócił o parę centymetrów.dystans dzielący go od serca (i nie tylko) uroczej blondynki. Rozmawiali patrząc sobie w oczy, ściskając za ręce… Fawsona zdumiewał własny cynizm. Chociaż, prawdę mówiąc, przebywając obok Havrankovej zapomniał o całym bożym (chwilowo) świecie, o swej ponurej misji, a zwłaszcza o roli superkata. Chwilami nawet tracił poczucie, że jest to w ogóle przedostatni wieczór wszystkiego. Lody topniały, w coca – coli i między nimi.

Dziewczyna dała się nawet namówić na mały kieliszek likieru. “Dla towarzystwa" Meff “przyswoił" parę drinków. O 22. przeprosił Anitę na parę minut – miał kolejny seans łączności ze swymi “rycerzami Zła".

Kiedy wrócił, obok blond bóstwa siedział jeden z tykowatych Norwegów, Lars Svensson! Bodajże tak się przedstawił. Okazało się, że podczas spaceru Havrankova zdążyła zawrzeć szereg znajomości. Svensson należał do narciarzy specjalistów od kombinacji alpejskiej. (Nie ze mną te kombinacje, Lars – warczał w duchu Fawson).

Najchętniej przegnałby Skandynawa albo zamienił go w pingwina – rzecz w końcu wykonalna. Ale nie chciał wyjść przed Havrankovą na zazdrośnika i brutala. Siedzieli zatem w trójkę.

Stawka na upicie przeciwnika, którą obrał Meff, okazała się samobójcza. Po dobrych kilku kolejkach Svensson nadal trzymał się na swych muskularnych nogach, tak jakby koniak nie robił na nim żadnego wrażenia, szatan zaś był pijany bardziej niż podczas piekielnej inicjacji w chacie Boruty. Miał zaledwie tyle przytomności, by nie palnąć żadnego głupstwa – nie nawymyślać obecnym od żyjących trupów ani nie popisywać się żadną z diabelskich sztuczek. Jak dziecko dał się zaprowadzić do pokoju i usnął.

Rankiem, przy śniadaniu, dość długo przyglądał się Anicie, ale wyglądała niewinnie jak święta Cecylia, i to w wieku lat trzech. Trochę odetchnął. Zwłaszcza gdy miłe dziewczę pozwoliło pocałować się w policzek.

Później Havrankova zaprosiła go na narciarski spacerek. Odmówił. Tego poranka kontury świata widział nieostro, a będąc na szlaku, nie potrafiłby bezbłędnie stwierdzić, gdzie góra, gdzie dół. Poza tym musiał pilnować coraz lepiej rozkręcającego się interesu. Jednego był pewien. Dzisiejszego wieczora dokona ostatecznego szturmu. Nie będzie żadnego wina, whisky, Norwegów czy zasad moralnych. Zdobędzie Anitę za jej zgodą lub bez zgody, siłą lub sposobem, a jak zajdzie potrzeba, przy pomocy wszystkich metod, jakimi dysponuje dyszący pożądliwością mężczyzna i diabeł. W pewnych sytuacjach wychodzi to zresztą na jedno i to samo. Owszem, dużo lepiej by wyglądało, gdyby inicjatywa sypialniana wyszła od Havrankovej, a “zbrukanie" nastąpiło na własną prośbę, ale na długą kampanią przeraźliwie szybko zaczynało brakować czasu. Będąc blisko siebie, ciągle pozostawali obok.

O dziesiątej rano wysłuchał kolejnych komunikatów.

Priap miał już bombę i upatrzony wieżowiec. Konstruktor atomowego cacka znajdował się w tym czasie wewnątrz własnej kasy pancernej, chłodniejszej niż stosunki bilateralne Angola – RPA, i wszystko wskazywało, że w tym właśnie miejscu będzie musiał powitać koniec świata.

Drakula wyszedł w morze. Mimo burzowej pogody wysokoprężne turbiny niosły jego pływający kurnik ponad Rowem Kurylsko – Kamczackim, stale na północny wschód, a ściślej mówiąc, w te dziwne i niebezpieczne okolice, gdzie północny wschód graniczy z północnym zachodem. Książę wyssał na kolację pucołowatego chłopca okrętowego i był jak najlepszej myśli.

Frank N. Stein, czy też Selim ibn Hussein, bez większej trudności wylądował na lotnisku w Dżiddzie, skąd klimatyzowany autobus turystyczny przywiózł go właśnie do Mekki. Dzięki pośrednictwu biura

“Pielgrzymki, Sport i Turystyka" miał już załatwione wejściówki na plac i poranne modlitwy. Wcześniej jednak złożył wizytę pewnemu sprytnemu rzemieślnikowi, którego warsztat specjalizował się w produkcji specyficznych zabawek dla dorosłych, jak lalki zdolne wysadzać w powietrze cały parking, egzemplarze Koranu, których druk po pewnym czasie sprawiał u czytającego porażenie wzroku, trujące majtki kąpielowe, powodujące pod wpływem wody wydzielanie substancji, która wywoływała u pływaka gwałtowne skurcze mięśni brzucha, bransoletki i wisiorki stymulujące rozstrój nerwowy czy różańce w każdej chwili mogące służyć jako pas z amunicją do pistoletu automatycznego. Frankenstein obstalował rzecz banalną, sztucer oprawiony w kij pielgrzymi. Tylko tempo usługi miało być ekspresowe, dzieło musiało zostać wykonane do wieczora.

– Ileż to roboty! – uśmiechnął się ospowaty Arab. – Pośpiech powoduje trzykrotny wzrost ceny, ale jeśli jest to broń na niewiernych, daję dziesięć procent sezonowej obniżki.

Tymczasem Topielica spała we wszystkich swoich trzech wcieleniach. Nigdy dotąd nie włożyła tyle wysiłku w zabieg telepatyczny. Wiedziała jednak, że się jej powiodło i jeśli wytrzyma psychicznie, ani komendant, ani Scott nie wykonają ruchu bez jej zgody.

Wilkołak też znajdował się u celu. Ledwie zapadł zmierzch, przeistoczył się w górskiego orła i pod tą postacią wylądował na wieży obserwacyjnej poniżej instalacji radiolokacyjnych. Nikt go nie widział, i szkoda. Była to bowiem jedyna okazja obejrzenia orła z tornistrem na plecach. Nawiasem mówiąc, ten tornister sprawiał mu masę kłopotu. Można było z nim podfrunąć, gdyby był pusty. Ale z pełnym nie dało się latać. Wreszcie Kajtek znalazł w kotlinie, o dwa kilometry od bazy, opuszczony szałas pasterski i tam schował sprzęt. Tam również powracał, a to jako orzeł, a to jako szczur, z kolejnych wycieczek do bazy na seanse łączności z szefem. Ciągłe przeistaczania połączone z koniecznością rozbierania się przyprawiły go o potworny katar, tak że jako szczur bez przerwy musiał walczyć z kichaniem, a jako orzeł nie rozstawał się z chusteczką do nosa.

Powoli poznawał strukturę bazy. Wzajemne zależności dowódcze, kontakt z Pekinem, sposoby unoszenia rakiet z podziemnych silosów, zwyczaje załogi. Przy okazji ukradł trochę aspiryny z apteczki.

Meff udzielał wszystkim pochwały. Rad byłby jeszcze zorientować się, czy przeciwnicy cokolwiek podejrzewają. Nie miał jednak na to sposobu. Jednego był prawie pewien, od pożaru “Paradise'u" nikt go systematycznie nie śledził.

Brigitte czekała całe popołudnie, potem nie usnęło przez całą noc. Larry się nie odzywał. Rano zadzwoniła do hotelu. Otrzymała uprzejmą informację, że pan Bell nie powrócił na noc. Wkrótce z radia

dowiedziała się, że jest poszukiwana. W związku z morderstwem: “Wczoraj w godzinach popołudniowych w apartamencie panny Leblanc obok otwartej szafy znaleziono zmasakrowane ciało sprzątaczki…" Było jasne – Gnom uciekł!

Brigitte też uciekła. Natychmiast schodkami przeciwpożarowymi opuściła swój pokój. Zupełnie nie wiedziała, co robić. Szukała jej policja. Szukał zapewne i Priap. O Losie Larry'ego bała się myśleć.

Oczywiście mogła zgłosić się na policję, opowiedzieć wszystko, co wiedziała o diabelskim spisku, ale sam Larry mówił, że funkcjonariusze ciemności mogli czaić się wszędzie. Nawet w organach prawa i porządku. Owszem, wiedziała, że działają również i inni sojusznicy. Sprytna dziewczyna zorientowała się, że Bell pozostawał w kontakcie z jakimś panem White'em. Gdyby odnalazł Larry'ego albo przynajmniej notesik z telefonami.

Ścięła włosy i przefarbowała na rudo. W pierwszym lepszym magazynie kupiła brzydką amerykańską sukienkę, a potem ruszyła z powrotem do Nowego Jorku. Czuła się przerażająco osamotniona. Mała dziewczynka pomiędzy groźnymi, nie znanymi jej siłami, w obliczu nadciągającej zagłady.

XIX.

Ostatni dzień naszego świata miał przebieg normalny, można powiedzieć, banalny. Wszędzie ludzie oddawali się swoim zwykłym zajęciom, pracowali, kochali się, rodzili. Dzieci chodziły do szkół, młodzież na randki, wierzący do kościołów, niewierzący na kursokonferencje i wszyscy, z wyjątkiem tych, którzy umierali – żyli.

Poza częścią Szwajcarii i północnych Włoch w całej Europie panowała paskudna pogoda. Regiony centralne nawiedziło gwałtowne ochłodzenie. Od Helsinek po Paryż padał śnieg z deszczem. Na Morzu Północnym szalał sztorm. W Londynie święcono narodziny kolejnego potomka w rodzinie królewskiej. W Kopenhadze otwarto wystawę przetwórstwa spożywczego. Niewielkie trzęsienie ziemi odnotowano na Jawie. John Mnllory, samotny żeglarz brytyjski, przepłynął w rekordowym tempie dystans Grenlandia – Antarktyda. W Rzymie, w rejonie Złotego Domu, odkryto wspaniałe malowidła w grobowcach etruskich. Separatyści w Kenii złożyli broń. Prezydent USA wypowiedział się przeciwko inflacji. W pekińskim zoo przyszedł na świat niedźwiadek panda. Złapano włamywaczy do Banku Watykańskiego. Znakomite wyniki osiągnęli górnicy kopalni “Manifest Lipcowy" w Jastrzębiu. W Loch Ness rozpoczęto poszukiwania ichtiozaura – po raz pierwszy w sezonie jesienno – zimowym. Nowy katastroficzny film Spielberga splajtował – ludzie przestali się bać fantastyki. Po stu dziewięćdziesięciu ośmiu dniach zszedł naśladowca Szymona Słupnika, koczujący na kolumnie Nelsona pośrodku Trafalgar Square. W Madras urodziły się sześcioraczki. Pasażerowie porwanego samolotu “Lufthansy" szczęśliwie wracają do domu. Nieopodal Statuy Wolności wyłowiono zwłoki mężczyzny, którego policja nowojorska zidentyfikowała jako Larry'ego Bella, znanego przed laty artystę cyrkowego, posługującego się wówczas przezwiskiem Belfegor…

Łysy drżącą ręką uniósł pasek teleksu. Raport z USA nie nastrajał go optymistycznie. Szpakowaty odezwał się wreszcie, przysyłając telegram: “Wrócę pojutrze". Nie wiedzieć czemu, Łysy czuł podskórnie, że pojutrze może być za późno. Postawił Centralę w stan alarmu i gorączkowo usiłował się dowiedzieć od swego człowieka w Nowym Jorku, co wiadomo o śmierci Bella. Nie wiedzieli wiele prócz tego, że był na tropie, nie chciał zdradzić jakim, i że opiekował się stewardesą Brigitte Leblanc, przez przypadek uchronioną od śmierci na Atlantyku.

Ale Brigitte zniknęła. Widziano ją podobno w Bostonie, niemniej nowojorski informator nie potrafił dać szczegółowszych informacji, poza tym, że nie miał nadziei zobaczenia jej żywej.

Śmierć Bella, sprzątaczki w pokoju io8i, zniknięcie Brigitte, ciągłe.nieodnalezienie karła ongiś współpracującego z Bellem układało się w krwawą strużkę prowadzącą nie wiedzieć dokąd.

Z kolei laboratoria Centrali donosiły o wzmożonym niepokoju zwierząt doświadczalnych, które, choć rozmieszczone w różnych strefach ziemi, wykazywały identyczny niepokój. Biali od dawna posługiwali się tą metodą, aby przewidywać nadciąganie kataklizmów i przeciwdziałać im.

Jak mieli przeciwdziałać tym razem?

Łysy tarł czoło, aż jego sekretarz począł obawiać się, że zastępca szefa wypoleruje je do gołej kości. Pucołowaty i Albinos śledzili te poczynania z rosnącym niepokojem. Skąd stary wynalazł tak nieoperatywnego zmiennika?

– A może – odezwał się przerywając szlifowanie – za wcześnie zamknęliśmy sprawę don Diavola?

– Widzieliśmy przecież, jak cała czereda poszybowała do piekła!

– Tak, tak, ale został Fawson!

– Fawson to nie szatan, słyszeliśmy wszyscy opinię ojca Martineza – mruknął Pucołowaty – a poza tym bawi w Alpach z jakąś panienką i wydaje się poświęcać wyłącznie amorom.

– Czy jest śledzony? – zainteresował się Łysy.

– Stary nie kazał – powiedział Cherubinek.

– Stary, stary – żachnął się Zastępca. – Uważam, że natychmiast ktoś powinien udać się do Zermatt. Kto jest wolny w tamtym regionie?

– Rozważałem sprawę w mojej sekcji – odezwał się Albinos – są duże trudności, ostatniej nocy przeszła nad tym obszarem niezwykle intensywna burza śnieżna. Wszystkie szlaki w kantonach południowych są nieprzejezdne. Zwłaszcza w Vallais. Tamtejsi magicy od odśnieżania znowu zaspali. Może jutro… Mamy tylko na podsłuchu telefon. Z Zermatt w ciągu dwóch dni od swego przyjazdu Fawson nie telefonował nigdzie. Ani on, ani ona.

– Może rzeczywiście jestem zbyt podejrzliwy – zgodził się Łysy.

Ładna dziewczyna, nawet z przefarbowanymi włosami, zawszę da sobie radę. Brigitte odszukała taksówkarza, który wiózł ją poprzedniego dnia.

– Pytali mnie o panią – powiedział taksiarz – ale proszę być spokojną, nie powiem o tej rozmowie, co będę się wysługiwał glinom. Mówiłem tylko, gdzie zawiozłem pani faceta…Szkoda że go tak załatwili. Ale nie ma pani co tam jechać, gliny tkwią w tej ruderze cały czas… Mordercy inie złapali. Chyba to był jakiś garbaty żebrak…

Pół dnia Brigitte spędziła przy telefonie, dzwoniąc do wszystkich White'ów, jacy znajdują się w książce telefonicznej supermetropolii, i mówiąc na dzień dobry: “Sześć razy sześć". Nikt nie reagował na

hasło, wprawdzie diabelskie, ale przeciwnej stronie doskonale znane, zaś White'ów było w mieście kilka tysięcy. Może ten właściwy był akurat nieobecny albo krył się pod innym nazwiskiem? Zresztą Bell mógł telefonować do jego pracy. Gdzie była ta praca? Brigitte patrzyła z rozpaczą na ołowiane niebo, bezradna jak małe dziecko szukające numeru do świętego Mikołaja. Wiadomość o śmierci Larry'ego przyjęła bardzo dzielnie. Było to lepsze niż niepewność. A poza tym wszystkim zdawała sobie sprawę, że romans ze starszym (choć znakomitym) panem miał wszelkie cechy tymczasowości. Co więc pchało ją do kontynuowania śledztwa? Strach i przeświadczenie, że najlepszą ucieczką jest gonitwa? Chęć zemsty? Może jakieś bezcielesne przeznaczenie?

Koło drugiej (w Zermatt był już wieczór, drogi dojazdowe nadal pozostawały nie przetarte, co bynajmniej nie martwiło narciarzy) Brigitte znalazła się na słynnym cyplu Manhattanu, w lesie wieżowców wyrosłych z grzybni podziemnych skarbców. Przypomniał się jej jeden z prywatnych detektywów, z którym kontaktował się Larry. Nie znała nazwiska, ale przysłuchując się rozmowie, zapamiętała adres. Może ów następca Pinkertona ma kontakt z detektywem paryskim?… Albo z Białymi?

Ody mijała jeden z drapaczy, nagły impuls kazał się jej obrócić. W szklanych drzwiach znikała akurat drobna figurka staruszki w czerni. Ten garb, charakterystyczny krok… Stewardesa wiedziała cokolwiek o imitatorskich talentach Gnoma. Mimo lęku pośpieszyła za starczą sylwetką. W takim tłumie chyba mnie nie zabije? W hallu znalazła się akurat, kiedy postać w żałobie zniknęła w szybkobieżnej windzie. Brigitte zatrzymała się. Jak odnaleźć kogokolwiek w gmachu o setce pięter i tysiącu biur…

– Czy mogę pani czymś służyć? – obok dziewczyny wyrósł przystojny portier…

– Zauważyłam znajomą – bąknęła Brigitte – znaczy, znajomą mamy, nie znam jej nazwiska, taka nieduża staruszka w czerni…

– Ach, pani Gimble! Biuro spedycyjne “Gimble i Synowie". Wczoraj wynajęła u nas wszystkie pomieszczenia n – a najwyższym piętrze. Zdaje się, że jest w trakcie urządzania. Zaraz panią połączę…

– Pójdę sama! – Portier udzielił jej cennych informacji, ale gapił się tak bezczelnie, że nie miała zamiaru kontynuować rozmowy.

– Starowinka robi interesy z rozmachem. Od roku ten lokal, ze względu na koszty, świecił pustką… A może byśmy gdzieś razem wpadli na lunch?

– Może jutro – powiedziała Brigitte i wycofała się na ulicę. Popatrzyła na szklaną ścianę, na której szczycie Priap wił sobie gniazdo, na pewno w żadnym zbożnym celu. Ale może się myliła? Niemożliwe. Musiała wierzyć swojej intuicji.

Zresztą intuicja starała się nie zawieść pokładanego w niej zaufania. Zaprowadziła pannę Leblanc szybko do biura usług detektywistycznych “Burt White, V piętro, od windy w lewo". Wewnątrz, w promieniach jarzeniówek, wygrzewała się tęga blondyna, która od razu obrzuciła Brigitte, a może tylko jej farbowane włosy nieprzyjaznym spojrzeniem.

– Do kogo?

– Do pana White'a. Mój przyjaciel…

Ale sekretarka nie miała czasu ani ochoty zajmować się czyimkolwiek przyjacielem, zwłaszcza że całą jej energię pochłaniało malowanie paznokci.

– Szefa nie ma. Będzie za cztery godziny…

– Ale to pilne. Czy można by go gdzieś znaleźć?…

– Nie można by. Poczekalnia jest obok.

Weszła, usiadła. Miała sporo czasu, aby śledzić wskazówki ściennego zegara wolno, ale konsekwentnie postępujące naprzód. W pewnym momencie, gdy sekretarka leniwie, jak tłusty kot, zanosiła jakieś papiery do gabinetu, Brigitte udało się zajrzeć do wnętrza. Za szerokim jak Champs Elysees biurkiem znajdował się fotel, a za fotelem z jednej strony statuetka Temidy, z drugiej kopia Madonny Sykstyńskiej.

Panna Leblanc poczuła z otuchą, że znalazła się we właściwym miejscu.

Dzień miał się ku końcowi. Szczyty górskie łapały jeszcze trochę światła, ale w dolinie zapadł zmrok, rozświetlany dziesiątkami drobnych, ciepłych iskierek. Pod każdą krył się jakiś pokoik, jacyś ludzie, najczęściej dwoje ludzi.

Anita, jakby chcąc zrekompensować Meffowi cały dzień spędzony osobno, zaproponowała wieczorny spacer. Z narciarskich wyczynów wróciła, dopiero gdy zapadł zmierzch, na szczęście Norweg został w tyle, na jakimś ostrym zjeździe.

Co się odwlecze, to nie uciecze – pomyślał Meff, ale natychmiast zastanowił się nad względami bezpieczeństwa. Na poddaszu był w zasadzie nie zagrożony. Mansarda Norwegów i jakiegoś małżeństwa z dzieckiem znajdowała się na końcu niesłychanie skrzypiącego korytarza. Okno wychodziło na jedyną drogę prowadzącą do pensjonatu. W każdej sytuacji pozostawało dość czasu, aby zniknąć, zapaść się pod ziemię czy użyć piekielnego ognia, którego zastosowania nie wzbraniała żadna z międzynarodowych konwencji. Ale spacer? Cienie zrobiły się gęste, nieprzyjemne… Za każdym krzaczkiem mógł się ukrywać funkcjonariusz konkurencji albo egzorcysta…

Fawson wybrał rozwiązanie kompromisowe, to znaczy wyszedł z

pensjonatu, ale już na pierwszym schodku potknął się i zjechał po dwunastu stopniach, wywijając po drodze podwójne salto i spiralę śmierci. Kiedy uniósł się z zaspy, grymas cierpienia wykrzywiał mu twarz. Każde poruszenie nogą wywoływało syk bólu.

– Biedaku! – Havrankova pomogła mu się wygramolić z powrotem. Potem zaprowadziła go do swego pokoju, zrobiła kompres i zgodziła się wspaniałomyślnie na wspólną kolację tu, na górze, przy świecach. Być może zwichnięta noga Meffa zwiększała jej kredyt zaufania wobec mężczyzny.

Za oknem znowu padał śnieg. Portier wspomniał, że komunikacja ze światem zostanie przywrócona najwcześniej rano.

Rozmowa początkowo nie kleiła się. Fawson usiłował skierować ją na tory życia uczuciowego. Mówił, że nie ma nic gorszego niż ludzka samotność…

– Człowiek nigdy nie jest sam – odpowiedziała Anita – zawsze ma Boga (szatan poruszył się niespokojnie) i bliźnich.

– Tak, ale trudno wszystkich bliźnich traktować jednakowo, przeznaczeniem człowieka jest znalezienie sobie drugiego bliźniego, najlepiej płci przeciwnej…

– Tak, człowiek powinien mieć dzieci. Fawson nieomal się zdenerwował.

– Pal sześć dzieci! Człowiek sam potrzebuje szczęścia, przyjemności, rozkoszy, a to w wystarczającej mierze może mu zapewnić tylko drugi, kochający, rozumiejący go człowiek.

Jak żeglarz na lotni rzucił się w głąb błękitnych oczu dziewczyny. Powierzchnia stawów pozostała jednak nieporuszona.

– Potrzebuję cię, Anito!

Dziewczyna zarumieniła się jak gąska na wolnym ogniu.

– Wiem!

– Te parę dni – mówił dalej – potwierdziło to, co i tak przeczuwałem od pierwszej chwili. Jesteśmy dla siebie stworzeni! Człowiek nigdy nie wie, ile jest przed nim życia. Ale to wszystko, co mam, chciałbym ofiarować tobie. Firanki rzęs przysłoniły oczy dziewczyny.

– Zawsze byłem sam. Jeśli nawet istniały pozory, jeśli potrafiłem się oszukiwać, pozostawałem samotny, oderwany od świata, jak mucha zatopiona w bursztynie. Może byłem za słaby, żeby umiejętnie prowadzić walkę, a może nie spotkałem nikogo takiego jak ty. Bywało, potrzebowałem pomocy, ale nikt się nie zjawiał.

Teraz diabeł przemawiał zupełnie jak dawny, najdawniejszy Meff ze swego przedczartowskiego okresu.

– W czym mogę ci pomóc, powiedz? – spytała spokojnie Anita.

Rzeczowość zabija nastrój. Meff zamilkł. Coś w nim zadrgało, strach, że być może cała rozmowa odbywana jest za późno, że dusza

Anity pozostanie dla niego zawsze niedostępna jak szczyt pobliskiego Matterhornu.

– Jesteś bardzo miły – dziewczyna trąciła go ręką – ale bardzo się różnimy.

– Różnice zbliżają bardziej od podobieństw! Zresztą wszystko znajduje się w dialektycznym rozwoju. Pozwólmy rozwijać się naszym odczuciom.

– A może zjemy coś, zanim wszystko wystygnie? – zapytała Havrankova.

Parokrotnie krążył jeszcze dookoła tematu niczym drapieżca wokół pasącej się zwierzyny. Rozumiał, że ma do czynienia z osóbką, która wszelkie przyjemności przenosi na czasy po ślubie, i to kościelnym, co z braku czasu, a także w związku ze specyfiką funkcji Meffa, było niewykonalne. Niemniej oświadczył się.

Dziewczę dobry kwadrans nie potrafiło wymówić słowa, a potem powiedziało:

– To niemożliwe!

Fawson wystąpił z zapewnieniem, że nie chodzi mu o związek natychmiastowy, może poczekać, choć osobiście lubi w tych sprawach spontaniczność, wystarczy, jeśli od tej chwili będzie mógł uważać ją za swoją osobistą narzeczoną.

Milczała.

– A może masz kogoś, jesteś w kimś zakochana?! Pokręciła głową tak energicznie, że jasne loki rozsypały się po szczupłych ramionach.

– W czym więc problem? Dlaczego? Boisz się mnie?

Była w tym momencie taka zafrasowana, smutna, bezbronna i dosłownie święta, że rzuciłby się na nią nie bacząc na nic, gdyby nie piskliwy dźwięk wydobywający się z zegarka. Za kwadrans dziesiąta. Pora przygotować się do decydującego seansu.

– Mam pilną międzymiastową – powiedział – ale wrócę!

– Lepiej nie – zabrzmiał cichy głos dziewczyny – zmęczył mnie ten dzień i chciałabym się położyć, a poza tym twoja noga… Dobranoc!

Nieoczekiwanie musnęły go ciepłe i pachnące świeżością usta. A potem drzwi zamknęły się energicznie.

Fawson zatoczył się jak zakochany wyrostek, ale przypomniał sobie, że musi jeszcze załatwić kilka spraw nie cierpiących zwłoki, wyprostował się i otworzył drzwi do swego pokoju.

– Tu Drakula. Tu Drakula. Melduję, że wszystko w porządku. Posuwamy się z dużą szybkością w ustalonym kierunku. Kapitan obawia się gór lodowych, ale przy sprawnie działającym radarze nie powinniśmy się niczym przejmować. Zgodnie z poleceniami od tej chwili nie opuszczam kabiny i nie wpuszczam nikogo do środka. Ptaki

niespokojne, bo mocno kiwa, ale to chyba zrozumiałe…

– Dziękuję. O oznaczonej porze zaczynamy!

Ledwie twarz wampira znikła z ekranu. Meff wywołał Wilkołaka. Znajomy pysk był zziajany i lekko zakłopotany.

– Omal nie wpadłem – meldował. – Zupełnie zapomniałem, że dla tych Żółtków szczur to przysmak. Już od paru godzin poluje na mnie szef kuchni bazy. Ale dam sobie radę. Mam już ich szyfry, wiem, jak znieść blokadę i wyłączyć zaminowanie bazy. W wypadku ogłoszenia alarmu trzeciego stopnia wystarczy zniszczyć łączność z centralą i wówczas powstaje możliwość ręcznego uruchomienia rakiet na rozkaz szefa bazy. Nie będzie żadnych kłopotów. Do szałasu, jak dotąd, nikt nie zaglądał, zresztą podczas moich nieobecności cały sprzęt zagrzebany jest w śniegu i można by go szukać bardzo długo. Cieszę się, że zaczynamy.

– Zatem powodzenia!

Teraz miał na podglądzie Mekkę.

– Byłem na wieczornym nabożeństwie – opowiadał Frankenstein – jeśli można nazwać nabożeństwem walenie głową o bruk. To dobre dla rogaczy! Natomiast facet ma gadanie. Chociaż Semita. Dziś mówił o dobroci. Twierdził, że pierwiastki Dobra przypominają w działaniu białe ciałka krwi. Nieustannie się mnożą, a następnie otaczają drobiny Zła i izolują je. Istnieje według niego szansa…

– Dobra, dobra, wiem, że wy, Niemcy, podatni jesteście na byle przemówienia. Jak akcja?

– W porządku. Rzemieślnik okazał się złotą rączką. Szkoda że była to jego ostatnia robota. Jest już na łonie Mahometa. Zrobiłem to bardzo ostrożnie. – Detonowała mu w ręku jedna z jego zabaweczek, … Kto bawi się ogniem, musi być przygotowany na poparzenie paluchów. Broń jest znakomita. Z odległości pół kilometra przepoławiam daktyla.

– Mów dalej!

– Z mojego sektora będę miał proroka jak na widelcu. Musi mijać mnie o najwyżej dwa metry. Podobno nie zezwala na żadną ochronę osobistą. Oczywiście nie wierzę, ale przetrenowałem sprawę. W momencie gdy się będzie zbliżał, położę mój ognisty kij na płotku ochronnym, prostopadłym do trasy przejazdu. Wycelowanie, gdy cały tłum będzie się cisnął i wyciągał ręce, nie potrwa nawet sekundy. Obecnie zamykam się w pokoju. Jest to taka wieżyczka niczym mały minaret, maleńkie okienko, jedne niskie drzwi – pełne bezpieczeństwo.

– Oby! Good luck!

– Jawohl!

Z Topielicą rozmawiał za pośrednictwem komendanta Rowlingsa. Pojawiły się drobne komplikacje. Kompan Briana Scotta, kosmonauta

Thomas Lewis, należał do osobników arcypodejrzliwych. Zorientowawszy się, że kumpel jest wyraźnie niezdrowy, usiłował skłonić go do poddania się testom medycznym. Scott odmawiał. Robił wrażenie półprzytomnego, słowa wyrzucał z siebie wybuchowo, nieomal warcząc. Lewis nalegał, groził, że powiadomi o swych obawach Ziemię. Doszło do malej szamotaniny. Na szczęście poza zasięgiem kamer. Obecnie Scott meldował, że jego kosmiczny partner zapadł w sen. Ośrodek dyspozycji lotów przyjął informację bez większego zainteresowania. Podróż promu miała charakter rutynowy i jeśli cokolwiek mogło budzić żywsze zainteresowanie, to start i lądowanie.

– Dałeś mi bardzo trudne zadanie, szefie – mówiła monotonnie panna Waters ustami Rowlingsa. – Muszę na odległość utrzymać w hipnotycznych cuglach dwóch silnych facetów, a najmniejsza dekoncentracja mogłaby zakłócić sterowanie nimi.

– Ale, mam nadzieję, dasz radę.

– Dam! Mam tu na szczęście spokój i nikt nie przeszkadza.

– Znakomicie!

Pozostał Priap. W wynajętym apartamencie zwijał się jak w ukropie. Nie zdążył nawet pozbyć się kostiumu staruszki. Zabezpieczył okna w pancerne blachy, tak żeby najlepszy strzelec wyborowy nie mógł ustrzelić go z helikoptera, zastawił wszystkie drzwi z wyjątkiem jednych, zamontował kamerę, dzięki której o określonej porze świat zewnętrzny zobaczy jego bombę. Sam ładunek, olbrzymie metaliczne jajo, ustawił pośrodku największego pokoju i sycił wzrok jego widokiem, szczęśliwy niczym sam schizofreniczny konstruktor.

O określonym czasie uruchomi zainstalowane teleksy i tekst przygotowanego ultimatum popłynie do agencji prasowych, Białego Domu, Kongresu i Sekretariatu ONZ.

Wcześniej Gnom zameldował o eliminacji Belfegora. Nie udało mu się wprawdzie unieszkodliwić stewardesy – szczęściary, ale był przekonany, że śmiertelnie przerażona kobietka nie wychyli nawet nosa z kryjówki.

– A jeśli odnajdzie ją policja? – spytał Meff.

– Zna pan przecież tych cymbałów. Co im powie? Że Larry'ego porwał diabeł? Kto jej uwierzy? Nie może znać ani istoty planu, ani mej kryjówki. Zresztą choćby i znała – nie otworzę nikomu. Wszędzie umieściłem znaki piekielne. Nawet anioł by się tu nie wdarł. Co najwyżej wcześniej przekażę swe ultimatum. Niech próbują mnie szturmować.

– Racja – przyznał piekielny Agent.

W Zermatt minęła właśnie jedenasta.

W tym samym czasie White, przystojny ryży byczek o

nadzwyczajnie czerwonych jak na mężczyznę ustach, z godzinnym opóźnieniem wkroczył do swego biura. Był spocony jak mysz (również ruda). Cały czas spędził w Centrali Kontynentalnej. Histeria Łysego, Zastępcy j. Centrali Głównej, osiągnęła apogeum. Bez większych podstaw ogłosił stan gotowości, prosił o zwrócenie się do najwyższych władz, w tym do Sekretarza Generalnego Narodów Zjednoczonych, o zarządzenie powszechnych modlitw na intencję Ratunku dla Ziemi, Skąd miało nadejść niebezpieczeństwo, związane według proroctw z jutrzejszą datą, nie potrafił jednak powiedzieć. Ale bał się. White nie widział możliwości realizacji tych postulatów. Sekretarz Generalny był ateistą, a poza tym zarządzanie ogólnoświatowych rekolekcji nie należało do jego kompetencji.

Również druga prośba – odszukanie ojca Martine – za, który znikł przed dwoma dniami ze swej celi w paryskim klasztorze dominikanów, była nierealna. Sławny egzorcysta do Ameryki nie powrócił. Detektyw nie miał nawet chwili, żeby w czasie wielogodzinnej krzątaniny zadzwonić do swego biura.

Ociężale wszedł do wnętrza i stanął jak wryty.

– Panna Leblanc?!

– Myślałam, że jestem nie do rozpoznania – powiedziała stewardesa.

Nie komentował. Szybko zaprosił ją do gabinetu.

– Długo pani czeka? – zaczął na progu.

– Pięć godzin!

– Rany boskie, i nikt mnie nie zawiadomił. Klaro!!! Sekretarka wolała się nie odzywać.

– Klaro, proszę natychmiast łączyć mnie z Centralą. A pani niech mówi. Tylko same fakty.

Mówiła więc. O przesyłce i doktorze Chastellainie, o Larrym i Mister Priapie, o pułapce Bella i o widmie zagłady. A wreszcie o spotkaniu przebranego Gnoma i jego podniebnej kryjówce.

– Co tam, Klaro?

– Nie mogę połączyć się z Europą. Linie przeciążone. Nieoczekiwanie wybuchła panika na giełdzie.

White nakreślił parę słów na kartce.

– Jak będzie łączność, przedyktuje to pani. Wyłącznie Zastępcy! Chyba żeby pojawił się sam Szef. A my idziemy!

– Ten garbus to bardzo niebezpieczny człowiek – stwierdziła Brigitte.

– Mnie nic nie zrobi – uśmiechnął się detektyw. Zjeżdżając mroczną windą, dziewczyna mogła przysiąc, że dostrzega niewielki świetlisty krążek wokół czaszki rudzielca.

Osiemnasta piętnaście! Są w hallu wieżowca. White pokazuje portierowi legitymację, przezornie wspomina o innym piętrze, żeby

uniemożliwić ewentualne ostrzeżenie Priapa. W windzie wyciąga z kieszeni pistolet i ładuje dziwne złociste naboje.

– Poświęcone! – tłumaczył stewardesie.

Jest opanowany, sprawny. W ruchach przypomina ichneumona. Winda zatrzymuje się na przedostatnim piętrze. Resztę dystansu pokonują schodami. Są niedaleko drzwi. Dziewczyna zostaje parę kroków z tyłu. White chodzi wzdłuż ściany, po chwili cofa się skrzywiony.

– Niedobrze – mruczy. – Szatan!

– Co się dzieje?

– Wszędzie umieszczone blokujące zaklęcia. Nie mogę tam się dostać. Zwykły człowiek rozwaliłby tę ścianę, ale z człowiekiem Gnom dałby sobie radę w sekundzie… Tu trzeba inaczej!

– Może zatelefonować z dołu? – podsunęła Brigitte. – Powiedzieć, że jest okrążony.

– A czy wiemy, jaki pasztet tam szykuje? Sama pani mówiła o zagładzie. Nie, sprawdzimy najpierw podłogę.

Znów zeszli piętro niżej. Detektyw, posługując się cienkim drucikiem, sforsował zamki reklamowane jako nieotwieralne. Weszli do środka.

– Niestety, podłogi też zabezpieczyło to szatanisko!

– Słyszy pan! – trąciła go Brigitte.

Gdzieś na górze trzasnęły drzwi od windy. Rozległ się dzwonek. Ktoś chciał się dostać' do ufortyfikowanego kabalistycznie apartamentu. Wybiegli na korytarz. Potem z odbezpieczonym pistoletem White popędził na górę. Wcześniej jednak ktoś wszedł i drzwi zamknęły się za nim. Znów były zablokowane. Detektywowi opadły ręce.

Tymczasem Brigitte obwąchała windę.

– “Antylopa" – powiedziała fachowo. – Mister Priap zaprosił sobie na wieczór jakąś babeczkę.

Kiedy Klara dodzwoniła się wreszcie do Łysego i odczytała informacje nabazgrane na kartce przez White'a, z drugiej strony linii rozległ się tylko cichy jęk.

– Podejrzewałem. Jednak Fawson. A my, idioci, nie zwróciliśmy uwagi, że diagnoza o jego człowieczeństwie dotyczyła okresu przed pożarem. Później żaden egzorcysta już go nie oglądał. Boże!

Spojrzał na zegarek. 12.25!

Dzień fatalny już się zaczął. Jeśli rozstawieni na świecie agenci Meffa mieli przygotować zagładę, na pewno byli w akcji. Nic nie mogło ich zatrzymać. Nawet gdyby kazał zbombardować pensjonat w Zermatt. Też potrzeba by na to co najmniej paru godzin i przekonania po drodze iluś tam urzędników. Ale nawet gdyby wyeliminował szefa, jego plan prawdopodobnie toczyłby się dalej. Jak mówiły proroctwa,

objawienia, wróżby!

Co robić? O Panie! Co robić?

Meff odczekał jeszcze półtorej godziny. Wolał, żeby Anita mocno zasnęła. Parę razy w życiu udało mu się wziąć szturmem panienki pogrążone we śnie. Później przeważnie okazywało się, że sen był symulowany. Zapewne dziewczyny uważały, że tak będzie przyzwoiciej.

Fawson umył się bardzo starannie. Wypachnił. Rozebrał. Doskonale wiedział, że jakakolwiek garderoba, w którą zawsze można się zaplątać, nie ułatwia zadania. Jeszcze raz rzucił okiem na zegarek. Godzina 0.30. i przeniknął ścianę.

Anita spała, oddychając równo, miarowo. W półmroku, na białej pościeli rysował się jej prześliczny dziecięcy profil.

Szatan zadrżał, ale błyskawicznie wśliznął się pod kołdrę.

Obudziła się natychmiast.

– Co robisz, Meff! Nie, Meff! Proszę!

Była wysportowana i gibka. Rzucała głową, uciekając od ust podnieconego mężczyzny. Zdarł z niej cienką koszulkę. Wprawnie jedną dłonią unieruchomił szczupłe dłonie blondynki, drugą zaś przesunął na zasadniczy teatr wojenny.

– Psiakrew! Jeszcze majteczki!

Owładnęła go niewiarygodna żądza i nawet gdyby zadzwoni) do niego osobiście Lucyper, nie podniósłby słuchawki. Anita już nie krzyczała. Tymczasem szarpnięta gumka pękła i dłoń Meffa…

Dłoń Meffa!

Dłoń Meffa!

Dłoń…

Wydało mu się, że zwariował, nagłym szarpnięciem zdarł kołdrę i zapalił światło.

Taka rzecz nie może zdarzyć się mężczyźnie nawet we śnie.

Tam nic nie było!

Nic!

Gładka skóra jak na plecach!

– O kurwa, anioł!

Przez moment myślał, że ziemia rozstępuje się mu po nogami.

Havrankova naciągnęła kołdrę. Milczała. Tylko w oczach płonął jakby wyraz triumfu.

Przypomniał sobie o obowiązkach. Przesadził ścianę i dopadł biologicznego nadajnika. Wszystko naraz stało się jasne. Anita! Anita! Anita! Od początku. Od samego prawie początku. A on dureń! Dureń!

Uruchomił sygnał alarmowy. Drakula!

Oko kamerki obejmowało oświetloną kabinę statku. Drakula, półnagi, leżał bledszy niż pościel na koi. Z jego trzewi sterczał

osinowy kołek. Pazury wbił w drewnianą boazerię, a w szklanych oczach utrwalił się wyraz niepojętego zdumienia!

Frankenstein!

W półmroku spowijającym owalny pokoik w pierwszej chwili nie dojrzał barona. Później dopiero oko poczęło wyławiać elementy ciała poniewierającego się po izdebce. Na stoliku stał pusty pojemnik po wodzie święconej. Najwyraźniej pod wpływem owego płynu popękały wszystkie szwy utrzymujące sztuczny twór w całości.

Wilkołak!

Kajtek spoczywał w śniegu, którego masę przez otwarte drzwi nawiało do szałasu. Ciało bestii, poszarpane, pokąsane i pokrwawione, sprawiało wrażenie, jakby Wilkołak zagryzł się sam, dopiero później Meff dostrzegł wbitą w pierś małą srebrną strzykawkę, którą ktoś najwyraźniej zaaplikował bestii skoncentrowaną superdawkę wścieklizny.

Gnom!

Wtulony w fotel, z łapą wyciągniętą po detonator bomby, wyglądał jak błazen uzurpujący miejsce króla. Zęby wyszczerzały się w idiotycznym uśmiechu, a pośrodku ciała ział nieduży otwór, jaki zwykła robić poświęcona kula.

Topielica!

Na ekranie pułkownik Rawlings, rześki i uśmiechnięty, meldował coś swym zwierzchnikom w NASA. Nie wyglądał na zahipnotyzowanego… Co z Susy?

– Zdążyła uciec, ale straciła telepatyczną łączność. Już nie uda się jej podporządkować komendanta bazy ani dowódcy “Pensylwanii". Misja skończona.

Mówiącą była Anita! Anita? Jej sobowtór. Piękny blond anioł, tym razem jednak nie słodki i bezbronny, lecz groźny, karzący.

Oczywiście w samoobronie.

Anity znajdowały się we wszystkich pięciu planach, i w kabinie Drakuli, i w izbie Frankensteina, i w szałasie Wilkołaka…

Mimo osłupienia Fawson zdał sobie sprawę, że bezprzykładna klęska była jego zasługą. On przecież przedstawił piękną blondynkę swym współpracownikom. Upoważnił ją do działania. Nikt z agentów nie zdziwił się, gdy w środku nocy usłyszeli głos Anity wymawiający hasło, gdy poznali jej twarz. Cofnęli kabalistyczne zapory. Wpuścili… Do pokoju Meffa weszła kompletnie już ubrana Havrankova, szpakowaty jegomość i nieco z tyłu ojciec Martinez. Szpakowaty przedstawił się:

– Komisarz Providence, czasowo odkomenderowany do sekcji idealistycznej Interpolu. Pozostałych chyba zna pan, panna Havrankova, ojciec Martinez. Chcielibyśmy wam gorąco podziękować, Fawson. Odwaliliście porządny kawał roboty. Udało się wam odnaleźć

wszystkich ostatnich funkcjonariuszy Zła i skłonić do wystąpienia przeciw prawu, co umożliwiło nasz naturalny odpór. Dzięki wam niebezpieczna konfiguracja gwiazd nie została wykorzystana przez moce ciemności. Mamy przed sobą całą długą epokę spokoju.

Fawsonowi kręciło się w głowie.

– Ale ja, co ze mną, jestem przecież szatanem!

– Tylko czasowo – uśmiechnął się komisarz.

– Pomożemy ci – powiedziała energicznie Anita – byłeś słaby, dałeś się omotać Złu, my jednak podamy ci rękę, ochronimy przed zemstą Dołu. Będziesz teraz dla nas pracował. Zresztą oni są bardzo słabi. Nigdy już nie będą mieli większego wpływu na tę Ziemię.

– Ale ja podpisałem…

– Cyrograf się anuluje – stwierdził rzeczowo ojciec Martinez – a czarta z was wypędzę. Osobiście.

– Tylko że ja sam, przecież ja sam jestem prawnukiem Mefistofelesa.

– A kto powiedział, że wnuk Mefistofelesa nie może zostać resocjalizowany. Będą z was jeszcze ludzie, Fawson.

– Polubisz Dobro – uśmiechnęła się anielica. Tymczasem Szpakowaty połączył się z Łysym.

– Cześć, stary!

Zastępca poderwał się i począł krzyczeć w słuchawkę.

– Szefie, nareszcie! Sytuacja jest tragiczna. Oni robią koniec świata. Fawson to jednak diabeł… Mam informacje!

– Jesteście tego wszystkiego całkowicie pewni?

Meffa wyprowadzono do białego helikoptera. Szpakowaty z dużym zadowoleniem schował do kieszeni pudełeczko z biologicznym nadajnikiem. W tym samym czasie Anita nr 6 relacjonowała Brigitte i White'owi przebieg wydarzeń.na szczycie wieżowca. Detektyw – anioł pogratulował jej dobrze wykonanego zadania. Tymczasem na ekranie telewizora, ciągle pozostającego w biologicznej łączności ze Szwajcarią, można było obserwować wyprowadzenie Fawsona z pokoju.

– Przystojny facet – powiedziała Brigitte.

– I bardzo inteligentny – odpowiedział jej z drugiej półkuli Meff, pozwalając nałożyć sobie bez oporu poświęcone – kajdanki.

Poranne dzienniki telewizyjne nie poinformowały rzecz jasna o wydarzeniu w Zermatt ani o dramatycznych incydentach w pięciu innych zakątkach globu. Miały zresztą zupełnie inne tematy.

Tegoż dnia jakiś przypadkowy fanatyk z Pakistanu zasztyletował opodal Wielkiego Meczetu w Mekkce Nowego Mahdiego. Równocześnie niedaleko Des Moins w stanie Iowa niepoczytalny szaleniec, sierżant wojsk rakietowych, zabarykadował się w arsenale

atomowym i wystosował paranoiczne ultimatum.

A około południa gruchnęła wieść, że nad terenem jednego z supermocarstw pojawił się nie zidentyfikowany obiekt kosmiczny olbrzymich rozmiarów…